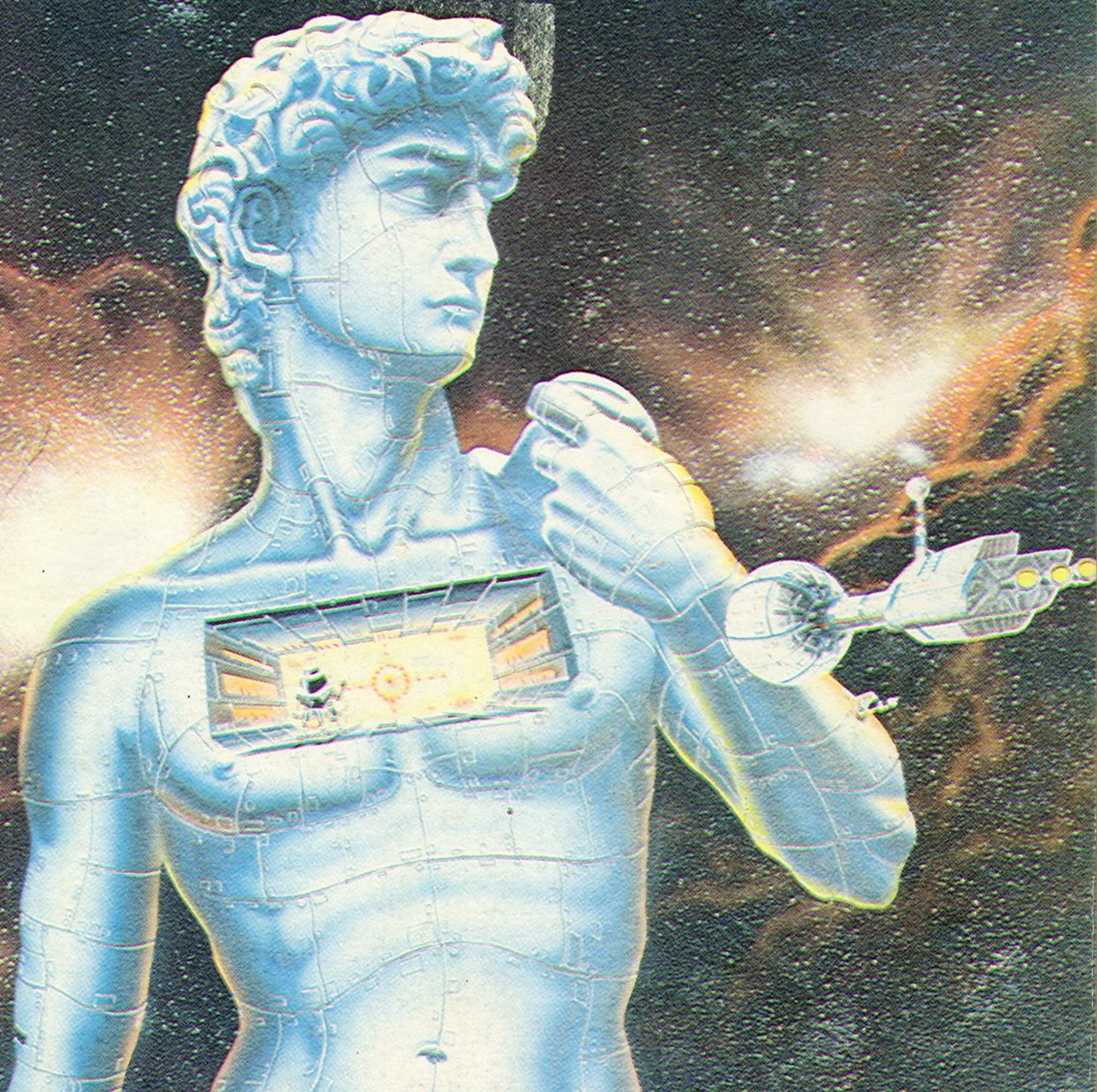
MIESIĘCZNIK

10 (61) PAŹDZIERNIK 1987 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



MICHELANGELO MIANI

the hero



ANDRZEJ WROŃSKI

Malarstwem zajmuję się dość długo, ale ten styl odbierania i wyrażania świata uprawiam dopiero od kilku lat. Świat jest aż nazbyt realny, toteż fantazja, a właściwie przedstawianie jej na płótnie, dostarcza wiele radości. Jeszcze bardziej cieszę się, że szereg skojarzeń i sytuacji pozwala na wyrażenie głębszych wartości, które trafią do każdego z Państwa.

Tomasz Tomaszewski



4,10,62

W numerze: fantastyczne zoo! Jednorożce, chimery, gorgony, humbaby, hydry, smoki, minotaury, snerpy, rafsheeny, rumakiny, centaury, pegazy, harpie oraz szczypasy, zębogony, kamieniojady, ptakojaszczury, dziesięcionogi, błękitne przędziołki, czteroskrzydłe gąski, wkrętaki, brodawkowce pełzające, charby, zębodmuchy i dwugłowe pytonice – to tylko niektóre ze stworzeń w opowiadaniach Mike'a Resnicka i Nikołaja Gudańca. W felietonie Macieja Iłowieckiego możesz natomiast spotkać się z człowiekiem-myszą, królikiem-kurą i szczurem-petunią (!). Jeżeli chcesz ten zwierzyniec poznać dokładniej, zajrzyj do leksykonu postaci fantastycznych, zamieszczanego w „Małej Fantastyce" – dodatku kwartalnym do naszego miesięcznika.

Opowiadania i nowele

Z polskiej fantastyki

Powieść

Poezja i fantastyka

Krytyka

Spotkanie z pisarzem

Nauka i SF

Film i fantastyka



Co dała nam druga tura nieustającego konkursu literackiego, oprócz niezbitego dowodu (w postaci nadesłanych 1148 zestawów prac), że zainteresowanie fantastyką jako gatunkiem pisarstwa nie tylko nie maleje, lecz rośnie?

Czy usatysfakcjonował nas poziom, czy wyłoniły się nazwiska nowych, nieznanych dotąd pisarzy, a może jakieś większe nadzieje, talenty? Czy nie zraża startujących niezbyt przychylny dla gatunku, lub co najwyżej protekcjonalny, stosunek czołówki, czy raczej części czołówki krytyków do młodych pisarzy, wyraźnie zamanifestowany w książce wydanej zeszłego roku przez „Iskry"? Także i materialne podstawy działalności piszących fantastykę, uważaną przez wydawnictwa za dojną krowę, za dostarczyciela dużych zysków, w ostatnim czasie znacznie osłabły – przy takim tempie wydawania książek, przy takich cenach, odstręczających wręcz czytelnika, w ogóle bodźce do stawania się literatem, a jeszcze do tego traktowanym lekko pisarzem fantastycznym, musiały zmaleć. Z każdego, nawet i fantastycznego pisania trudno w ogóle wyżyć.

Mieliśmy też obawy innego rodzaju: rozpisywać konkurs po konkursie i oczekiwać cudu, to naprawdę trzeba być fantastą. Sądziliśmy, że po „Trzeciej bramie", wydanej przez sławną krakowską oficynę, jedyną, w której Stanisław Lem się produkuje, trudno będzie zapewne zmontować następną książkę na takim poziomie i to taką, która by się jak „Brama" dobrze sprzedawała. Niepokoił nas także rozwój wypadków po pierwszej turze konkursu. Spośród tych kilkunastu młodych, którzy tak świetnie wystartowali i zdobyli laury, tylko nieliczni potrafili się utrzymać na powierzchni, reszta nadsyłała rzeczy słabsze, jakby myślano, że po zwycięstwie można sobie odpocząć, pofolgować – to znaczy, nie zanadto dbać o wysokie loty. I takich opowiadań nie wydrukowaliśmy. Niestety, literatura jest dziedziną – jeśli się ją poważnie traktuje – w której nie liczy się odcinanie kuponów od uprzedniej sławy. Sprawdzać się tutaj trzeba raz po raz, inaczej klops. Ludzie przestają czytać – koniec kariery. Wprawdzie wydawało się i jeszcze wydaje w wielu naszych oficynach rzeczy zwane cegłami, ale praktyki te wykluczy szybko, tak że prawie całkiem będą musiały zniknąć, obecna sytuacja rynkowa – za t a k i e pieniądze nikt z ł e j książki nie kupi.

Na przekór jednakże wszelkim niepokojom, które targały nami, nagroda za mozolną pracę czytania utworów, wykonaną przez bez mała cały zespół redakcyjny przyszła w postaci plonu drugiej tury konkursu literackiego. Okazało się, że poziom warsztatowy tych, którzy nam swoje opowiadania nadesłali jest wyższy niż poprzedników. Ale równocześnie trzeba sobie uświadomić, że mamy do czynienia tym razem raczej z grupą osób reprezentujących nie najmłodsze pokolenie, dopiero co startujące – lecz osoby w wieku, no powiedzmy, średnim, w każdym razie to nie sama młodzież. Wśród zdobywców nagród są przecież nawet zawodowi pisarze i dziennikarze, a w każdym razie ludzie, którym i wcześniej nieobce było pisanie.

Dla mnie ogromną niespodzianką i radością stała się możliwość przyznania pierwszej nagrody Markowi S. Huberathowi z Krakowa i to nie jedynie dlatego, że żywię szczególny sentyment dla tego miasta i wierzę w jego *genius loci*, lecz przede wszystkim dlatego, iż jest to opowiadanie ze wszech miar godne uwagi. Autor potrafił nadać swemu utworowi niezwykle wartkie tempo i stworzyć atmosferę nieustannego napięcia, a równocześnie to co się dzieje z konkretnymi bohaterami ma charakter głębokiej metafory. Przecież każdy z nas jest w jakiś sposób kaleki, ułomny, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, pełen kompleksów. Kalecy bohaterowie opowiadania – i to jest znamienne w dążeniu do uzyskania pełni normalnego życia – nie kierują się egoistycznymi interesami, przeciwnie, starają się sobie wzajemnie pomóc, są tu więc mocne wartości etyczne. Opowiadanie, choć rozgrywa się w mrocznej, potwornej atmosferze miasta po wojnie atomowej (stopniowo ukazywanej i ujawnianej, a przez to jak gdyby ostrzej nas atakującej) nie wzbudza poczucia beznadziei, długo pozostaje w pamięci krótka historia miłości bohatera do niemej, ułomnej dziewczyny, nie ma chyba drugiej takiej we współczesnej literaturze SF. Może za bardzo chwalę Huberatha za jego nagrodzoną przez nas pracę, ale wydaje mi się, że tę jego pierwszą nagrodę dzieli spory dystans od następnych, mimo że i resztę nagród i wyróżnień przyznaliśmy bez taryfy ulgowej.

Mam nadzieję, że książka, jaka z tego powstanie zdobędzie sobie publiczność, podobnie jak „Trzecia brama". Także i tym razem czytelnicy dostrzegą z pewnością znaczną różnicę między fantastyką, wyróżnioną przez nas w pierwszej i drugiej turze konkursu, taką samą, jaką od tematyki uprawianej przez pokolenie Zajdla dzieliła tematyka opowiadań generacji Boryczki. Konflikty romantyczne jednostek wychodzą w tej nowej prozie fantastycznej, bardziej dojrzałej literacko i lepiej pisanej, na pierwsze miejsce, a i baśniowość coraz bardziej daje o sobie znać. Nie jest to jednak absolutnie typowa fantasy i szczerze wątpię czy u nas baśniowość ma jakąś wieksza i szczęśliwszą szansę na przyszłość.

Fakt pozostaje faktem: przez ostatnie miesiące mogliśmy dostarczać naszym Czytelnikom tej nowej, a w każdym razie innej fantastyki. Dziewięciu jest wyróżnionych i nagrodzonych, jak Państwo zapewne pamiętają z werdyktu jury ogłoszonego przed miesiącem. Czy wszyscy zostaną pisarzami, czy wytrzymają trudy tej profesji?
10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. 2906/87. K-22
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 29 czerwca 1987 r.

Czytelnicy i „Fantastyka"

Lądowanie LVI

W pełni lata (niespodziewanie upalnego) otrzymaliśmy mniej listów niż normalnie. Jest to zjawisko doroczne, po prostu na urlopach pisanie korespondencji ulega chwilowemu zawieszeniu, aby następnie wybuchnąć po sezonie całymi lawinami różnych wniosków z letniej lektury i propozycji jako wyniku wakacyjnych przemyśleń. Gdy porcja ta, którą w skrótach przygotował Wam Wasz Redaktor, ukaże się w druku, będzie już zapewne okres słot jesiennych. „Fantastyka" wkroczy w systematyczne orbitowania u progu nowego pięciolecia swej egzystencji. Zaczynamy dziś od wiadomości niespodziewanej i drastycznej.

Eutanazja

Przykro mi, że przesyłam tak smutną wiadomość, myślę jednak, że Czytelników „Fantastyki" zainteresuje – dotyczy przecież bardzo znanego autora, a raczej autorki. Podobne wrażenie, jak niegdyś śmierć słynnego Ernesta Hemingwaya wywołała tragiczna śmierć pisarki Alice Sheldon (lat 71), która drukowała swe utwory pod pseudonimem James Tiptree Junior, i jej ciężko chorego, przykutego cierpieniem do łóżka męża Huntingtona Sheldon (lat 84). Obydwoje martwych, z ranami postrzałowymi głowy, znaleziono pewnego wczesnego letniego poranka w ich domu. Z listu pozostawionego przez pisarkę wynikało, że aby skrócić cierpienia swoje i nieuleczalnie chorego męża, przecięła ona życie swoje i jego dwoma strzałami z pistoletu. Znany autor, także i z Waszej „Fantastyki", Robert Silverberg, przyjaciel obojga, oświadczył, że jeszcze w grudniu 1986 r. w liście do niego pani Sheldon donosiła o zamierzonym czynie eutanazyjnym, czyli o skróceniu cierpień męża i swoich, z nim uzgodnionym. Jak wiadomo, eutanazję, czyli samowolne skracanie cierpień poprzez samobójstwo lub zabójstwo, większość systemów moralnych i prawnych surowo potępia.

Pisarka była córką znanej podróżniczki i uczonej, wystartowała bardzo późno ze swoim pisarstwem, bo przed blisko 20 latami; mając wówczas około lat 50. Traktowała tę swoją twórczość fantastyczną jako relaks po wieloletniej pracy nad doktoratem. Wykładała na Uniwersytecie Amerykańskim i Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona psychologię eksperymentalną i statystykę. Czytelnicy polscy na pewno pamiętają jej szokujące opowiadania z łamów „Fantastyki". W ubiegłym roku w eseju opublikowanym w znanej gazecie „Washington Post" określono Alice Sheldon-Tiptree jako jedną z najlepszych nowelistek lat siedemdziesiątych!

Donosząc więc z przykrością o tym wydarzeniu, wstrząśnięty tragedią, polecam się łaskawej pamięci jako Wasz sympatyk, autor i fantasta.

Andrzej Urbańczyk
Montara (USA)

Więcej pań?

Tak. Waszemu Redaktorowi wydaje się, że trochę zmienia się skład naszych Czytelników, jako że dostajemy więcej listów od pań, rzadko przecież sięgających po literaturę fantastyczną. Oto fragmenty dwóch listów:

Czy nie uważacie, że pisarstwo fantastyczne jest w gruncie rzeczy antykobiece, opisuje raczej pozytywnych lub negatywnych Supermanów, nam, kobietom, pozostawiając bardzo drugorzędne role. Właściwie nie wiadomo czemu się tak dzieje. Wprawdzie w klasycznej literaturze przygodowej mężczyźni również dominowali, ale na przykład nasz Sienkiewicz w swojej „W Pustyni i w Puszczy" uczynił Nel postacią pierwszorzędną i równorzędną bohaterką powieści, podobnie stało się w „Na srebrnym globie" Żuławskiego. Kobiety w tej jego trudnej i smutnej opowieści mają olbrzymie pole do popisu. Czemu podobnej drogi pisarskiej nie obserwujemy we współczesnej polskiej powieści przygodowej, której niewątpliwie ważny etap stanowi science fiction? Może by ktoś pokusił się o napisanie eseju na ten temat, może pisarze zmieniliby front. Toż w fantastyce jest jak przed wiekami, tymczasem w rzeczywistości współczesny świat spoczywa pod pantofelkiem wpływowych, rządzących kobiet. I jakoś najnowsza literatura tego nie odzwierciedla...

Lena Drozdowska z Wrocławia

„Fantastykę" czytuję od dawna. Nie wszystko jednak mi się w niej podoba, na przykład poezja. Nie jest to taka poezja, jaką sobie można wymarzyć, czyżbyście nie mieli dostępu do lepszej? W dotychczas drukowanych utworach znalazłam dla siebie zaledwie dwa, trzy wiersze, które mi się podobały... Niektóre dobre ilustracje zamieszczacie niestety w środku i trzeba je oglądać przez lupę, a wiele słabszych obrazków wędruje na okładki. Lubię bardzo Siudmaka i Achilleosa za ich przedstawianie kobiet. Co z komiksem, kiedy wystartuje jakiś dodatek, o którym słyszałam, że ma być; teraz – czyste kpiny – dwie kartki na komiks w „Fantastyce", koń by się uśmiał. Bardzo cenię sobie w numerach pisma krótkie biografie autorów oraz szkice o filmie. To jest dobre. Poszukuję „Fantastyki" nr 1–3/82, 4–10/83, 20 i 24/84, 28, 29, 34, 38 i 39/85 oraz 45 i 47/86.

Marzena Rzeszutek
Kopernika 2/60
Leżajsk

A propos komiksu

Będzie mnie interesować „Komiks-Fantastyka", jeśli powstanie. Uważam, że taki dodatek nie powinien zawierać jedynie jednego komiksu, lecz kilka komiksów w odcinkach. Poszczególne odcinki powinny być od siebie oddzielane malarstwem i grafiką SF. Moglibyście także pisywać szerzej o twórcach, opisywać słynnych bohaterów komiksowych. Dobrze by było, abyście drukowali, także w formie komiksowej, klasykę SF. Każdy z fanów wie, kto to Superman, kto Flesh Gordon itd., ale tak naprawdę to kto i gdzie oglądał komiksy z nimi? Na dodatek w języku polskim?

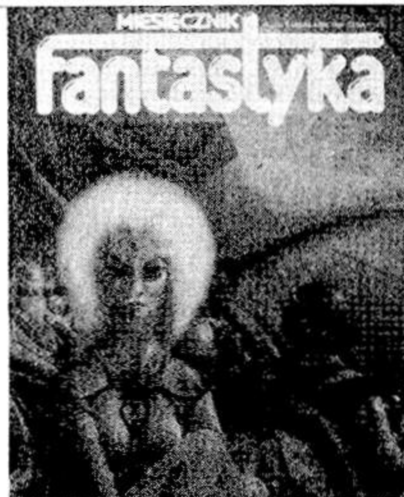
W numerze kwietniowym drukowaliście tzw. fantastykę ekstrawagancką. Nie była ona znowu taka najlepsza i taka ekstrawagancka, ale sądzę, że podobnych utworów można by drukować więcej i częściej. W tej samej „Fantastyce" gościł Frank Frazetta, to było wspaniałe. Jego też przydałoby się częściej. Najlepiej w dodatku kwartalnym.

W związku z pięcioleciem „Fantastyki" przesyłam komiksowe życzenia. Uważam także, że redaktor AH z drugiej kolumny powinien mieć z tej okazji bardziej promienne oblicze.

Grzegorz Weigt z Prudnika

Przypominam wszystkim naszym Czytelnikom, że już ostatnia chwila, aby opłacić prenumeratę „Fantastyki" na następny rok. Warunki podajemy w ogłoszeniu poniżej.

Redaktor



Mike Resnick

Łowy na JEDNOROŻCA z karabinem i kamerą

(Stalking the Unicorn with Gun and Camera)



Kiedy Rheela z Siedmiu Gwiazd zbliżyła się do stada południowosawannowych jednorożców, które tropiła od czterech dni, złożyła hołd Quatr Mane'owi, Bogowi Polowania, potem założyła Amulet z Kobassen i sprawdzając, czy wciąż znajduje się od nawietrznej strony stada, zaczęła się doń zbliżać z kamerą w ręce.

Ale Rheela z Siedmiu Gwiazd popełniła jeden błąd – błąd zaniedbania i w trzydzieści sekund później była już martwa, brutalnie przebita rogiem jednorożca – byka.

★

Hotack Zwierzobójca ostrożnie wspinał się po zboczu Góry Bezimiennego. Był umiejętnym tropicielem, nie znającym strachu myśliwym i świetnym strzelcem. Odnalazł trop, doszedł zwierzę na odległość wzroku i cisnął swoją maczugą. Leciała prosto do celu.

A jednak, w niecałą minutę później, Hotack, z poważnie zranioną lewą nogą, ledwie był w stanie doczołgać się do dającego schronienie Tęczowego Drzewa. On także popełnił błąd – błąd ignorancji.

★

Bort Niewinny miał za sobą udane safari. Jego łupem padły trzy chimery, gorgona i pięknie dobrana para gryfów. Podczas gdy jego trolle obciągały skórę z gorgony, Bort zauważył jednorożca zabawiającego się swym rogiem o rekordowych rozmiarach. Ruszył za nim z bronią w ręku. Teren powoli zmieniał się i nagle Bort znalazł się w smoczej trawie, sięgającej mu do ramion. Niezrażony szedł dalej, wchodząc w coraz gęstszą roślinność.

Ale Bort Niewinny także popełnił błąd – błąd głupoty. Jakieś sześć godzin później trolle znalazły to, co z niego pozostało, a nie było tego dużo.

★

Zaniedbanie, ignorancja i głupota – prowadzą do większej liczby wypadków śmiertelnych wśród myśliwych polujących na jednorożce, niż wszystkie inne powody razem wzięte.

Przyjrzyjmy się naszym przykładom. Wszyscy troje – Rheela, Hotack i Bort mieli duże doświadczenie w polowaniach. Byli przyzwyczajeni do różnych temperatur i terenów. Nie przeszkadzało im, jeżeli w piwie trafił się jakiś robak lub gdy nocą w namiocie pojawiały się duchy. Wiedzieli, że grają w śmiertelnie niebezpieczną grę i zanim ją rozpoczęli, podejmowali wszystkie rozsądne środki ostrożności.

A mimo to dwoje z nich straciło życie, a trzeci został ciężko okaleczony.

Przeanalizujmy ich błędy i zobaczmy, jakie można wyciągnąć z nich wnioski. Rheela z Siedmiu Gwiazd wiedziała wszystko, co jej osobisty czarnoksiężnik mógł powiedzieć o jednorożcach, była wyposażona w profesjonalny sprzęt fotograficzny, wynajęła przewodnika tubylca, który miał za sobą wiele polowań na jednorożca i otrzymała od miejscowej wiedźmy-znachorki błogosławieństwo dla swego Amuletu z Kobassen. A jednak kiedy nadszedł atak, Amulet nie pomógł, bowiem błędnie zidentyfikowała napotkany typ jednorożców – a przecież ciągle podkreślam podczas moich wykładów, że Amulet z Kobassen działa tylko przeciwko rzadko występującym i prawie zanikającym jednorożcom leśnym. Na jednorożce południowosawannowe działa jedynie Talizman z Triconis. Zaniedbanie.

Hotack Zwierzobójca zlekceważył z kolei wszystkie formy nadprzyrodzonej ochrony. Dla niego istotą polowania była fizyczna walka sam na sam z wybraną zwierzyną. Jego maczuga, misternej roboty i świetnie wyważona – wspaniałe narzędzie zagłady – położyła już niejednego simurgha, humbaba czy nawet przerażającą, wełnistą hydrę. Hotack wybrał jako cel głowę i maczuga prawie ją osiągnęła. Ale zapomniał o fenomenalnym zmyśle powonienia jednorożców, a także o szybkości, z jaką te dzikie zwierzęta mogą się poruszać. Zaalarmowany obecnością Hotacka jednorożec odwrócił głowę, żeby zobaczyć swego prześladowcę – i zabójcza maczuga świsnęła obok jego rogu. Gdyby Hotack porozmawiał z którymkolwiek ze starych myśliwych polujących na jednorożce, wiedziałby, że cios w głowę praktycznie nie może się udać i zdecydowałby się celować w kolano. Ignorancja.

Bort Niewinny, świadomy wyjątkowej przewagi, jaką ma nad jednorożcem osoba czysta, zachowywał całkowitą abstynencję seksualną od czasu, gdy zaczął rozumieć, co ten termin oznacza. A jednocześnie naiwnie wierzył, że skoro zwierzę pozwoli mu – dzięki jego niewinności – bardziej się zbliżyć, to stanie się też łagodniejsze. Podążał więc za złośliwym stworzeniem, które wyprowadziło go w łan wysokich traw, gdzie było dość miejsca do manewru koniecznego podczas nieuchronnego ataku. Głupota.

Każdego roku setki pełnych nadziei myśliwych wyruszają w poszukiwaniu jednorożców i każdego roku prawie wszyscy wracają z pustymi rękami – jeżeli w ogóle wracają. A przecież jednorożca można podejść zupełnie bezpiecznie i upolować go, jeżeli tylko łowca poświęci trochę czasu, żeby poznać swój przyszły łup.

W istocie rzeczy, jednorożec jest względnie łagodnym zwierzęciem (chyba że został rozjuszony). Jest to stworzenie o stałych nawykach, których poznanie umożliwi przyszłemu fotografowi lub zbieraczowi trofeów myśliwskich powrót do domu ze zdjęciami lub rogiem, po przeżyciu przygody nie groźniejszej niż pojedynek z ośmioogoniastym smokiem, a na pewno łatwiejszej niż łapanie na lasso dzikich minotaurów, który to sport stał się

ostatnim krzykiem mody wsród odwiedzających Platynowe Pasmo.

Jednakże, zanim zdobędzie się fotografię lub zabije jednorożca, trzeba go najpierw odnaleźć – a najłatwiejszą drogą do napotkania stada jest podążanie za rodziną snerpów, biorącą udział w wielkiej migracji. Snerpy, jak wiadomo, nie mają naturalnych wrogów poza rafsheenami i rumakinami, a więc pozwalają się zbliżyć do siebie ludziom (lub nadludziom) całkiem blisko.

Tu słowo ostrzeżenia przed snerpami: dzięki swym długim uszom i ruchliwemu, kosmatemu ciału bardzo przypominają zające – ale snerp to nie zając i błędem byłoby nie doceniać siły tych paskudnych, małych padlinożerców. Chociaż zazwyczaj polują one w grupach po dziesięć do dwudziestu osobników, nieraz widziałem pojedynczego snerpa, którego emanacja świeciła z dziwną siłą, zdolną powalić nawet młodego jednorożca. Snerpy są słabo odżywione, a ich skóra niewiele jest warta ze względu na trudności w konserwowaniu i garbowaniu ich emanacji. Trofea z nich są raczej kiepskie (chyba że komuś uda się zdobyć naprawdę wspaniałą parę uszu) i na wielu obszarach są one, prawdę mówiąc, traktowane jako szkodniki. Rozważny myśliwy może jednak zaoszczędzić sobie wiele czasu i wysiłku, jeżeli po prostu pozwoli poprowadzić się snerpom do swojej ofiary.

Nie zdarzają się już legendarne stada jednorożców, liczące po tysiąc sztuk, które istniały w czasach, kiedy kłusownictwo na te zwierzęta dopiero się rozpoczynało, a typowa grupa w dzisiejszych czasach składa się z pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu osobników. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy fotograf bezpiecznie ukryty u wodopoju mógł utrwalić na filmie nie kończący się strumień ciągnących do wody zwierząt. Można doznać absolutnego szoku, jeżeli uświadomimy sobie, ile musiało paść jednorożców, żeby ich rogi mogły być sprzedawane na czarnym rynku. Tym bardziej zatrważające jest to, że w naszych oświeconych czasach wszyscy nadal wierzą, iż proszek uzyskany z rogu jednorożca może służyć jako afrodyzjak. (A przecież byle mag może wam powiedzieć, że róg jednorożca należy namoczyć w wyciągu z gracha, a potem gotować na wolnym ogniu w roztworze krwi sfinksa. I dopiero wtedy otrzymuje się afrodyzjak.)

Ale odbiegam od tematu.

Jednorożec, będąc roślinożercą, zadowala się zarówno trawą, jak i liśćmi, owocami czy nawet niekiedy niewielkimi paprociowcami. Na pastwiskach sąsiaduje z różnymi innymi zwierzętami, najczęściej centaurami i pegazami.

Kiedy już natrafimy na stado jednorożców, podchodzić do nich należy z ogromną ostrożnością i rozwagą. Mają co prawda słaby wzrok i niewiele lepszy słuch, ale za to niesłychany zmysł węchu i zupełnie niesamowity zmysł grimschu, o którym napisano już tyle, że nie ma powodu, byśmy wdawali się w ten temat jeszcze raz.

Jeżeli ktoś z was wybiera się na safari z kamerą, zdecydowanie odradzałbym zbliżanie się na odległość bliższą niż sto metrów, nawet jeżeli ma to być spotkanie z pojedynczą sztuką, a nie całym stadem – chodzi mi znowu o zmysł grimschu, to jasne – a większość znanych mi fotografów zarecza, że odległość taka jest zupełnie wystarczająca przy użyciu soczewki 85/350 mm, oczywiście pod warunkiem, że została ona pobłogosławiona przez Czarownika Trzeciego Zakonu. Jeżeli nie uda nam się zrobić odpowiednich ujęć przed zachodem słońca, jak najgoręcej zalecałbym przerwanie zdjęć i powrócenie następnego ranka. Używanie lampy błyskowej jest oczywiście możliwe, ale ma tę wadę, że może przywabić golema i inne, nawet bardziej niepokojące nocne drapieżniki.

I jeszcze jedna uwaga końcowa dotycząca zdjęć: z powodów, których żaden z alchemików nie był dotąd w stanie wyjaśnić, nie udało się nigdy zrobić zdjęcia jednorożcowi przy użyciu filmu o standardowej emulsji, niezależnie od czasu ekspozycji. Należy więc upewnić się, czy używamy jednego z popularnych filmów do podczerwieni. Trudno byłoby sobie wybaczyć spędzenie całych tygodni na safari, wraz z opłatami przewodnika, kucharza i trollów, gdybyśmy wrócili z plikiem zdjęć lasu, który na naszych fotografiach miał być jedynie tłem.

Natomiast jeżeli chodzi o polowanie, najważniejszą do zapamiętania rzeczą jest to, że zwierzęta dzieli od nas taka sama odległość , jak nas od nich. Z tego powodu, chociaż daleki jestem od niedoceniania krwawych ofiar, używania amuletów, talizmanów i błogosławieństw, z których każde ma swoją wagę, sam zawsze czuję się lepiej, jeżeli trzymam w rękach wielkokalibrowy Nitro Express. Trochę dodatkowej mocy w broni zawsze dobrze działa na samopoczucie.

Niewątpliwie będziecie chcieli upolować jednorożca-byka. Ich rogi są bardziej okazałe niż rogi łań – a gdy róg jest już tak duży, żeby warto go było zdobyć, jego właściciel jest prawdopodobnie bardzo stary i stanowi tylko obciążenie dla stada.

Strzał w głowę, z powodów podanych wcześniej, nigdy nie jest rozsądny. Jeżeli czarnoksiężnik obdarzy was Magicznym Znakiem Mamhoteta, który pozwala podejść zwierzę tak blisko, żeby nasypać mu soli na ogon, co przykułoby go do miejsca, w którym się znajduje, zalecałbym strzał w serce (przy czym obojętne jest, w które – a jeżeli macie karabin z podwójną lufą, można starać się trafić równocześnie w oba, tak na wszelki wypadek).

Gdy nie będziecie mieć szczęścia i jedynie zranicie zwierzę, ucieknie ono natychmiast między drzewa lub w wysoką trawę, co postawi was w bardzo niekorzystnej sytuacji. Niektórzy myśliwi w takim przypadku pozwalają zakończyć robotę snerpom – które przecież rzadko pożerają rogi, chyba że są naprawdę bardzo zgłodniałe – ale takie postępowanie trudno nazwać sportowym. Przyzwoity, honorowy myśliwy, świadomy niepisanych praw tego krwawego sportu, sam podąży za jednorożcem.

Należy dążyć do tego, żeby spotkać go na całkowicie odsłoniętym terenie. Gdy jednorożec schyli głowę do ataku, jest praktycznie ślepy. Jedyne, co musicie wówczas zrobić, to zwinnie mu umykać i w odpowiednim momencie znowu strzelić. Gdybyście jednak posiadali Znak Mamhoteta, będzie to idealny moment na użycie soli i posypanie ogona.

Myśliwy znajduje się w znacznie poważniejszej sytuacji, gdy reguły gry dyktuje jednorożec. Zwierzę zazwyczaj zawraca i kładzie się w wysokich trawach w pobliżu swego wcześniejszego tropu, gdzie czeka, żeby zaatakować nadchodzącego myśliwego.

W takim właśnie przypadku polujący musi wykorzystać cały swój spryt. Prawdopodobnie najrozsądniejsze jest wówczas wypatrywanie Ziejących Ogniem Latających Smoków. Te szkodliwe, małe insekty często żyją w symbiozie z jednorożcami, oczyszczając ich uszy z pasożytów i ich obecność oznacza zwykle, że gdzieś w pobliżu znajduje się także jednorożec. Innym jeszcze znakiem, że wasz łup jest niedaleko, będzie obecność głodnych harpii, krążących wokół i czekających, żeby rzucić się i posilić szczątkami ofiary. No i najpewniejszym oczywiście dowodem będzie wściekłe pochrząkiwanie i widok wpatrzonych w was, małych, przekrwionych, pełnych nienawiści oczu zranionego stojącego nie dalej niż trzy metry od was, a może nawet bliżej. W takich momentach czuje się naprawdę, czym jest życie, zwłaszcza że łatwo wtedy sobie uświadomić, że jest to stan, który łatwo może ulec zmianie.

W porządku. Załóżmy teraz, że polowanie się powiodło. I co dalej? Cóż, wasze trolle ściągną skórę i z wprawą zajmą się odłączeniem i konserwacją rogu. Jeżeli są to dobrze przeszkolone trolle, to przy okazji zrobią ze skóry dywanik, z kopyt – popielniczki, z zębów – naszyjnik, z ogona – packę na muchy, z moszny – woreczek na tytoń. Moim zdaniem należy to wszystko zrobić, żeby udowodnić walczącym o prawa jednorożców mięczakom, iż polowanie daje znacznie więcej niż tylko kilka minut sportowej przyjemności i róg.

A gdy już mówię o tym, co można uzyskać z jednorożca, chciałbym podkreślić, że stracicie naprawdę pamiętne przeżycie, jeżeli powrócicie z safari nie skosztowawszy mięsa tego zwierzęcia. Nie ma nic, co można by porównać z jednorożyną pieczoną na ognisku, wieńczącym udane polowanie (ale należy pamiętać, żeby zostawić coś dla snerpów, które mogłyby niepotrzebnie dojść do wniosku, że myśliwy jest równie smaczny, jak jego łup).

A więc bierzcie amulety i talizmany, odwiedzajcie magów i czarowników, pakujcie swe kamery i karabiny – i udanych łowów!



W następnym tygodniu: Pojedynek wzrokowy z meduzą.

Przełożyła Dorota Malinowska

Mike RESNICK

Urodził się w roku 1942, w Chicago, gdzie ukończył uniwersytet. Pisząc pierwszą powieść przygodową chciał wyrobić sobie pojęcie o szermierce i zapędził się do mistrzostw kraju. Jest również jednym z czołowych hodowców owczarków szkockich. Wraz z żoną Carol bierze żywy udział w życiu Fandomu. Mike Resnick pisze zawodowo od 22 roku życia, otrzymał kilka nagród za opowiadania i książki – nie tylko fantastyczno-naukowe. Najbardziej znana jest jego seria („Tales of the Galactic Midway") humorystycznych powieści o artystach z wędrującego po kosmosie wesołego miasteczka.

L.J.

Gene Wolfe

PIERZASTE TYGRYSY

(Feather Tigers)

– Ta wielka rzeka w dole to Mekong – powiedział jacht powietrzny. – To bardzo słynna rzeka. Moi panowie prowadzili w jej okolicach wojnę, która trwała... z pewnością nie uwierzyłbyś, jak długo.

– Zgadza się – odparł Quoquo, psycholog. Był miękki, niebieski i przypominał trochę wyrośniętego nad miarę królika. – Nie uwierzyłbym. I ciągle nie mogę zrozumieć, po co twoi, jak ich nazywasz „panowie" stworzyli maszyny, które kłamią.

– Wydawało mi się – zauważył z szacunkiem jacht – że twoim głównym zadaniem jest właśnie zrozumienie moich odeszłych w niebyt szacownych panów. Z całą pewnością...

– Zamilcz, proszę – powiedział Quoquo, który co prawda rejestrował tę rozmowę z myślą o swoich przyszłych wykładach, ale teraz wolałby zdecydowanie porozmawiać za pośrednictwem przytroczonego do pasa komunikatora z jednym ze znajdujących się w dole uczestników ekspedycji.

– Oczywiście. Czy mam zniżyć lot? Mógłbym wtedy pokazać ci wiele interesujących rzeczy. Gdybyś chciał, moglibyśmy nawet przelecieć kilka razy nad Angkor Thom.

– Leć tam, gdzie ci kazałem.

Jacht rozpostarł skrzydła (podczas lotu z prędkością naddźwiękową były one przyciśnięte do kadłuba i maszyna przypominała wysmukłą, srebrną strzałę, teraz jednak, z rozstawionymi szeroko płatami i rakietowym ogniem liżącym niezniszczalną powłokę, jacht wyglądałby jak Feniks, gdyby oczywiście przyglądała mu się choćby jedna para oczu, którym widok Feniksa byłby znajomy) i wylądował nie opodal Eksperymentalnej Stacji Biologicznej 73, celu podróży Quoquo.

– Za życia moich panów miejsce to było częścią Kambodży – oznajmiła maszyna. – Nie mogę ci podać nazwy miasta, bo żadnego nie ma w pobliżu. Te góry, które widzisz, to Pasmo Dangrek.

Quoquo tylko chrząknął w odpowiedzi.

Nieco później Dondiil, biolog przebywający na stałe w Stacji, zapytał z podziwem w głosie:

– Przyleciałeś jedną z i c h maszyn?

– Oczywiście – parsknął Quoquo. – Chciałem się czegoś dowiedzieć, a poza tym są znacznie szybsze od naszych.

– I dowiedziałeś się czegoś?

Quoquo pogłaskał się po brzuchu, zaczesując sobie futerko w poziome pasy. Był to zwyczajowy gest wyrażający negację połączoną z zakłopotaniem.

– Spędziłem już tysiące godzin próbując wyciągnąć coś z tych maszyn i powinienem wiedzieć, że to beznadziejna sprawa... Ale cóż, zawsze przecież ma się nadzieję.

Dondiil przyznał mu rację energicznym potrząśnięciem całego ciała.

– Przekonałem się, że ich maszyny dysponują bardzo ograniczonym zasobem wiedzy – powiedział dyplomatycznie. – Biologicznej wiedzy, rozumie się.

Quoquo zdawał się go nie słyszeć.

– Znają historię i geografię – mówił. – Geografia to nazwy miejsc, a historia to bezsensowne walki i wyprawy. Pewien mój kolega spędził wiele razy po dwadzieścia okresów czuwania, żeby udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Paryż we Francji i Paryż w Teksasie nie miały ze sobą nic wspólnego oprócz nazwy. „Francja" znaczy tyle, co „Kraina Franków", czyli tych, którzy zawsze mówią prawdę.* „Teksas" oznacza „Kraj Przyjaciół", czyli tych, którzy ze sobą nie walczą. „Przyjaciele", na których cześć tak nazwano tę Krainę, byli kanibalami. Czy to nie robi wrażenia?

– Z psychologicznego punktu widzenia może i tak – przyznał Dondiil – ale jako biolog uważam za zupełnie naturalne, że obszary nadmorskie i wyspy są deficytowe, jeżeli chodzi o proteiny pochodzenia zwierzęcego.

– Obecnie – kontynuował swoją myśl Quoquo – mam zamiar badać te istoty w ich najbardziej prymitywnym stadium rozwoju.

– A jak ja mogę ci pomóc?

– W trakcie moich przygotowań skatalogowałem ponad dziesięć dwudziestek takich prymitywnych grup i uszeregowałem je według ilości informacji, jakimi na ich temat dysponuję. Jedna ze stojących na najniższym szczeblu rozwoju nazywała się „Ludźmi Żółtych Liści". Czy wiesz coś może na ich temat?

Dondiil pogładził się poziomo po brzuchu.

– Zamieszkiwali dokładnie ten obszar. Cechowało ich posiadanie pewnego przesądu, nie występującego w żadnej innej części planety – wierzyli w istnienie „pierzastych tygrysów".

Uszy Dondiila ustawiły się w pozycji wyrażającej wielkie zainteresowanie.

– Wiesz, nad czym pracuję – wpadł w słowo koledze. – Usiłuję odtworzyć ten wymarły gatunek, to znaczy te zwierzęta, które oni nazywali „tygrysami"... – Przerwał, żeby po chwili dodać: – Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, jak to może pomóc w rozwiązaniu twego problemu, czyli zniknięcia rasy, która niegdyś władała tym światem.

Quoquo stał przez chwilę w miejscu, poruszając szybko swym ogonkiem, po czym zaczął przechadzać się po pomieszczeniu.

– Wiemy z badań nad pozostawionymi przez nich zapisami, jak również z tego, co usłyszeliśmy od ich maszyn, że przed ich zniknięciem wyginęło wiele gatunków dzikich zwierząt.

Dondiil przytaknął mu energicznym potrząśnięciem ciała.

– Na przykład pewne prymitywne plemię zamieszkujące basen Kongo, Batwa – kontynuował Quoquo – wyginęło mniej więcej w tym samym czasie, co goryl nizinny. Podobnie po wytrzebieniu pelikana brązowego nie spotyka się już wzmianek o francuskojęzycznej ludności zamieszkującej obszary nad dolną Missisipi.

– A Ludzie Żółtych Liści?

– Zniknęli w tym samym czasie, co twoje tygrysy.

– Ale chyba nie uważasz, że ponowne pojawienie się tygrysów...

– ... spowoduje ponowne pojawienie się związanego z nimi plemienia – zaśmiał się Quoquo. – Oczywiście, że nie. Ale jako psycholog bardzo chciałbym wiedzieć, jak obecność tych zwierząt wpływała na umysłowość mieszkających tu niegdyś istot. W przypadkach, o których ci wspomniałem, nie ma żadnych szans na przekonanie się o tym, a to dlatego, że po tamtych zwierzętach nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Tobie natomiast udało się odtworzyć tygrysy i to dokładnie w tym samym miejscu, gdzie żyła związana z nimi grupa. Chciałbym spróbować odczuć to, co czuły te wymarłe istoty. Mogę nauczyć się myśleć tak, jak one i wtedy dowiemy się o wiele więcej, niż udało nam się dowiedzieć do tej pory.

– Ale przecież tygrysy istniały naprawdę – zaprotestował Dondiil. – Odnaleźliśmy kilka kompletnych szkieletów. Ty zaś powiedziałeś, że pierzaste tygrysy były tylko przesądem.

– Bo były. Ludzie Żółtych Liści wierzyli, że tygrysy – te prawdziwe, którymi ty się zajmujesz – potrafią oddzielić swoją duszę od ciała i wysłać ją naprzód w poszukiwaniu zdobyczy. Ich obecność można było stwierdzić na podstawie specyficznego układu światłocieni, słonecznych plam, drżenia liści i temu podobnych fenomenów, kojarzących się obserwatorowi z prawdziwymi tygrysami.

– A dlaczego nazywano je „pierzastymi"? – zapytał Dondiil.

– Przy najlżejszym podmuchu wiatru te „tygrysy", rzecz jasna, znikały. Ludzie Żółtych Liści tłumaczyli to tym, że dusze tygrysów są niezwykle lekkie, jak pióra, i że wiatr unosi je po prostu ze sobą. – Westchnął. – Gdy ludzie z grup stojących na wyższym szczeblu rozwoju przybywali w te okolice, nie mogli się nadziwić, że przesąd ten jest przyczyną tak ogromnego strachu i przerażenia. A jednak, gdy zniknęły tygrysy, zniknęli też Ludzie Żółtych Liści, być może byli bardziej związani z naturą niż przypuszczali to ci, którzy ich odwiedzali. Zdaje się, że tak też miała się sprawa z całą tą rasą.



Grzegorz Komorowski

– Czy nie nadużyję twej cierpliwości, jeśli poproszę cię o wyjaśnienie, dlaczego tę grupę nazywano Ludźmi Żółtych Liści? – zapytał Dondiil.

– Bali się bardzo znacznie liczniejszej i bardziej zaawansowanej w rozwoju grupy zwanej Syjamczykami – wyjaśnił Quoquo. – Syjamczycy zabijali ich mężczyzn i zabierali ich kobiety. Z tego powodu całe plemię kryło się w najbardziej niedostępnych częściach gór, schodząc do dolin tylko wtedy, gdy zmuszał ich do tego głód. Najczęściej było to w okresie suszy, przed nadejściem zimowego monsunu.

– Rozumiem. Wtedy wyschnięte liście, szczególnie bambusu, są właśnie koloru żółtego.

– Otóż to. I tylko wtedy mógł ich zobaczyć ktoś obcy. Czy mógłbyś mi teraz pokazać swoje tygrysy?

Klatki, w których Dondiil trzymał zwierzęta stanowiące owoc jego doświadczeń, znajdowały się na zewnątrz. Jego asystenci utrzymywali wokół nich dwudziestostokowej szerokości pas wolny od roślin; w miejscu, gdzie się kończył, zaczynała się nieprzebytą ścianą dżungla wschodniej Azji. Quoquo przyglądał się temu przez chwilę, po czym odwrócił się w stronę okazów Dondiila.

– Niezwykle ciekawe – zauważył. – Czy te czarno-pomarańczowe pasy są autentyczne?

– Jak najbardziej – odparł Dondiil.

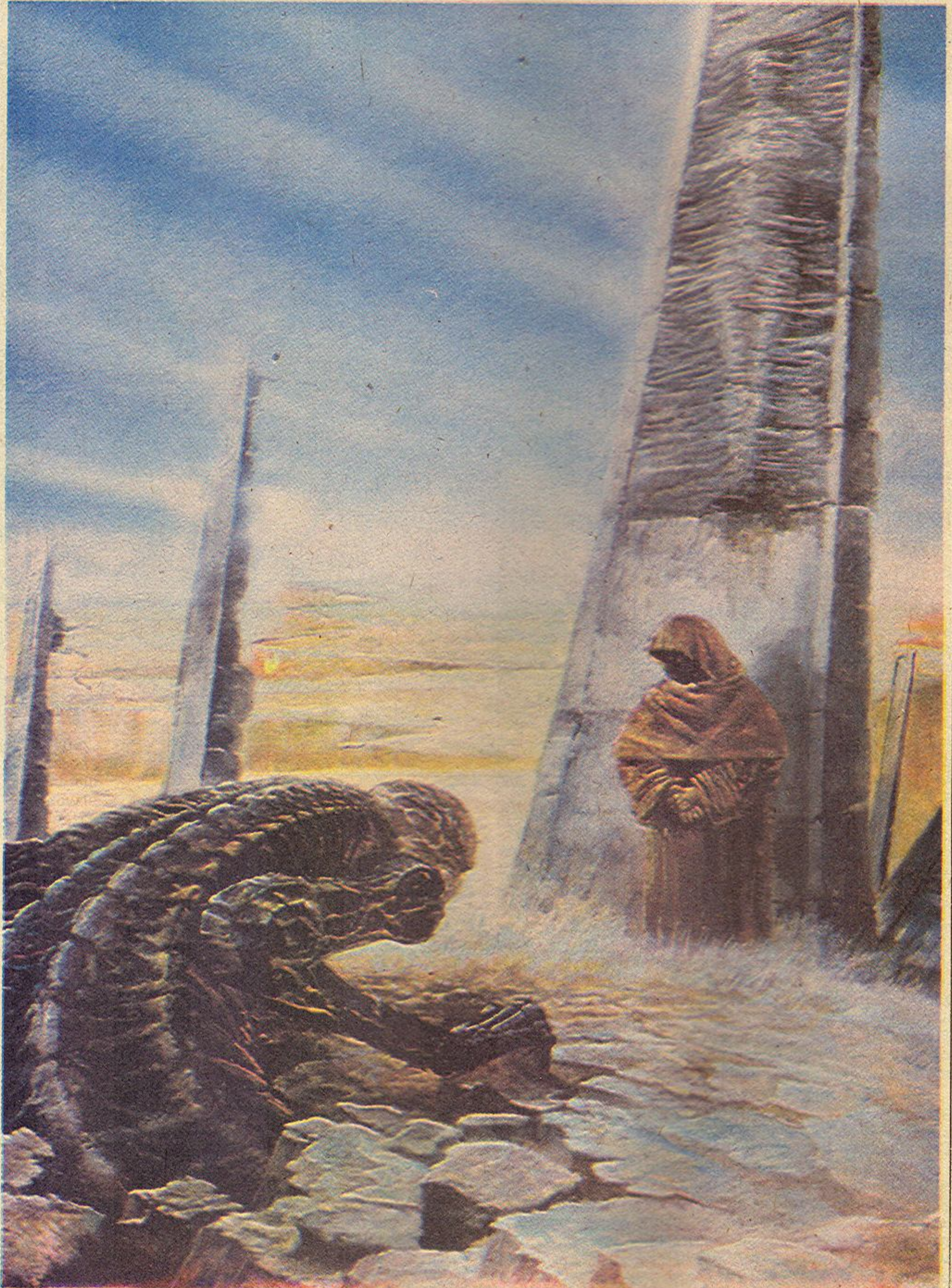
– Powiedz mi, jak to osiągnąłeś? Jak można odtworzyć zupełnie umarły gatunek zwierząt?

Mówiąc to Quoquo dotknął ręką swego prawego ucha, co znaczyło, że chociaż wie, co za chwilę usłyszy, to jednak uważa, że zwykłe zasady dobrego wychowania wymagają, żeby jednak zadał te pytania i ewentualnie skorygował lub poszerzył zakres posiadanych przez siebie wiadomości.

– Odkryliśmy sporo materiałów, w tym także kolorowe zdjęcia – odparł skromnie Dondiil. – Do tego jeszcze natrafiliśmy na szkielety, o których już ci wspominałem. W dodatku, chociaż tygrysy jako takie wyginęły, zachowało się wiele gatunków mniejszych, spokrewnionych z nimi kotów. Krzyżowaliśmy je przez dwie dwudziestki obiegów tej planety dokoła Słońca, zmieniając ich kod genetyczny i dobierając materiał z każdego następnego pokolenia pod kątem rozmiarów, ubarwienia i innych cech charakterystycznych dla tygrysów.

– Ale – odezwał się Quoquo unosząc dłoń w geście przerywającym rozmówcy wypowiedź, chociaż Dondiil i tak przestał już mówić – czy moglibyście przeprowadzić selekcję również pod kątem charakterystycznego dla tygrysów zachowania? Mam przed sobą pięć wielkich, pręgowanych zwierząt, które obserwują mnie niesamo-

ANDRZEJ WROŃSKI



witymi, pięknymi oczami, ale czy to mają być właśnie te okrutne bestie, siejące postrach wśród Ludzi Żółtych Liści? Leżą właściwie bez ruchu, jeśli nie liczyć koniuszków ich ogonów i jeżeli mam być szczery, to ich widok wcale nie wywołuje u mnie dreszczu przerażenia.

– Jest całkiem prawdopodobne, że pod tym względem mój eksperyment niezupełnie się powiódł – przyznał markotnie Dondiil – chociaż muszę powiedzieć, że dostarczane im bydło zabijają niezwykle sprawnie.

– Nie znam się na psychologii zwierząt, ale jeśli chcesz, dam ci adres mojego kolegi, który być może mógłby ci coś doradzić. – Mówiąc to odwrócił się, żeby odejść, ale w tej właśnie chwili jeden z tygrysów zakaszlał. Był to głęboki, wibrujący dźwięk, zakończony długim, powtarzanym wielokrotnie „rrr".

– Któreś z twoich zwierząt jest chyba chore – zauważył Quoquo.

– Och, nie – odparł Dondiil. – To charakterystyczny dla nich odgłos. Zbliża się pora karmienia, dlatego robią się trochę niespokojne.

Quoquo ponownie spojrzał w kierunku klatek. Jedno ze zwierząt usiadło i w momencie, kiedy na nie patrzył, rozwarło paszczę w szerokim ziewnięciu.

– Mają wspaniałe zęby – zauważył Quoquo.

– Ten akurat jest jednym z mniejszych. Powinieneś zobaczyć tego dużego, tam, w kącie.

– No cóż, bardzo to było ciekawe – powiedział Quoquo zacierając dłonie w geście wyrażającym zadowolenie z gościnności gospodarza. – Zyskałem wiele nowych wiadomości, ale teraz muszę już zająć się mymi własnymi sprawami.

– Zamierzasz przejść się po dżungli?

– Oczywiście. Jakże inaczej mógłbym obserwować i fotografować te cienie i plamy światła, o których ci mówiłem? Mam przy sobie komunikator, więc gdybyś był uprzejmy włączyć nadajnik wysyłający sygnał kierunkowy, to z pewnością uda mi się uniknąć zabłądzenia, sam natomiast zatroszczę się o to, żeby nie wpaść do żadnej przepaści.

– Nie chcesz zobaczyć, jak karmimy zwierzęta? – zapytał z lekkim rozczarowaniem w głosie Dondiil. Niezbyt często miewał tutaj gości.

– Najpóźniej jutro muszę być z powrotem za biurkiem – odparł Quoquo sprawdzając, czy wszystko w porządku z jego aparatem. – Jest tu jakieś wejście do dżungli, czy będę musiał używać miotacza?

– Będziesz musiał – powiedział Dondiil. – Tak właśnie zawsze robimy. Trzeba iść prosto przed siebie, a prędzej czy później zawsze trafi się na trop jakiejś zwierzyny.

Quoquo pochylił głowę (konwencjonalny gest oznaczający przyjęcie czegoś do wiadomości), odbezpieczył miotacz, ustawił przełącznik mocy rażenia w pozycji środkowej i nacisnął spust. W zielonej ścianie pojawiła się stuskokowej długości i jednoskokowej średnicy dziura.

W ciągu dwóch godzin udało mu się przejść spory kawał w głąb dżungli i sfotografować ogromną liczbę cieni, poruszających się liści i zielonych drzew, które jednak, jak musiał przyznać w duchu, w najmniejszym nawet stopniu nie przypominały pręgowanych zwierząt Dondiila. Na użytek przenośnego rejestratora powiedział:

– Od jakiegoś czasu wędruję po porośniętych dżunglą zboczach Gór Dangrek, stanowiących niegdyś ostatnią ostoję prymitywnego plemienia zwanego Ludźmi Żółtych Liści i dużego, mięsożernego zwierzęcia zwanego „tygrysem". Przekonałem się, jak bardzo odizolowani od reszty świata byli Ludzie Żółtych Liści i jak trudna była ich walka o przetrwanie – walka, którą ostatecznie przegrali. Nie uzyskałem jednak żadnego potwierdzenia teorii łączącej ich zniknięcie ze zniknięciem tygrysów. Plamy światła docierające tu przez gęstwinę gałęzi i liści tworzą często najfantastyczniejsze kształty, zaś tyki bambusów, choć niemożliwe do zgięcia, chwieją się w najlżejszych podmuchach wiatru, ale ani te zjawiska, ani żadne inne nie wywołują skojarzeń z jakimikolwiek zwierzętami. Krótko mówiąc, nie widziałem żadnych „pierzastych tygrysów".

Wyłączył rejestrator i nasłuchiwał przez moment cierpliwego popiskiwania sygnału naprowadzającego, zastanawiając się, czy powinien iść jeszcze dalej, czy może lepiej by było wracać już do Stacji. Właśnie zdecydował się na to drugie, kiedy popiskiwanie ucichło, a zamiast niego z komunikatora odezwał się podekscytowany głos Dondiila:

– Quoquo! Quoquo, słyszysz mnie?

– Słyszę – odpowiedział. – Przyszła do mnie jakaś wiadomość?

– Quoquo, moje zwierzęta uciekły. Potrzebuję twojej pomocy.

– Chyba żartujesz?

– To było w czasie karmienia – bełkotał Dondiil – jeden z moich asystentów otworzył drzwi klatki, żeby wpuścić do środka małego wołu, a tygrysy niespodziewanie rzuciły się do wyjścia. Na zewnątrz opanowało je prawdziwe szaleństwo, nie zwróciły w ogóle uwagi na jedzenie, tylko rzuciły się od razu w kierunku przejścia, które wypaliłeś. Jeden zahaczył łapą biednego Aniipana, który jest w stanie krytycznym. Chyba rozumiesz, że trzeba je koniecznie schwytać. Gdyby zginęły, opóźni to znacznie moje badania. Czy mógłbyś mnie poinformować natychmiast, jak tylko zobaczysz któregoś z nich i nie spuszczać go z oka, dopóki się tam nie zjawimy?

– Oczywiście – odparł Quoquo wyjmując miotacz i sprawdzając stan ładunku. – Ale muszę cię uprzedzić, że właśnie zamierzałem wracać i nie zmieniłem decyzji. Również jeżeli uznam, że moje własne bezpieczeństwo wymaga, bym zranił któreś z tych stworzeń, nie zawaham się tego uczynić.

– Rozumiem – potwierdził Dondiil i przerwał połączenie.

Quoquo nie przebył nawet stu skoków, kiedy zauważył pierwszego tygrysa przyczajonego w gęstym poszyciu. Nie było czasu na to, żeby zawiadomić Dondiila, czy w ogóle na cokolwiek poza błyskawicznym poderwaniem miotacza i naciśnięciem na spust. Błysk ognia rozświetlił na moment mroczniejącą dżunglę, a gdy minęło napięcie, Quoquo obejrzał dokładnie miejsce, w którym znajdowało się zwierzę. Szukał jakichś jego fragmentów, które można by później zbadać. Nie znalazł jednak nic oprócz popiołu, popękanych kamieni i spieczonych grudek ziemi.

Drugiego zabił po nie więcej niż pięćdziesięciu skokach, a trzeciego po następnych trzydziestu. W chwili, gdy ujrzał czwartego, był już pewien, że to niemożliwe, żeby wszystkie były prawdziwe. Zawahał się przed naciśnięciem spustu i ujrzał z przerażeniem, że pręgowana bestia niknie w gęstwinie dżungli. Wypalił, ale za późno, a potem – zamiast sprawdzić rezultat swego strzału – stał jak wrośnięty w ziemię, rozglądając się powoli dokoła siebie, najdłużej Przyglądając się cieniom rzucanym przez potężne pnie drzew. Pierzaste tygrysy. Wszędzie pierzaste tygrysy. Wrzasnął przeraźliwie i rzucił się na oślep do ucieczki, a błyszczące niespotykaną u żadnego zwierzęcia inteligencją oczy patrzyły w ślad za nim z kępy żółknących bambusów.

Przełożył **Arkadiusz Nakonieczny**

★ Frank – szczery (ang.).

Gene WOLFE

Był już przedstawiany na naszych łamach z okazji wcześniej drukowanych utworów (10/84, 12/85, 5/86, 9/86, 4/87). Jego nowe opowiadanie może służyć za przykład dojrzałości artystycznej, jaką SF osiągnęła w ostatnich dwóch dziesięcioleciach. Oto głęboko w tle mamy dwa typowe tematy: samobójstwo cywilizacji ziemskiej (ładnie podsumowuje ten temat tytuł opowiadania Aleksieja Panszyna – jak wskazuje nazwisko, Amerykanina – „Jak mogliśmy utonąć, skoro potrafiliśmy latać") oraz drugi – odtwarzanie wymarłej fauny na podstawie zapisu genetycznego w zachowanych komórkach (dość częsty pomysł w prymitywnej fantastyce z pogranicza popularyzacji nauki). Dla Wolfe'a są to rzeczy tak oczywiste, że nie warto się nad nimi rozwodzić. On z tego zrobił bardzo poetycką, utrzymaną w stylu wschodnim przypowieść o naturze strachu, tak istotnej dla całej SF, która w znacznej części jest paranoiczna: czy człowiek, który się raz przestraszył widzi wszędzie zagrożenie, czy też człowiek, który się dobrze nie przestraszył, pozostaje ślepy na wszechobecne zagrożenie?

L.J.

Uwaga! Na stronie 60 „Mitologia słońca" – wywiad z Gene'em Wolfe'em.



Marek Zalejski

Nikołaj Gudaniec

Arka

(Kowczeg)

Najważniejsza rzecz na statku, chłopcze, to czystość i pełna równowaga ekologiczna. Tak żeby nikt nikogo nie zżerał, nie krzywdził, żeby nikt nie sprawiał sobie potomstwa, jasne? Jak tylko zauważysz coś takiego, natychmiast wal do mnie, a ja już znajdę na nich sposób. Sam sie do takich spraw nie mieszaj. Zjeść może i nie zjedzą, ale kalekę mogą z ciebie zrobić.

Usiądź, nie krepuj się. O, na tym worku z paszą. Możesz się do mnie zwracać bez żadnych tam ceremonii – wujaszek Krunk. Zdarzają się, co prawda, gówniarze, którym trzeba natrzeć uszu i ci nazywają mnie starym świstakiem, ale ty chyba do takich nie należysz. Więc wujaszek Krunk i kropka.

W zeszłym miesiącu też mieliśmy praktykanta takiego jak ty. Szturman nie miał dla niego czasu i rzecz jasna, spławiono go mnie do ładowni. Jako pomocnik był strasznie inteligentny, czyli jak sam rozumiesz, do niczego. Nie, żeby się wykręcał od roboty, ale przez cały czas kombinował, jakby tu nie pracować tylko myśleć. Zamiast samemu umyć podłogi w ładowni, ściągnął, parszywiec, robota z pokładu mieszkalnego. Zwierzyna, jak tylko zobaczyła tego robota, wpadła w normalną histerię. Szczypasy podniosły hałas, smokogłów ze strachu zapaskudził klatkę pod sufit, a zębogon z Hanenbazy wyłamał przegrodę, złapał robota i zeżarł. Potem weterynarz przez dwa dni grzebał mu w brzuchu, żeby odzyskać wyposażenie okrętowe. O, tam siedzi ten zębogon, za terrarium. Nie musisz się go bać, póki jest najedzony nie ma z nim najmniejszych kłopotów.

Więc pamiętaj, żadnych robotów. To tutaj, to jest szczotka ryżowa. Pewnie pierwszy raz widzisz, co? Nie martw sie, opanujesz, technika nie jest skomplikowana. Jak bydle ma zeby, to do klatki nie właź, zmyj podłogę wężem i koniec. A tego z trzema głowami w ogóle obchodź z daleka, bo pluje ogniem.

Widze, że chłopak z ciebie spokojny i pojętny. To dobrze. Słuchaj mnie tylko jak rodzonej matki i żadnych własnych pomysłów. Poprzedniemu praktykantowi zachciało się klatki pomalować. Na oko pomysł słuszny, ale ledwo chłopak wlazł do skunsa olbrzymiego z Tamalty, ten tak go urządził, że proszę siadać. Już kto jak kto, ale ja do wszystkiego jestem przyzwyczajony, a i to wywracało mnie na drugą strone, kiedy się zbliżał. Dosłownie pławił się w wodzie kolońskiej i wszystko na nic. Bez maski gazowej ani przystąp. Takie sprawy.

Coś ty tak podskoczył? Spokojnie, to kamieniojad tak ryczy. Nudzi mu się. Siedź spokojnie, poryczy sobie z godzinę i sam przestanie. Jak mawiała moja świętej pamięci staruszka, na każde kichnięcie nie nadążysz zdrowia życzyć.

O czym to ja? Aha. Jestem na Arce od pierwszego dnia, to jest od czasu, kiedy akademik Fusk wymyślił ten program ratowania rzadkich gatunków zwierząt. Była taka planeta Pirytea, na której aż roiło się od najróżniejszej zwierzyny. Badano ją wzdłuż i w poprzek i na wszystkie możliwe sposoby. Na każdego zwierzaczka przypadało po jednym profesorze w asyście całej kupy doktorantów, nie licząc studentów z laborantami. Do dziś rozwijaliby tam naukę ku radości nas wszystkich, ale pewnego pięknego dnia zwalił się na Piryteę pokaźnych rozmiarów asteroid. Planetą zdrowo zatrzęsło i pół kontynentu diabli wzięli. To by jeszcze było pół biedy, ale na dodatek zmieniło się nachylenie osi do ekliptyki, roztopiły się czapki polarne i na Pirytei zdarzył się autentyczny ogólnoświatowy potop. Wtedy to Fusk przedstawił swój program. Żeby całą florę i faunę zabrać stamtąd i przesiedlić na inną odpowiednią planetę. Akademikowi wszystko jedno, dawno go pożarł ptakojaszczur i jego popiersie stoi w Głównym Kosmoporcie naprzeciwko baru. A my do dzisiaj wozimy różne paskudy – najpierw z Pirytei, potem z innej planety, gdzie zgasło słońce, a potem z różnych innych.

Weźmy choćby taką Mariande. Rada Galaktyczna postanowiła całą planetę puścić na rudę. A my mieliśmy ewakuować stamtąd biosferę. Ta biosfera do dzisiaj mi stoi w gardle. Zabraliśmy, powiedzmy, z Mariandy czerwone termity. Zbieraliśmy je, kiedy były w stanie uśpienia. No, a w drodze wzięły i obudziły się. Poprzegryzały sobie przejścia, podziurawiły z pół tuzina grodzi, dobrały się do rezerwowego silnika i zżarły tam cały uran. Całe szczęście, że nie zdążyły się dobrać do głównego silnika. Musieliśmy te cholery zamrażać płynnym helem. A potem jeszcze dwa miesiące przesiedzieliśmy w kapitalnym remoncie.

Albo taki Almar. Tam się zdarzyła taka historia, że ty... Chyba słyszałeś? Naprawdę nie? Przecież głośno o tym było w całej Galaktyce.

Co się tak krzywisz? No tak, zapach tu rzeczywiście nie nadzwyczajny, niektórzy na początku mdleją. Masz tu butelkę, łyknij sobie. Nie pijesz? Szkoda.

Więc na tym Almarze hodowano kapustę. Ach, co to była za wspaniała kapusta, mówię ci, mojego wzrostu. Wszystko szło jak po maśle, póki nie pojawiły się dziesięcionogi. Takie sobie robaki wielkości ołówka. Rozmnożyło się to nieprawdopodobnie, kapustę żre, żadne środki chemiczne nie skutkują. Profesorowie podrapali się w głowę i uradzili rozmnożyć na Almarze szerokodziobe tukany. Jak postanowili, tak zrobili, namnożyli tych tukanów straszną masę i dziesiecionogi zostały załatwione. A razem z nimi błękitne przędziołki. Jak tylko wyginęły przędziołki, zaczęły zdychać z głodu czteroskrzydłe gąski. Zaczęto więc tępić tukany, hodować przędziołki i ratować gąski, bo od ich nawozu zależał rozwój dubabowych zagajników, w których mieszkały wkrętaki, żyjące w symbiozie z brodawkowcem pełzającym, którym odżywiają się charby. A z charbami nie ma żartów. No i zaczął się cyrk. Jak mawiała moja stara, nos wyciągniesz, ogon uwięźnie. Kiedy zaczęły zdychać zębodmuchy, trzeba już było przesiedlać całą biosferę. Przylecieliśmy na Arce, rozglądamy się – pusto. Cała planeta łysa, tylko gdzieniegdzie jakieś głodomory kuśtykają po piasku. Nawet połowy ładowni było za dużo na to, co tam zostało przy życiu. Taka wyszła z tego, proszę ciebie, kapusta.

A teraz tak: masz tu szczotkę, szmatę, wiadro. Jakbyś się poczuł słabo, to tam jest ten niebieski kranik. Odkręć sobie i pooddychaj tlenem. Uszy możesz sobie zatkać watą.

Ja będę w sąsiednim sektorze, więc nic się nie bój. Za bardzo się nie opalaj, bo roboty jest tu po uszy. Najważniejsze jest, rzecz jasna, mycie, ale i na zwierzątka miej oko. Nie daj Bóg, żeby nam tu zaczęły romansować. Pamiętam w jednym rejsie dwugłowa pytonica zaszła w ciążę z jeżozwierzem trzcinowym. Dzieci zaczęły się rozmnażać dalej. Prawie codziennie nowa porcja. Cholernie żywotne bydlęta, nic ich nie brało. W końcu wymontowaliśmy z wieżyczki działo przeciwmeteorytowe, cała załoga przeciągnęła je do ładowni i wystrzelaliśmy te gadziny. Gdyby nie to, zeżarłyby biosferę dwóch planet i mnie na dodatek. Działo teraz tu leży na wszelki wypadek. Bardzo poręczna sztuka, choć rzadko z niej korzystamy. Beze mnie jej nie dotykaj, bo jeden ruch i można zrobić dziurę w pancerzu jak ta lala.

Aha, jeszcze jedno. Trzymaj się, synku, z daleka od tej klatki. Trzymamy tam najbardziej krwiożercze i złośliwe stwory w całej Galaktyce. Wściekłe dwunogie sołdaciki. Nic tylko się biją, całą swoją planetę zapaskudziły na amen i zostały raptem trzy ostatnie okazy. Uważaj z nimi. Wczoraj się zagapiłem przy karmieniu, to jeden mi mało co nie oderwał górnej macki.

No dobra, idę. Zagadałem się tu z tobą, a muszę jeszcze chrypiaka nakarmić. Za godzinę zajrzę zobaczyć, jak sobie radzisz.

Wujaszek Krunk wstał, wziął w macki worek i odczołgał się do sąsiedniego sektora. Praktykant ujął w kleszcze szczotkę i zabrał się do sprzątania, starając się nie patrzeć na klatkę z dwunogimi sołdacikami, które wywijały pięściami i bluzgały potokami przekleństw w swoim nieznanym języku.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Nikołaj GUDANIEC

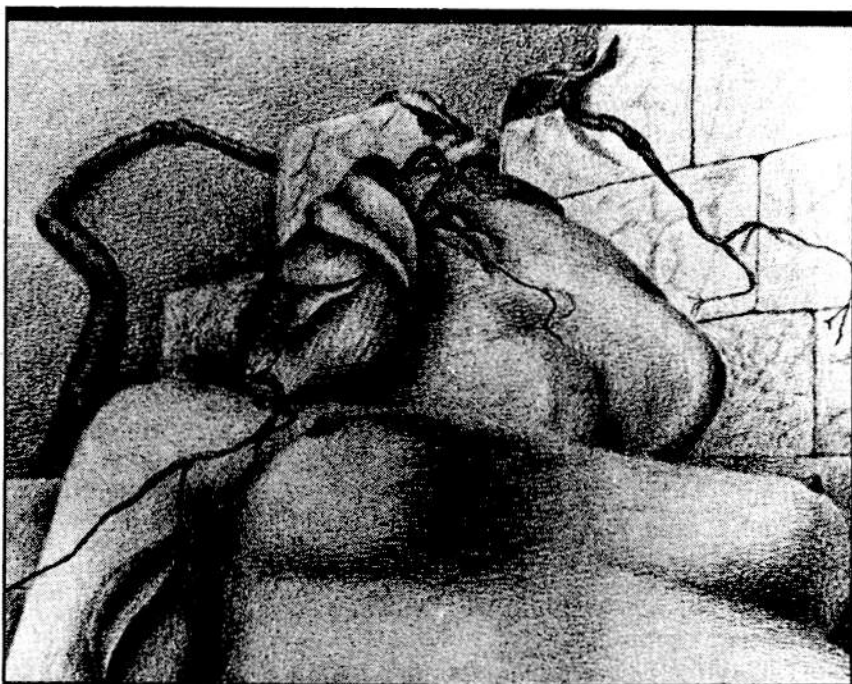
Radziecki autor z Rygi (ur. 1957) był już prezentowany na naszych łamach w sierpniu br. Krótkie opowiadanie „Arka", ukazujące nieco odmienny aspekt jego twórczości, zdobyło młodemu pisarzowi dużą popularność i zostało przetłumaczone na wiele języków.

L.J.

Daniela Piegai

STRAŻNICY ENTROPII

(Le sentinelle dell entropia)


Jacek Gaudasiński

Byłam żołnierską dziewką, przeszłam pół Europy śladem pokrwawionych kompanii, a ich szorstkie, przyjacielskie śmiechy rozgrzewały mnie jak by mi dawano kwiaty i ustępowano pierwszeństwa. Kiedy spali obok porozrzucanej broni, przykrywałam się krajem ich płaszczy, dbając o to, by nie pobrudzić błotem sukienki. Często zmieniałam towarzysza nocy, ale suknię miałam tylko jedną. Nigdy nie dręczyły mnie moralne rozterki, jakoś przecież trzeba było żyć.

Zakończenie długoletnich wojen z Maurami zastało mnie w grupie bezdomnych włóczęgów, wojowników bez Pana, do tego niezbyt zręcznych złodziei kur. Zawsze pociągali mnie pechowcy.

Podróżowaliśmy nocami. Na ścieżkach Apeninów, gdzie nigdy nie brakowało strażników i ich wież, straciliśmy niejednego towarzysza. Ścieżki wydeptane były przez kozice i wilki, niech je Bóg przeklnie, niełatwo było chodzić po nich nocami. Jedni wczepili się w brudne spódnice wieśniaczek, drudzy wstąpili na służbę, a pozostali podążyli za Madonną Śmierci. Zostałam sama.

Wreszcie moje nogi i łono spoczęły w cichym klasztorze, gdzie już w listopadzie rozpalano w kominkach. W tych właśnie stronach urodziłam się wiele lat temu. Jest chyba trochę prawdy w powszechnym mniemaniu, że na śmierć wybiera się miejsce, w którym przyszliśmy na świat.

Czasami wspominałam ogniska w polu i ogarniał mnie dziwny niepokój, wielkie pragnienie, by usłyszeć szczęk broni, by ujrzeć młodych mężczyzn ścierających się jak kozły rogami podczas rui, by któryś z nich mnie wziął taką jaką byłam, na ziemi, dla zapomnienia o śmierci, chłodzie, bólu. Lecz wszystko szybko wracało do normy i znowu w pokorze, ze spuszczoną głową wytrwale poddawałam się czynności czyszczenia garnków. Do tego zajęcia przeznaczona byłam od samego początku, nie tylko w klasztorze. Mogłam oglądać, w błyszczących naczyniach, odbicie własnej twarzy, zniekształcone, jak z koszmarnego snu.

– Kapitanie, w sektorze B 54 są jakieś zakłócenia.

– Czy jest prawdopodobieństwo, że to jakiś przeciek?

– Nasze rejestry nie notują potencjalnego źródła, ale możemy dokonać rekonesansu.

– OK. Drugi. Proszę przekazać polecenia do hali maszyn, niech się włączą do opracowywania danych.

– Kapitanie! Kapitanie! Wskaźnik sygnalizuje tendencję wzrostu entropii!

Czasami sporządzałam barwniki ucierając w moździerzu wysuszone zioła i koszenile, a potem farbowałam nimi duże płaty lnu na habity lub świeżo oczyszczoną wełnę. Długo potem palce miałam uwalane na zielono lub niebiesko, a skórę szorstką i kruchą jak jaszczurka. Ale że zmiana kolorów tkanin wydawała się moim paniom magiczną sztuczką, rzadko pozwalały mi to robić.

Praca nie była ciężka: w pobliżu klasztoru znajdowało się opactwo mnichów. Pomagali oni moim mniszkom, a prawdę mówiąc, to czasem nie tylko pomagali. Mężczyźni są wszyscy jednakowi, żołdacy czy święci. Też bywają samotni i też jest im zimno podczas długich, śnieżnych styczniowych nocy. Cóż zresztą pozostaje z idei, kiedy się już zdejmie okrycie i spoczywa razem w ciemnościach?

– Zakłócenia są już bardzo silne, Kapitanie.
– To jakieś zakodowane wezwanie?
– Nie, Kapitanie. To raczej sygnał z nadajnika nie najwyższej mocy.
– A czujnik entropii?
– Tendencja wzrostowa utrzymuje się.
– Proszę kontrolować sygnały z B 54.

Pewnej czerwcowej nocy, pełnej świetlików jak miska z wodą gwiazd, ciepłej jak pieniążek na piersi, zaczęłam myśleć nieznanymi słowami. Tłumaczyłam sobie, że to echa pozostałe w mej pamięci, fragmenty rozmów usłyszanych w pobliżu wiejskich lepianek na pograniczu, czy też w sąsiedztwie ulepionych z odchodów i słomy stajni, gdzie tylekroć obozowaliśmy po męczących wędrówkach błotnistymi ścieżkami Pirenejów. W miarę upływu czasu te dźwięki nabierały pełniejszego znaczenia, aż miałam w sobie cały nowy język, język opisujący historie, których nie znałam.

Nie powiedziałam o tym nikomu. Niewiele trzeba było wówczas, żeby zostać spaloną na stosie. Cień podejrzeń ogarnął całą Europę i wystarczał byle pretekst, by się w nim znaleźć, a prawie zawsze był on cieniem śmierci. Tak więc choć przypuszczałam, że jestem w mocy jakiegoś demona – nic o tym nie mówiłam. Cóż, lepiej być nieczystą ale żywą, niż oczyszczoną przez ogień, lecz martwą. W gruncie rzeczy poznałam już tyle demonów, że jeden więcej nie stanowił dla mnie żadnej różnicy.

Często bywałam roztargniona i zamyślona z powodu tego rozdwojenia, ale zakonnice przypisywały to wiekowi i przeżytym poniewierkom. Od dawna nie byłam już młoda, lecz niejednemu chrześcijaninowi służyłam za Ziemię Świętą, ale o tym moje panie nie musiały wcale wiedzieć.

Czasami myślałam też o dzieciach, które wydałam na świat: kość z mojej kości, porzucone, bez jednej łzy skargi w tłustych, spoconych ramionach wiejskich mamek. A myślałam o nich z pewną ciekawością. Jedno z nich było chłopcem, różowym i krzykliwym, stworzonym do życia. Duża głowa i sztywne, ciemne włoski, nastroszone niczym koguci grzebień przed walką. Jeżeli jeszcze żył, powinien przebywać gdzieś w tej okolicy. Przechodziłam tędy setki lat i bitew temu, a piersi i brzuch bolały mnie tak, że ledwie mogłam się poruszać. Wielki, okrutny Jednooki kazał mi odejść:

– To jest wojsko – powiedział napuszony – a nie zamtuz z ciężarnymi i bachorami!

– Nawet nie wiesz jak bardzo wojsko jest podobne do zamtuza, Panie – odpowiedziałam, bo znałam jedno i drugie. Myślałam, że mój stan ochroni mnie przed jego gniewem; o pomyłce przekonałam się natychmiast. Jednooki uderzył mnie ciężko, krzycząc:

– Nie odpowiadaj, kobieto!

Tak, jednych błędów żałuje się od razu, innych dopiero po dziewięciu miesiącach. Cóż, chyba z powodu uderzenia, mój chłopiec urodził się przed czasem, a ja porzuciłam go gdzieś w tych okolicach. Jakby pewne etapy mojego życia były nierozerwalnie związane z tymi tu kamienistymi wzgórzami, szerokimi zachodami słońca, z tutejszym kolorytem. A noce tutaj zapadały delikatnymi cieniami lęków.

– Kapitanie, zlokalizowałem nadajnik. Zaczynamy?
– Tak, Drugi. Proszę przekazać rozkazy.

Czas mijał i jak zwykle nadszedł listopad. Tego dnia układałam w słomie ulegałki, było mglisto: zwiewny całun mgły okrywał klasztor. Głosy i dźwięki wydawały się dochodzić znikąd, nawet obfite krzaczki jagód były jakby trawione przez jasną mgłę pozbawiającą wszystko kolorów.

Gdzieś z mgły dotarł brzęk żelaza.

Gruszki wypadły mi z fartucha i potoczyły się po ziemi, nawet nie próbowałam ich zbierać i popędziłam w dół po kamienistym zboczu wzgórza, przez rumowiska kamieni. Suche korzenie i kolczaste krzaki morwy czepiały się mojej sukni, ale ja byłam jak bojowy rumak, który poczuł smak walki, jak ropucha, która czuje zbliżający się deszcz, jak wygłodzony myszołów uwolniony z uwięzi, byłam jak...

– Żołnierze – myślałam gorączkowo – żołnierze, zaczekajcie na mnie! Rycerze, pamiętam was! Szłam przez błoto za kopytami waszych koni, kochałam was wszystkich, pocieszałam gdy byliście załamani, bandażowałam wasze rany rwąc zębami długie pasy jedwabiu, trzymanego zazdrośnie przez Jednookiego na jego wozie, jedwabiu, którego ja nawet nie uszczknęłam sobie na suknie... Zaczekajcie...

Nie słyszałam już niczego z wyjątkiem własnego oddechu. Zatrzymałam się, by się rozejrzeć gdzie jestem i upadłam niczym ścięta, jak stary zeschły kwiat, nie wiedząc jak i dlaczego.

– Zaczekajcie... – wydawało się mi, że wołam jeszcze i znalazłam się we śnie, o którym sądziłam, że jest ostatnim.

– Rozkazy wykonane, Kapitanie.
– A tendencja wzrostowa entropii?
– Chyba zatrzymana. Kapitanie... chciałbym wyrazić formalnie mój sprzeciw wobec całej tej operacji.
– Co?!
– Mój sprzeciw, Kapitanie. Nie postępowaliśmy zgodnie z prawem.
– O czym ty u diabła mówisz, Drugi?
– Moim zdaniem, Kapitanie, osiągnęliśmy cel metodami nielegalnymi.

...może minęły wieki, ale nie miałam sposobu, by je liczyć: nie miałam żadnego punktu odniesienia. Żadnego wschodu słońca, żadnego zmierzchu. Nie było śniegu ani deszczu, ani lodowatych wiatrów, chłodnych pór roku. Byłam uwięziona w miejscu, gdzie z trudem przychodziła świadomość samego istnienia: tak, żyłam.

I pragnęłam, pragnęłam zobaczyć swoje dłonie: kościste palce starej kobiety pozbawionej sił, która wchłaniała wilgoć ziemi podczas tysięcy nocy pod gołym niebem. Pragnęłam zobaczyć moje stopy wędrowniczki, moje koślawe, ale silne nogi, które kroczyły po błocie i końskim łajnie przez połowę znanego świata. Pragnęłam zapłakać, żeby poczuć słony smak łez. Pragnęłam się śmiać, żeby usłyszeć dźwięk własnej radości.

Do diabła z tym wszystkim: chciałam być żywą w dawny, dobry sposób.

– Kapitanie, chciałem przedstawić moje stanowisko...
– Drugi, przypominam, że jest pan aresztowany.
– Ale wskaźniki zmian entropii...
– Zajmie się nimi Technik.
– Kapitanie, proszę posłuchać, Technik nie jest w stanie, proszę...

Daniela PIEGAI

Uważana jest za jedną z czołowych autorek włoskiej SF. Podobnie jak wiele z pań piszących oscyluje na granicy fantasy i science fiction. Jej tematy to pochwała natury przeciwstawionej rozbuchanej, agresywnej technologii, co łączy się z podziałem na pierwiastek żeński i męski, i znaną z terenu amerykańskiej SF krytyką dominacji męskości w kulturze.

Wkrótce zamieścimy powieść Danieli Piegai „Znak białego księżyca" napisaną wspólnie z innym znanym autorem włoskim – Lino Aldanim.

L.J.

W tym przypadku lojalność Technika, Drugi, jest ważniejsza niż jego kompetencje. Nie życzę sobie żadnych dyskusji. Proszę wracać do swojej kabiny.

...Światło, jest światło, widzę! Mogę także poruszać nieco palcami... co u licha tu się dzieje?

Ktoś szepce coś obok mnie i są to dziwne dźwięki, natarczywe hałasy, jakby świergot ptaków, czy może skrzypienie drzwi, ale jestem przekonana, że nie pochodzą ani od ptaków ani od drzwi.

Jest jeszcze wzruszony szept jakiegoś głosu, ale nie rozumiem co mówi... och tak! Przecież rozumiem, to język, który mam w głowie. Cóż, gdziekolwiek jestem, demon dotarł do mnie. I mówi mi... mówi: „witaj na pokładzie".

– Kapitanie!

– Tak. Techniku?

– Kapitanie, zechce pan sprawdzić? Myślę, że znowu pojawiła się wzrostowa tendencja entropii.

– Mhm... wydaje się, że ... Techniku, proszę wezwać Drugiego.

– Jest przecież aresztowany, Kapitanie.

– Wiem, proszę go wezwać!

„...Proszę, nie powinnaś myśleć, rozumiesz? Nie powinnaś myśleć, bo się zorientują" – szepce głos obok mnie. Jest w nim coś zdesperowanego, rozkazującego, ale i niezdecydowanego. Coś, co rozpoznaję. Demony także cierpią i bywają niepewne siebie. Nie wiem jak go zadowolić. Jak to jest nie myśleć? Teraz, kiedy moje zmysły znowu funkcjonują, jak mogę zatrzymać strumień informacji, które docierają do mnie, a zwłaszcza jak mogę powstrzymać pytania, które przychodzą mi do głowy: co się dzieje? dlaczego?

– Drugi, zechce pan sprawdzić przyrządy?

– Czy mam rozumieć, że nie jestem już aresztowany, Kapitanie?

– Pan ma sprawdzić wskaźniki, nie rozumieć, Drugi!

– Kapitanie, mimo wszystko chciałbym zauważyć, że zostałem aresztowany i mam prawo odmówić wykonania rozkazów.

– Drugi, w tej chwili nie jest pan aresztowany. Proszę sprawdzić przyrządy!

– Przyrządy wskazują prawdopodobieństwo wzrostu entropii. Sugeruję uwolnienie kobiety. To chyba nie ona spowodowała te zaburzenia!

– Chyba... chyba, że ktoś osłabił pole izolujące, w którym ta kobieta obecnie przebywa... w takim przypadku mogłaby mieć wpływ na rozwój sytuacji...

– Osłabić pole izolujące, Kapitanie? A kto mógłby to zrobić?

– Mam pewną koncepcję, Drugi. Sądzę, że wiem jaki typ osobowości mógłby osłabić pole wokół zatrzymanej.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan insynuować mi odpowiedzialności za to, Kapitanie?

– Drugi, proszę odejść do kabiny. Jest pan ponownie aresztowany!

„...Wybacz, ale znowu muszę cię umieścić w izolacji mentalnej, jak tylko będę mógł, zwrócę cię sobie samej" – mówi głos mojego demona.

I oto znowu zapadam w nicość: nie słyszę, nie widzę, nie czuję...

Do czarta, nigdy nie wierzyłam w raj: zawsze brakowało mi porównań, ale czasem kusiło mnie, żeby uwierzyć w piekło. Czy to jest piekło? Biedna, biedna kobieto: po tym, jak porwałaś w strzępy swoją część życia, złaknioną deszczu, słońca, wiatru i miłości, entuzjastko długich, gwiaździstych nocy i promiennych świtów i południ wypełnionych graniem świerszczy; po tym jak rzucałaś się, żeby chwytać wszystko, co mogłaś, pozostałaś z niczym. Twój kawałek piekła, twój nienasycony, pierwotny głód. Tylko... to... ci zostało...

– Pańskim zdaniem, Techniku, izolacja zatrzymanej była całkowita, czy też w jakiś sposób uległa awarii?

– Trudno mi powiedzieć, Kapitanie. Nie jestem w stanie tego stwierdzić.

– Doceniam pańską uczciwość, Techniku.

– Kapitanie, czy mógłbym prosić o ponowne wezwanie Drugiego?

– Nie, nie może pan. Jeżeli ktokolwiek uszkodził pole izolujące, mógł to być tylko Drugi.

„...Proszę cię, nie powinnaś myśleć..." – Jak mój demon może mi proponować coś równie absurdalnego? Przecież oddał mi część moich zmysłów, a teraz prosi, żebym nie myślała?

W niewyraźnej poświacie dostrzegam jakiś ruch. Z trudem obracam głowę w tamtą stronę i widzę JEGO przymrużone oczy, JEGO gładkie oblicze.

Jest coś głęboko dziwnego w tych oczach, czego chwilowo nie jestem w stanie określić.

Przypominam sobie pragnienie, które mnie męczyło. Chęć zobaczenia własnych dłoni, jakaś potrzeba oparcia się o coś powszedniego, znanego, pcha mnie do wysiłku podniesienia dłoni na wysokość oczu. Za chwilę ujrzę kciuk ze złamanym paznokciem, zobaczę stawy, pogrubione i zdeformowane przez czas, i blizny, zielone jak łąki w kwietniu, jak zadrapania, które mi się przytrafiały podczas barwienia tkanin. Pozostały na mej skórze niczym tatuaż.

...ALEŻ TO NIE SĄ MOJE DŁONIE!

– Uspokój się! Co się stało? Nie denerwuj się! – mówi mój demon.

JESTEM zdenerwowana. Co się, do diabła, stało z moimi rękami? Na piekło! To są dłonie piętnastoletniej mniszki, palce delikatne jak u dziewczynki, nie moje! Jak to możliwe, żebym miała skórę tak jasną i gładką? Nawet rozłupany migdał nie jest aż tak biały.

Mój demon pochyla się nade mną, ma twarz w nieokreślonym wieku, jak asceci lub umarli. Twarz kogoś, kto niczego nie przeżył: ani jednej zmarszczki. Jeszcze dobrze nie dotarło do mnie znaczenie tego doniosłego obrazu, a już nagle nurzam się w pustce, właśnie w chwili, gdy pytania cisną mi się na język... a... ja... pytam... go...

– Kapitanie! Tendencja wzrostu entropii jest bardzo silna, sądzę, że więzień lada moment uwolni się! Proszę o pozwolenie wezwania Drugiego!

– Udzielam pozwolenia, Techniku.

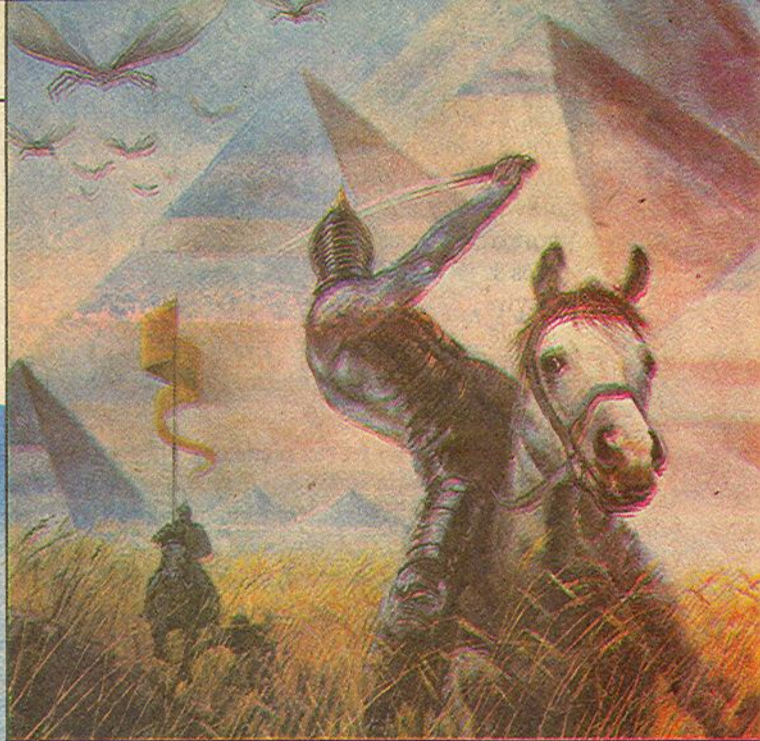
...Święty Boże, jeszcze jeden promień światła w moim polu widzenia: sztuczny świt wywołany przez mojego demona? Oto mogę poruszać się ze zwykłym mozolnym trudem. I natychmiast próbuję spojrzeć na dłonie... tak, są gładkie, jasne, delikatne.

MUSZĘ zobaczyć swoją twarz!

Próbuję rozmawiać z demonem, ale nie wiem gdzie on jest. Poruszam ustami i stare, dobre słowa rodzą się jak na ustach dziecka, z taką samą pracowitą cierpliwością, z takim samym męczącym skupieniem: – Demonie, daj mi lustro...

Słyszę okrzyk zdziwienia i ktoś pochyla się nade mną i jestem pewna, że to nie ON. Potem następują błyski światła, moje ramiona poruszają się same, bez mojej

ANDRZEJ WROŃSKI





woli, przeszywa mnie szarpiący ból, jakby to były promienie słońca na liściach, jakby te promienie mogły ranić. Czuję się bezbronna i bez możliwości podjęcia jakiegokolwiek działania, oto czuję smak własnych łez. Czy naprawdę wystarczy czegoś pragnąć, by to się stało?

CHCĘ WSTAĆ I IŚĆ!

– Kapitanie! Kapitanie! Nie ma już pola izolującego!

– Sprawdź szybko wskaźniki, Techniku!

– Wszystkie do maksimum! Entropia wzrasta!

– ...

Wstaję powoli i po raz pierwszy, choć wszystko wokół faluje, pogrążone w koszmarnym, czerwonym świetle, widzę miejsce, gdzie jestem: metalowe ściany, błyszczące jak miedź: odbija się w nich kobieta blada jak srebro, która porusza się jakby płynęła. Ma włosy do kolan; spowijają ją niczym ciemny płaszcz. Bogowie piekieł, w których przebywam, to ja! To ja w wieku piętnastu lat!

Bez zainteresowania oglądam moje nowe delikatne ciało, potrząsam lekko włosami, które łaskoczą mnie w skórę. Zginam palce i czuję jakbym się dopiero narodziła: moje paznokcie są delikatne i długie jak u małego kota.

A potem czuję, że mdleję i że podnosi mnie demon, który w samą porę pojawił się w ścianie. NIE MOGĘ STRACIĆ ŚWIADOMOŚCI: wspinam się po ramionach demona, żeby na nowo nie pogrążyć się w nicości i widzę siebie w jego wytrzeszczonych zaskoczeniem oczach. Nie potrafię nazwać ich wyrazu, ale czuję, że on także przyciska mnie jakby sam bał się utonąć... Czyżby to mój stary, dobry czar? Jestem srebrzystą syreną, a on jest jedynie rybakiem... tylko rybakiem...

– Techniku, mogę wiedzieć co pan tu robi?

– Podnoszę zatrzymaną, Kapitanie.

– Ja ją podtrzymam, pan niech się zajmie przyrządami. Dlaczego zawiodło pole? Proszę sprawdzić generator pola, inaczej znowu będziemy mieli kolejny wzrost entropii.

– Kapitanie... czy mogę wezwać Drugiego? Nie panuję nad sytuacją.

– To widać. Proszę wezwać Drugiego.

– Proszę także o pozwolenie wezwania Lekarza.

– Pozwalam.

O, cholera! Jestem wśród jakichś dziwnych Demonów. Wszyscy spoglądają na mnie z jednakowym wyrazem twarzy. Zdaje się, że zadam moje stałe, ulubione pytanie: Gdzie jestem?

Szepcą między sobą. Sztywni i surowi. Po chwili, gdy w ścianie pojawia się MÓJ Demon, jeden z nich występuje o krok i mówi: – Proszę mi wybaczyć wtargnięcie w Pani czas, ale powodowała Pani wzrost entropii. Naszym zadaniem jest neutralizować każde możliwe źródło zakłóceń w normalnym procesie starzenia się Wszechświata...

– Kapitanie, co się tu dzieje? – pyta mój Demon.

Cholera, sama chciałabym to wiedzieć. Potem ON podchodzi do mnie, bierze delikatnie za rękę i próbuje uspokajać, ale nie ma potrzeby, naprawdę. Nie jestem przestraszona, życie mnie nigdy nie przerażało. Czego nie znosiłam, to pustki, jaka mnie dotąd otaczała.

Przez chwilę trwa zamieszanie, wszyscy mówią jednocześnie i wszyscy wydają się pytać o coś mojego Demona. Niby zdenerwowani, ale czuję, że to nieprawda, w gruncie rzeczy są tylko zakłopotani. Nie rozumiem dobrze sytuacji, lecz czuję, że mogę nad nią zapanować, potrzebuję jedynie czasu. Te Demony zadziwiająco przypominają ludzi...

A potem nagle, podstępny, ostry jak wicher, przeszywający jak ból... upadek... w... nicość.

– Drugi, od tej chwili jest pan wolny, odstawiając zatrzymaną do pola izolującego odkupił pan swój poprzedni błąd.

– Tak jest, Kapitanie.

...nie ma światła, dźwięków, a przecież mogę myśleć. Niektóre myśli przesączają się jak obłoki przez watę, która mnie otacza. Co się dzieje? Może jest możliwy jakiś inny rodzaj życia. Ktoś do mnie mówi, chociaż o tym nie wie. SŁYSZĘ czyjeś myśli...

– Kapitanie, pojawia się kolejny wzrost entropii. Nie rozumiem dlaczego?

– Drugi, jest pan w stanie zlokalizować nadawcę?

– Moim zdaniem nadawca jest na pokładzie.

– Drugi, proszę sprawdzić, czy zatrzymana jest wystarczająco izolowana.

...hej, przyjacielu. Kimkolwiek jesteś, myśl jeszcze, czuję potrzebę śledzenia pokrętnego biegu twoich myśli. Potrzebuję tego, rozumiesz? Ty nie wiesz, że cię słyszę: jak się z tobą POROZUMIEĆ? Może wystarczy tylko tego chcieć, tak, jak wtedy, gdy chciałam mówić? Tak, muszę uczynić myśl ostrą jak igła, żeby przedziurawić twoją nieświadomość.

Usłyszał mnie... USŁYSZAŁ MNIE.... USŁYSZAŁ MNIE! Usłyszał mnie i myśli, że jestem duchem. Bogowie, czasami życie jest naprawdę śmieszne! Gdybym mogła, śmiałabym się tak, jak śmiał się wiatr, w taki dziwaczny, łkający sposób, kiedy przeciskał się między kamieniami starej wieży strażniczej obok klasztoru.

Hej, przyjacielu, jeśli mnie jeszcze słyszysz, odpowiedz: co ja tu robię? KTO mnie tu sprowadził? Dlaczego wyglądam jakby urodzona zaledwie piętnaście, siedemnaście lat temu? Co się stało z moim poprzednim życiem?... tak, to ja mówię w twojej głowie. JA!

– Kapitanie, Drugi chyba zemdlał...

– Proszę go chwilowo zastąpić i wezwać Lekarza, Techniku.

...nie odpychaj mnie, co ty robisz, śpisz? Co za burdel, zemdlał! Ej, odpowiedz, przestraszyłam cię? Ja też nie mam żadnego doświadczenia w tych sprawach, ale to przecież nie powód, żeby zaraz mdleć, człowieku.

O tak, świetnie, nie bój się. Wiem, że to ty pomogłeś mi, pokazałeś światło po raz pierwszy. Teraz musisz zrobić to samo. Jeśli będziesz ze mną rozmawiał, to będzie tak, jakbyś mi oddał resztę zmysłów.

Przyjacielu, nie chcę się skarżyć, ale będę sama, jeśli nie będziesz ze mną rozmawiać... no, dalej, może nie wiesz, o czym masz opowiadać? Opowiedz mi o sobie, opowiedz co to za miejsce. ...Przyszłość?... jeśli w niej jesteśmy to to jest teraźniejszość, nie wydaje ci się, przyjacielu? Co to za diabeł, ta entropia?...

– Kapitanie, sytuacja pogarsza się! Sygnalizatory wskazują dalszy wzrost entropii! Proszę o pozwolenie ponownego wezwania Drugiego, nawet jeśli nie czuje się najlepiej.

– Ma pan pozwolenie, Techniku... Co za patrol! Entropia rośnie jak nigdy dotąd, Drugi odkrywa w sobie drugie ja..., a zatrzymana oddziałuje na wskaźniki pomimo totalnej izolacji... Techniku, przekazuję panu dowodzenie na kilka minut... myślę, że ja... muszę trochę odpocząć. Jest pan upoważniony do podejmowania decyzji w razie potrzeby.

– Kapitanie!...

... i nie myśl, że jestem zazdrosna, chcę tylko wiedzieć, kto to taki ta entropia, jeżeli to z jej powodu tu się znalazłam... Czekaj, chyba zrozumiałam; powtórz od początku... Wszechświat starzeje się... tak, zgoda, to rozumiem. A wy jesteście strażnikami pilnującymi, by nie zestarzał się zanadto... Co wy, u licha, robicie? Jesteś pewien, że to możliwe? Wracając do przeszłości, mówisz?... Ale jeszcze mi nie wytłumaczyłeś, co ma z tym wspólnego ta entropia...

– Witam, Kapitanie.
– Gratuluję, Techniku. Poradził pan sobie ze swoim... to jest z... moim zadaniem znakomicie.
– Dziękuję panu, ale muszę pana uprzedzić, że zanotowałem dalszy wzrost entropii. Sądzę, że zbliża się do punktu krytycznego.
– W jakim stanie jest Drugi?
– Fizycznie w porządku, ale nie reaguje na bodźce zewnętrzne. Wydaje się być pogrążony we własnych myślach.
– We własnych, Techniku?

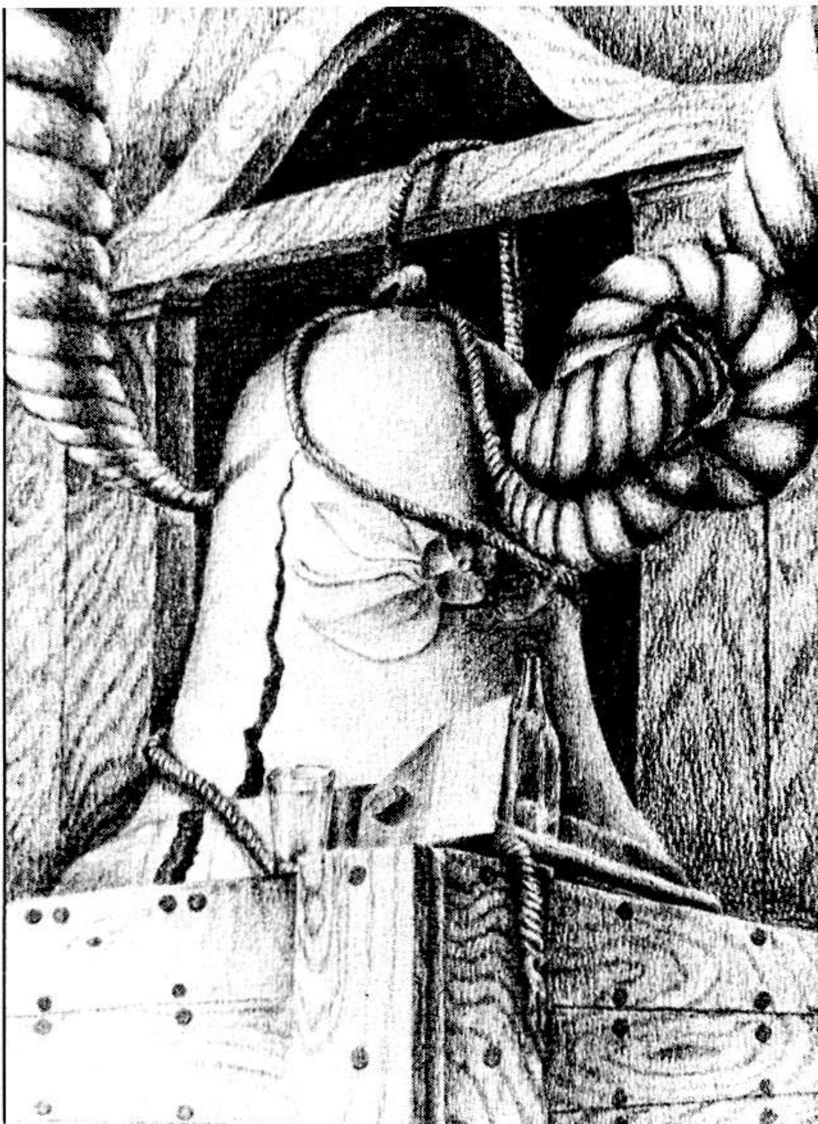
...tak ...to ci dopiero niespodzianka. Chcesz powiedzieć, że jedyne o czym myślicie, to tylko wzrost ciepła? Myślałam, że entropia to kobieta.

Hm, dobrze, dobrze, nie ciepło, lecz temperatura, ale cóż to za różnica?... Tak, to jest wiek Wszechświata, tak, już mówiłeś. Kiedy jakiś przedmiot znajduje się na stole, na pewnej wysokości nad ziemią, posiada pewną energię potencjalną upadku, tak. A kiedy spada, energia nie jest już potencjalna, wyzwala się. Każdy rodzaj przekształcającej się energii wydziela ciepło jako produkt uboczny i w miarę, jak upływa czas to ciepło wzrasta, tworząc w ten sposób jednostki miary wieku Wszechświata. Zrozumiałam. A potem? Myśli też wydzielają ciepło, mówisz? I co? Czekaj, nie zmieniaj tematu, po co te uniki. Tak, tak, chcę, żebyś mówił dalej. Podaj przykłady, używaj nawet niezrozumiałych dla mnie słów. Wszystko postępuje stopniowo do pewnego momentu, po którym następuje skok i zdarza się coś nagłego, przykład: woda chłodzi się powoli, a osiągnąwszy pewien punkt niespodziewanie zamienia się w lód. Tak, wiem, sama to widziałam.

Z entropią dzieje się coś podobnego: wzrasta stopniowo, a chwilami następują skoki i wtedy wy interweniujecie. Zauważyliście, że te skoki mają miejsce w dokładnie określonych okresach w historii. Na przykład w latach, kiedy Leonardo da Vinci pracował nad swymi latającymi maszynami... ależ człowieku, co ty wygadujesz za bzdury? Tylko myszołowy, sokoły i wróble potrafią latać. Albo muchy... I nie przepraszaj mnie, czuję, że jesteś tak samo zagubiony jak ja...

– Kapitanie, wskazania nadal rosną!
– Techniku, proszę wezwać do sterowni Lekarza. Musi postawić na nogi Drugiego, inaczej nasza misja się nie powiedzie.
– Rozkaz.

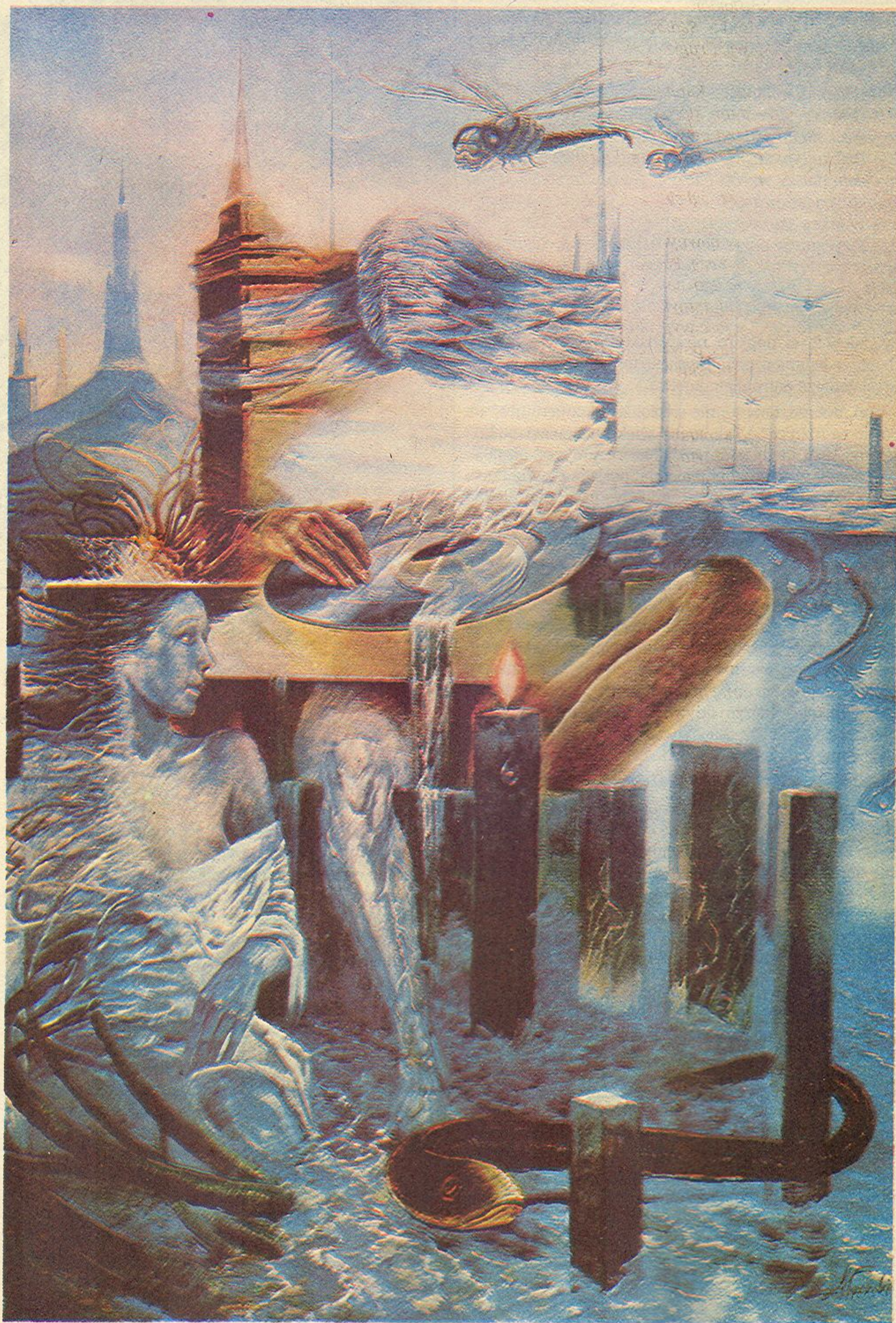
...dobrze, są ludzie, którzy w jakimś sensie kumulują idee swego czasu, którzy „objaśniają" je w sposób dla wszystkich jasny. Ich mózgi, myśląc, wytwarzają skoki entropii. Wy interweniujecie i podsuwacie już gotowe pomysły, zapuszczając w ich umysły instrukcje podprogowe... (Co to za cholerstwo, te instrukcje podprogowe?...) W ten sposób oszczędzacie im wysiłku umysłowego, wytwarzającego wzrost entropii... Załóżmy, że rozumiem, przyjacielu, choć jeszcze muszę nad tym pomyśleć. A powiedz mi, co ja mam wspólnego z całą tą przeklętą sprawą?... Myślałam za dużo... a to ci dopiero: JA MYŚLAŁAM ZA DUŻO! I dlatego należało mnie umieścić w polu izolującym...


Jacek Gaudasiński

Przyjacielu, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek myślała o latających maszynach czy podobnych bzdurach, przysięgam. Po mojemu pomyliliście osoby... tak, to prawda, słyszałam jak mówicie, a dokładniej: słyszałam ciebie i myślałam, że jesteś Demonem... mówisz, że zakłócenia?... Czy mój umysł może przechwytywać myśli kogoś odległego w czasie... nie mogę w to uwierzyć, przyjacielu. I przestań, do diabła, przepraszać mnie. Jesteśmy już przyjaciółmi. Poza tym myślę, że sprawa nie zależy od ciebie. Co więcej, jesteś jedynym, który mi pomógł, człowieku. Ale chcę ci zadać jeszcze jedno pytanie – dlaczego nie naszpikowaliście mi świadomości przy pomocy tych „instrukcji podprogowych", tak jak to zrobiliście z tym facetem, tym da Vinci? Aha, nie byłam w stanie...

Chcesz powiedzieć, że byłam za głupia? Najpierw mi opowiadasz, że wywołuję wzrost entropii, bo zbyt dużo myślę, a potem zapominasz o tym i mówisz, żem głupia. Jesteś niekonsekwentny, przyjacielu. Nie, nie złoszczę się, tylko dziwię... Słyszałam, jak myślałeś, że stara kurwa z tysięcznego roku nie jest w stanie niczego zrozumieć. Ale teraz radzę sobie zupełnie nieźle, nie sądzisz? Nie chcę cię dłużej wprawiać w zakłopotanie. Zamiast tego zapytam jeszcze: dlaczego wyglądam tak młodo?... Zregenerowaliście moje komórki... a mogę wiedzieć po co, jeśli zamierzaliście mnie tu trzymać niemą, ślepą i głuchą, bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym? Aha, mówisz, że to automatycznie?... Człowieku, chwilami cię nie rozumiem. W głębi twoich myśli jest pomieszanie prawie takie jak w moich... Choć nie dotyczy tych samych spraw...

ANDRZEJ WROŃSKI



Jedyne dobre, co zrobiliście dla mnie (jeśli dobrem jest poczęstunek ze źródła miłości) stało się całkowicie przypadkowo. Przez niedbalstwo pozwoliliście, żeby automat mnie odmłodził, bo już kiedyś tak był zaprogramowany...

– Kapitanie, jest Doktor.

– Dziękuję, Techniku. Sądzi pan, Doktorze, że będzie pan w stanie postawić Drugiego na nogi, choćby na krótko?

– Mogę spróbować, Kapitanie, ale nie gwarantuję skutku. Istnieje serum, które, jak się wydaje, wzmaga potencję układów myślowych. Brakuje, niestety, pełnej dokumentacji prób leku i nie znamy jego działań ubocznych.

– Jak na pokładzie mógł się znaleźć eksperymentalny lek?

– Cóż, Kapitanie, w pewnym sensie nie jest to całkiem legalne, że się tak wyrażę. Faktem jest, że znalazł się w moim posiadaniu. Długo nad nim pracowałem przed rozpoczęciem patrolu i myślałem, cóż, myślałem, że może znajdę sposobność wypróbowania go na kimś...

– Pan, Doktorze, chce powiedzieć, że chciał nas wykorzystać jako świnki morskie?

– Nie, Kapitanie.

– Nie rozumiem.

– Cóż, myślałem, Kapitanie, że będę nad nim jeszcze pracował w czasie wolnym...

– Ale teraz sugeruje pan wypróbowanie go na Drugim.

– Tak jest.

– A, pańskim zdaniem, jakie mogą być ewentualne skutki uboczne tego preparatu?

– Cóż, może się zdarzyć, że ten ktoś będzie nieco za bardzo wzmocniony...

– To znaczy?

– Powiedzmy, że mógłby stracić nieco cywilizacyjnej ogłady.

– Nadal nie rozumiem, Doktorze.

– No, stałby się zbyt żywotny, pełen wigoru, prymitywny.

– Tylko tyle?

– Myśle, że tak, Kapitanie.

– Dobrze, Doktorze. Może pan wypróbować lek na Drugim.

...Hej, przyjacielu, co się z tobą dzieje?... Gołowąsie, co robisz? Wygląda jakby coś eksplodowało w twoim mózgu... Nie, nie zostawiaj mnie samej, proszę... Cholerny świat, nikogo w życiu o nic nie prosiłam, popatrz co ze mną zrobiliście, wy nadludzie: zabraliście mi wszystko... Tak, stara kobieta, materac setek żołdaków, nie jest w stanie zrozumieć instrukcji podprogowej, trzeba ją wyciszyć w inny sposób. Nie jest Leonardem da Vinci, jest kurwą i jej umysł nie wyczuwa pewnych subtelności...

Co za burdel. Ja może i przesadzałam ze swoimi szaleństwami i nie żyłam w zbytniej zgodzie z przykazaniami, ale, człowieku, mam taki stosunek do życia, o jakim tobie się nigdy nawet nie śniło. Gołowąsie, mnie życie nigdy nie przerażało, do diabła z entropią, jeśli się starzejemy, trudno. Nigdy by mi jednak nie przyszło do głowy, żeby włazić do innych stuleci, obcych umysłów i udawać Ducha Świętego. I przestań mnie przepraszać!

– Kapitanie, wygląda na to, że Drugi odzyskuje kontakt z rzeczywistością.

– Jest pan tego pewien, Doktorze?

– Praktycznie tak, Kapitanie. Jest teraz tak, jakby żył w dwóch światach jednocześnie, ale ma w sobie energię wystarczającą, żeby pokierować sobą w obu światach na raz i będzie mógł zająć się instrumentami.

– Jak pan sądzi, w jakim jeszcze świecie żyje, oprócz naszego?

– Cóż, Kapitanie... Sądzę, że Drugi ma mentalny kontakt z zatrzymaną.

– Z zatrzymaną?

– Tak, proszę pana.

– Ma pan jakieś dowody na potwierdzenie tych słów?

– Nie mam pewnych dowodów na to, co mówię, ale na obronę mojego twierdzenia mam prawie sto lat doświadczenia.

– To mogłoby tłumaczyć wzrost entropii: to diabeł wcielony z tej baby. Jej umysł jest przenikliwy jak... jak...

– Jak umysł GENIUSZA, Kapitanie?

– Mhm... ale do cholery, jak prymitywna kurwa może być geniuszem? Wykluczone. Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

...oj, oj... kapitanie... jesteś kapitanem... słyszę także ciebie, a twoje myśli, muszę przyznać, nie są przyjemne... Taki przekonany, że wszystko rozumie... a nie potrafi zrozumieć mnie, „prymitywnej kurwy"!

...minęło tyle lat... tak, musiało ich wiele upłynąć... a małe, nieczułe, małostkowe przekonania tych, którzy zawsze uważali siebie za lepszych, pozostały nie zmienione. Tak jak nie zmienione pozostały ich pretensje do dyktowania praw, do utrzymywania, że są słuszne i do narzucania ich innym... Hej, Gołowąsie, mój osobisty demonie, słyszysz myśli swojego kapitana? Zgadzasz się z nim? Powiedz przyjacielu, i przestań mnie przepraszać.

– Kapitanie, pan się źle czuje?

– Doktorze, ja... chyba nie czuję się dobrze...

– Techniku, niech pan zajmie miejsce Kapitana, podczas gdy ja zajmę się sprawdzaniem danych.

– Dobrze, Doktorze, ale regulamin nakazuje, by Kapitan sam przekazał mi, choćby chwilowo, dowodzenie.

– Obecnie Kapitan nie jest w stanie niczego przekazywać, zapadł w stan kataleptyczny i podejrzewam, że przyczyna tego jest ta sama, jak ta, która wyeliminowała Drugiego.

– Doktorze, słyszałem, jak pan mówił Kapitanowi, że Drugi pozostaje w łączności z zatrzymaną. Chce pan powiedzieć, że teraz także Kapitan jest z nią w łączności?

– Tak przypuszczam, Techniku.

– Mogę panu zaproponować sposób zneutralizowania zatrzymanej?

– A jak, jeśli wolno spytać, chciałby pan zneutralizować osobę zdolną porozumiewać się przez pole izolujące?

– Doktorze, wskaźniki sygnalizują prawdopodobieństwo wzrostu entropii. Proszę szybko wywołać Drugiego, jeśli pan może!

– Drugi jest już w stanie sam interweniować, choć żyje również w innym świecie. Czuje i może reagować. Jeśli tego nie robi, to znaczy, że nie chce. A ja nie mam lekarstwa na ludzkie chęci.

– Doktorze, może pan... zabić zatrzymaną?

– Tak, możemy zrobić piękny stos... jak mi się wydaje w jej czasach w ten sposób rozwiązywano podobne problemy.

– Mówi pan serio, Doktorze?

– A pan rzeczywiście byłby gotów ją spalić?

...ale burdel. Zdaje się, że moja przyszłość to stos... Mój demon powiedział: „witaj na pokładzie", a ci tutaj szaleńcy chcą igrać z ogniem... Ale ja WIEM, że wszystkie istoty ludzkie są równe i że nikt nie ma prawa uważać się za lepszego i dysponować życiem innych. A ta świadomość zawsze uwalniała mnie od lęku. Także i tym razem poradzę sobie: tyle razy próbowali mnie spętać na różne sposoby i nie udało im się to.

– Doktorze, mógłby pan wstrzyknąć to serum Kapitanowi?
– Dlaczego miałbym to zrobić, Techniku?
– Ponieważ nie jestem w stanie robić wszystkiego: sama obserwacja wskaźników entropii wykracza już ponad moje zwykłe obowiązki. Normalnie robiłby to Drugi. Jeśli jednak mam zastępować i Kapitana, to cały patrol psu na budę.
– Cóż, chyba zrobię zastrzyk Kapitanowi.
– Kiedy on zacznie działać?
– Nie wiem dokładnie. Każdy ma własny czas reakcji. A ludzie są bardziej skomplikowani niż suma ich narządów.

...Hej, nadludzie, słyszę was wszystkich. Ale ty, Gołowąsie, nadal podobasz mi się najbardziej z nich. Może dlatego, że ciebie pierwszego usłyszałam. Jestem, w gruncie rzeczy, sentymentalną staruszką. Wyobraź sobie, że do dziś pamiętam tego chudego chłopaka, którego obejmowałam pierwszy raz, chłopca, który chciał kochać się z dzikuską i dzieckiem, bo jeszcze nim byłam... ale mu nie wyszło. Zostawmy to. Jesteś zaskoczony czułością u prymitywnej kurwy? Człowieku, wy nie zmieniliście się zbytnio, możesz mi wierzyć.

– Techniku, co pan robi?
– Wstrzykuję sobie serum.
– Po co?
– Ja też chcę mieć więcej sił ducha, Doktorze!

...Widzisz? Nadal znaczycie karty, by osiągnąć to, co mają inni. Do diabła z tym wszystkim, ja dobrze wiem czego chcę i myślę, że się trochę potrudzę, żeby to osiągnąć...

– Kapitanie, Kapitanie, słyszy mnie pan? Tu Doktor. Składam raport. Sytuacja jest następująca: pan, Drugi i Technik otrzymaliście po dawce mojego eksperymentalnego leku wzmacniającego energię umysłową. Na pokładzie jedynie ja żyję w jednym świecie. Właśnie wstrzykuję sobie ostatnią pozostałą dawkę serum. Sądzę, że wkrótce także i ja będę mógł nawiązać kontakt z zatrzymaną. Z punktu widzenia nauki jest to okazja, której nie wolno mi stracić. Niech diabli porwą entropię, Kapitanie.

...no i jesteśmy razem. Wszyscy możemy porozumiewać się mentalnie, ciekawi siebie. Mniej lub bardziej naukowo. Zadowoleni, kpiący sobie ze wzrostu, może nawet skoku, entropii. Czy JA mam wam przypominać, że wasza misja ma na celu uciszenie myślicieli? To wy usypiacie mózgi przerywając myślenie, dostarczając gotowych rozwiązań. Jak to się stało, że znaleźliście się po tej samej co ja stronie?... Oj, oj, to chyba mój zabójczy wpływ: mężczyźni zawsze szaleli z mojego powodu. Tak, śmieję się, co w tym złego? Gołowąsie, jeśli zawsze będziesz taki poważny, nie pożyjesz. Ale burdel... czasem tęsknię za moimi mniszkami, w porównaniu z wami były niemal święte! Ale ja kocham tych, którzy przyznają się do popełnionych błędów.

Żołnierze, starzy towarzysze, poprzebieraliście się w jakieś dziwne stroje i nie pamiętacie już smaku ryzyka!

Oto wstaję i widzę moje blade ramiona, moje blade palce: pragnę słońca i wiatru. Czuję się chora. Kapitan też jest tego zdania. Hej, Kapitanie, przyznasz, że skomplikowałam wam życie? A co, do diabła, myśleliście, że ze mną zrobicie?
...mówisz, że pozostawicie wszystko po staremu? A w jaki sposób? O, tak, to wszystko z mojej winy, oczywiście. Za dużo myślałam. A ponieważ, niepoprawna, urodziłam się kobietą i to w roku tysięcznym, nie miałam do tego prawa?

Rozsadziłam pole izolujące korzystając z diabolicznych zdolności mentalnych. Doprowadziłam do szaleństwa wszystkich na pokładzie i usidliłam wspaniałą załogę przy pomocy diabli wiedzą jakich czarcich sztuczek...

Twoje szaleństwo, Kapitanie, szybko mija: słyszę jak myślisz o zatarciu tej nieprzyjemnej historii.

A ty, Doktorze, masz swoje doświadczenie, a wnioski to już na spokojnie?...
Tak, Techniku-moralisto: patrzysz na nas i potępiasz.
Tylko ty, Gładkolicy, zaraziłeś się tym szaleństwem, jakim jest pragnienie życia. W gruncie rzeczy oni myślą o wyeliminowaniu także i ciebie: wprowadzasz zamieszanie, narzucasz innym wątpliwości, te ostatnie tworzą nowe idee i entropia rośnie...

...Dziwny jest ten listopad: mgła rozprasza się i kiedy spoglądam w dół na doliny widzę jeszcze jej resztki, zwiewne płaty uczepione gałęzi zimowych dębów i dzikich jabłoni.

Ale co ja tu robię? Jest coś... jest coś w mych myślach takiego, jakbym miała o czymś pamiętać... Obok mnie spoczywa jakiś człowiek. Wygląda jakby spał.

Jakiś cudzoziemiec: skóra jasna, gładka jak u dziecka. Potrząsam nim, żeby się obudził: – Ej, Gołowąsie, skąd jesteś? – i imię jakiego użyłam, by go nazwać budzi echo w mej pamięci.

– Z przyszłości – odpowiada otwierając przymrużone oczy.
– Nigdy nie słyszałam o takim miejscu, chociaż dużo wędrowałam za młodu.
– Spójrz na siebie – mówi obcy chwytając mnie za rękę – nadal jesteś młoda.

Spoglądam na moją dłoń, dłoń delikatną, dziewczęcą.
– W pewnym sensie oboje jesteśmy teraz obcy – mówi cicho Gołowąs gładząc mnie po ręce.

I choć nie pamiętam, dlaczego, jestem pewna, że to prawda. Jestem rzeczywiście dziewczynką i nie wiem, co mi się przydarzyło. Ale jedno jest pewne: nie wrócę do klasztoru. Pomyślałyby jeszcze o czarach widząc mnie tak zmienioną i mogłabym źle skończyć.

Gołowąs uśmiecha się, trochę niepewnie, a ja poznaję ten uśmiech; widziałam go tysiące razy na twarzach mych starych towarzyszy...
Tak, człowieku, ty też możesz być moim towarzyszem, jeśli chcesz. Cóż prostszego, niż spoczywać obok siebie udając, że się rozumie bez słów, żeby zapomnieć nieco o trudach życia?

Schodzimy w stronę doliny otwierającej się łagodnie pod rzadkimi już płatami mgły. Krzewy jagód są purpurowoczerwone.

Przełożył **Bogdan Sroka**

DEMON WALKI

Feliks W. Kres



Grzegorz Komorowski

I

„Dziwne" – pomyślał Rapis. „Pierwszy raz w życiu widzę taką pogodę. Czyżby zła wróżba?"

Istotnie. Morze burzyło się niespokojnie. Groźne, uwieńczone koronami pian fale z łoskotem tłukły o burty statku. W okolicach Garry burze nie należały do rzadkości, ale tym razem prawie nie było wiatru. I świeciło jasne, gorące słońce.

„Dziwne" – powtórzył w myślach Rapis.

Oderwał się od burty i rozkołysanym krokiem podszedł do sternika nieruchomo stojącego za kołem.

– Co tam, Ramadan?

– W porządku, kapitanie. Trzymam kurs.

Rapis w zamyśleniu skubał palcami pas. Wreszcie zapytał z wahaniem:

– Co myślisz o tej pogodzie?

Sternik spojrzał z ukosa. Kapitan rzadko przyznawał się do wątpliwości.

– Pierwszy raz widzę coś takiego, Panie.

– Właśnie.

Cisza. Łomot fal o burty statku. Dobiegające zewsząd poskrzypywanie takielunku, pod pokładem gniewne wrzaski bosmana.

– Jakby coś nie w porządku – melduj.

– Tak, Panie.

Kapitan postał jeszcze chwilę i odszedł. Po chwili był w swojej kajucie na rufie, pochylony nad stołem, na którym rozrzucone były mapy. Spojrzał na nie krytycznie i nagłym, wściekłym ruchem zmiótł je na podłogę. W tej samej chwili zapukano do drzwi.

– Wejść!

Skrzypnęły zawiasy.

– Coś taki nie w sosie?

Spojrzał spode łba na intruza. Rrodan ostrożnie przekraczał ogromną mapę Bezmiarów. Rapis wskazał mu miejsce w kapitańskim fotelu. Sam usiadł na stole.

– Ta pogoda, ta sucza pogoda! – cisnął. – I jeszcze te mapy. Na Moc, co za żeglarze pływali po tych wodach, skoro wyspy jak ta, którąśmy dopiero co minęli, nie są na nich zaznaczone?

Rrodan wzruszył ramionami.

– Dziwi cię to? Powiedz, iluż to żeglarzy wypływa tak daleko na południowy zachód od Garry?

– Jednak jacyś wypłynęli, skoro są mapy, choćby i niedokładne...

– Czyż musieli płynąć dokładnie tym samym szlakiem, co my?

Rapis w zamyśleniu kołysał nogami. Odwrócił głowę.

– Masz chyba rację, ale... – Przechylił się w bok i huknął pięścią w stół. – ...ale ta pogoda doprowadza mnie do szału! Słyszał kto kiedy o czymś takim na Bezmiarach?

Teraz zamyślił się z kolei Rrodan.

– Bezmiary... Cóż my w końcu o nich wiemy?

– Co za bzdury mi tu opowiadasz?! Pytam: słyszałeś kiedy o takiej pogodzie?

– Nie. A słyszałeś kiedy o ptakach wielkich jak okręt? – odparował Rrodan.

Rapis zamilkł. W samej rzeczy, nie słyszał o nich nigdy. A przecież – widzieli je.

Z westchnieniem spuścił nogi na podłogę.

– Wydaj rozkazy. Zawracamy. Kurs na Banę.

– Za wcześnie. Cesarskie okręty z pewnością jeszcze kręcą się po morzu.

– Niech Moc nam pozwoli spotkać choć jeden z nich.

– Oszalałeś?

– Nie – gdy Rapis mówił aż tak cicho, oznaczało to, że zaraz zacznie krzyczeć.

Rrodan otworzył usta, ale kapitan chwycił go za ramię.

– Słuchaj, Rrod, to chyba jakiś zły czar, czyjaś złośliwa a silna wola powstrzymuje nas od walki, napawa ostrożnością... tchórzostwem. Tak, tchórzostwem. Cesarskie okręty, pomyśl, Rrod, przecież to śmieszne! Dawniej zrabowalibyśmy ze dwa, prześliznęli się między pozostałymi, po to tylko, by niespodzianie znów doskoczyć z boku i spalić następny. Bywało tak przecież, bywało! Pamiętasz, pływaliśmy jeszcze na „Mewie", ścigała nas Flota Dartańska. I co? Zatopiliśmy jeden okręt, zdobyli drugi, a potem spaliliśmy port w Lla. A dziś? Na widok dwóch galer – słyszysz, nieuzbrojonych galer Floty Armektu robimy zwrot i miast na północ płyniemy na południowy zachód. I to jak! Cztery dni temu znikły nam z oczu brzegi ostatnich otaczających Garrę wysp, a my wciąż uciekamy! Jeszcze dwa–trzy dni i spragniona łupów załoga podniesie bunt. To świeży zaciąg, marzyli o stosach klejnotów i złota, o walce, WALCE! – słyszysz Rrod? A my uciekamy.

– Uspokój się, Rap.

– Uspokój? Ależ człowieku, jestem tak spokojny, że mógłbym niańczyć strażników, bo chyba już do tego tylko się nadaję. Ty mówisz „uspokój się"?

– Uspokój się. Masz trochę racji, ale nie we wszystkim. Posłuchaj.

Prawie siłą posadził Rapisa w fotelu. Oparł się o ścianę.

– Masz rację, że ostatnio staliśmy się zbyt ostrożni – przyznał. – Ale w tym jednym, jedynym wypadku ostrożność jest uzasadniona. Nie uciekamy przed parą małych okrętów i ty wiesz o tym. Cóż dwie bezbronne w końcu galery mogłyby robić poza pasem Wysp? Same? Nie, Rap, za nimi stoi cała Flota Armektu, może nawet wszystkie jego Floty... To obława, Rap, obława na nas, na Kitasa, na Brorroka, na Alagerę. Ręczę...

– Więc dobrze, Rrod, stały za nimi wszystkie Floty Armektu, niechby i wszystkie Floty Imperium. Ale inne okręty były daleko – tak czy nie? Mogliśmy pozwolić sobie na zatopienie tych galer. Nie mam racji?

Wstał.

– Postanowiłem. Jeszcze dzisiaj bierzemy kurs na Banę.

– Przemyśl to jeszcze.

– Przemyślałem. Mamy pod pokładem osiemdziesięciu sześciu niewolników...

– Osiemdziesięciu trzech.

– Właśnie. Sam widzisz. Za tydzień nie będzie już z czym płynąć do Bany. A nawet jeśli połowa z nich przeżyje, w co wątpię, w jakim będą stanie? Nie zamierzam odstępować łupu za półdarmo.

Rrodan myślał.

– Ty dowodzisz tym statkiem – powiedział wreszcie. Wyprostował się. – Czekam na rozkazy.

– Kurs na Banę. Wydać ludziom po pół kubka wódki. Czyścić broń. Rokona i tego drugiego...

– Lastenę.

– Właśnie. Wypuścić z karceru. Po dziesięć batów na głowę. To prezent dla załogi.

– Słucham, kapitanie.

Trzasnęły drzwi. Rapis splótł ręce na plecach i szerokim krokiem przemierzył kajutę. Podniósł z podłogi mapy. Rozłożył je na stole i zmarszczył brwi. Oczywiście – prąd, który niósł teraz statek, nie był na nich zaznaczony.

II

– Słyszeliście, ojcze Karder, że ludzie z Akeru dotąd nie znają żagla?

– A jakże, synu, a jakże. To dzicy.

Rapis pochylił głowę i przez wąskie, niskie drzwi wsunął się do komórki cieśli.

– W porządku, chłopcy – rzekł – pogadaliście sobie, a teraz jazda na pokład. Drugi oficer ma dla was robotę.

Stary, przestraszony pojawieniem się kapitana, szybko powstał z cuchnącego barłogu. Za jego plecami błyszczały w półmroku oczy kilkunastoletniego wyrostka.

– Na pokład, powiedziałem! I przysłać mi tu bosmana.

Marynarze wypadli na zewnątrz, zadudniły bose pięty na wąskich stopniach. Potem cisza. Rapis podszedł do migoczącej w kącie pomieszczenia świecy i uniósł ją w górę. Z obrzydzeniem skrzywił twarz.

Minutę później przybiegł bosman.

– Słucham, Panie?

Rapis odwrócił się powoli.

– Słuchaj, Dorol, co jest, do cholery? Myślisz, że jak pływamy razem od paru lat, to co, to już nie musisz nic robić? Co, wszystko masz w dupie? Jak tu wygląda? Przed chwilą byłem w kubryku – to samo. Zaraza na statku nie jest potrzebna. Jeśli nie potrafisz wytłumaczyć tej zbieraninie, gdzie znajduje się okrętowa latryna – wyrzucę za burtę. I raz na tydzień mają być wietrzone koce i hamaki.

Ruszył ku drzwiom. Bosman skwapliwie zszedł z drogi.

– Jeszcze dziś zgłosisz się do magazyniera po latarnie. Ci tutaj postawili sobie świeczkę. Tobie też jedną postawię, jeśli jeszcze raz zobaczę na statku otwarty ogień. A

ANDRZEJ WROŃSKI





to – kopnął leżący na podłodze nóż – jest broń. Nie powinna być zardzewiała, Dorol. Naprawdę. A teraz won.

Bosman znikł jak zdmuchnięty. Rapis zgasił świecę i wyszedł na pokład. Zaczerpnął świeżego powietrza.

Świtało. Rozpinane sprawnie żagle z hukiem łapały wiatr. Chwała Mocy! Myślał, że ta przeklęta cisza już nigdy się nie skończy.

Pokrzykiwanie i przekleństwa majtków wywołały uśmiech na pochmurnej zwykle twarzy. Gromko okrzyknął marynarza na oku.

– Pusta, Panie kapitanie!

– Oczy otwarte!

– Tak, Panie kapitanie!

Okręt nabierał chyżości, lekko pochylony pruł fale jak legendarny wąż morski, którego imię nosił. Wiał rzadki w tych okolicach południowo-zachodni wiatr, szparko płynęli forewindem wprost na północny wschód. Ramadan pewnie trzymał ster.

– Do stu gromów, Rap! Wcześnie dzisiaj wstałeś!

– Jak widzisz, Rrod. Muszę cię jednak rozczarować: od trzech dni wcale nie sypiam.

Ruszyli ku rufie. Rrodan otworzył drzwi swojej kajuty.

– Wejdziesz?

– Czemu nie?

Weszli. Rapis przeskoczył porzucone na podłodze mapy. Spojrzał na Rrodana. Roześmieli się.

– Jak widzisz i ja nie sypiam ostatnio – powiedział oficer. – Starałem się odnaleźć górny bieg tego prądu, który dwa lata temu pociągnął nas aż pod Kirrę.

– I co?

– A jak myślisz?... Nic.

Załomotano do drzwi.

– Wejść!

– Panie... wrak na horyzoncie!

Oparty o ścianę tuż przy drzwiach Rapis ukazał się marynarzowi. Rrodan wstał z koi.

– Kapitan... to dobrze – ucieszył się majtek. – Samon krzyczał z gniazda.

– Słyszałem. Chodźmy, Rrod.

III

Widok był straszny. Oniemiali ze zgrozy marynarze tłoczyli się wzdłuż sterburty. Zimny już, wypalony doszczętnie wrak dryfował powoli z wiatrem na północny wschód. Na wytrawionej ogniem burcie widniał ledwie czytelny napis „Północ". Były to resztki wielkiej i dumnej niegdyś kogi Alagery. Ona sama – Rapis poznał ją po szkarłatnej odzieży – wisiała na obłamanym i osmalonym kawałku rei. Podobnie kołysała się z wiatrem ta część jej załogi, która uniknęła mieczy i włóczni strażników morskich. Trupi zaduch dolatywał aż na pokład „Węża Morskiego".

– Miałeś rację, Rrod – powiedział niegłośno Rapis. – To była obława.

– Chyba nie zostawimy ich tak... – powiedział któryś z marynarzy. – Przecież to... nasi.

Rapis oderwał się od relingu.

– Obsługa do dział!

Zakotłowało się na pokładzie. Kanonierzy w mig zajęli stanowiska.

– Ognia!

Powietrze rozdarł szereg potężnych, prawie jednoczesnych grzmotów. Wielkie, kamienne kule z łoskotem uderzyły w zniszczoną burtę, wybijając w niej kilka ogromnych dziur. Zgruchotany wrak „Północy" ciężko jak kamień, bez żadnych wirów i bulgotań runął w głębiny Bezmiarów.

– Morze wzięło... – rzekł Rapis.



Tego samego dnia wieczorem stojący na oku marynarz obwołał ziemię. To była Garra, a raczej jedna z przyległych wysepek.

Nie przez przypadek Rapis skierował okręt w jej stronę. Sprawdziły się jego przewidywania: niewolnicy, których wiózł na handel, w większej części powymierali; ładownia świeciła pustką.

Tę wysepkę Rapis znał dobrze, kilkakrotnie uzupełniał na niej zapasy żywności. Miała niewielki port, w którym prócz kryp rybackich stacjonowały zwykle dwa lub trzy małe okręty strażników morskich. Dla „Węża Morskiego" nie były one żadnym zagrożeniem, cóż w końcu mogły poradzić trzy stare jak świat szniki przeciw największej pływającej po Bezmiarach karace? Dlatego gdy Rapis zawijał do portu, strażnicy zwykle siedzieli zupełnie cicho, udając, że ich w ogóle nie ma i ciesząc się, jeśli odpłynął nic nie spaliwszy. Kilkakrotnie już urządzano na niego zasadzki, ale żołnierzom brakło szczęścia: przypływał wtedy, gdy nikt go nie oczekiwał, by potem przez rok nie pokazać się ani razu.

Zwykle przybijał do przystani za pomocą szalup, tym razem jednak zależało mu na czasie, poza tym chciał uniknąć kłopotliwego ludzkiego transportu. Wiedział, że port jest dość głęboki, by przyjąć nawet tak wielki okręt jak jego.

Był środek nocy, gdy wpływali do przystani. W strzegącej jej wrót wartowni zabłysło wątłe światełko; z brzegu zabrzmiał okrzyk:

– Ktoś ty?!

Cisza. Olbrzymia bryła okrętu naparła na belki pomostu. Marynarze rzucili cumy.

Ktoś ty?!

Rzucono trap. Tuż przy nim jeden z majtków postawił płonącą maźnicę ze smołą. Trap rozjęczał się pod uderzeniami marynarskich nóg. Każdy z zabijaków niósł pochodnię, którą zanurzał w maźnicy. Jeszcze chwila i dwie setki ruchomych ogni rozświetliły cały port. Natarczywy głos z wybrzeża ucichł, w leżącej nie opodal wiosce zalśniły migoczące światełka w oknach. Nagle huknęły wszystkie lewoburtowe działa. Chwilę potem z pokładu zabrzmiał silny, wyraźny głos:

– Wieśniaków żywcem, śmierć strażnikom! Naprzód!

Od strony zgruchotanej salwą z bliskiej odległości strażnicy dobiegł odgłos pojedynczego wystrzału z ciężkiego działa. Zawirowały w powietrzu płonące szmaty i grube łańcuchy. Strzał był celny, przesycone smołą węże spadły na pokład okrętu. Ugaszono je w mgnieniu oka, po czym rozległa się druga salwa, tym razem ze średnich, rejteradowych dział karaki. Gromada półdzikich marynarzy runęła ku rozbitej pociskami wartowni. Na czele zgrai biegł Rapis.

Kilkudziesięciu strażników postanowiło drogo sprzedać swe życie. Nadbiegający ludzie Rapisa ujrzeli nagle w półmroku zwarty, równy szyk wyćwiczonej piechoty, stanowiącej uzupełnienie załóg stojących w porcie okrętów. Większość wyrwana ze snu, bez zbroi, czasem w groteskowych szlafmycach i koszulach – przecież prezentowali się groźnie. Od strony przystani rozległ się nowy huk: to „Wąż Morski" prowadził bezlitosną walkę z załogami cesarskich okręcików, odpowiadającymi ogniem ze swych pojedynczych, dziobowych dział. W tej samej chwili, jak na umówione hasło, pierwszy szereg żołnierzy przyklęknął, celując z kusz; żołnierze w drugim także unieśli broń do oka. Świsnęły złowrogie bełty, grupa piratów zatrzymała się nagle, zwinęła w miejscu jak raniony śmiertelnie rekin. Nad jękami bólu i charkotem konających zapanował głos Rapisa:

– Bij! Adgared, adgared!

– Adgared! – podchwycili z bojową wściekłością inni. Żołnierze nie zdołali powtórnie naciągnąć kusz, trzykrotnie liczniejsza dzika zgraja wpadła na nich z zaciekłością stada wilków. Szczeknęły krzyżowane miecze, gdzieniegdzie zalśnił w migotliwym blasku deptanych pochodni grot włóczni i krzywe ostrze szerokiej pirackiej szabli. Nagle w środku linii żołnierzy zakotłowało się coś gwałtownie i w poblasku ostatnich gasnących iskier zapłonął topór Rapisa. Linia strażników pękła, rozpadła się na dwie osobne grupy, które natychmiast otoczono. Część żołnierzy wpadła w panikę, inni walczyli każdy na własną rękę, ale tak sprawnie, że trup po stronie piratów ścielił się gęsto. Stłoczono ich jednak, przemieszano... Walka zmieniła się w rzeź.

Tymczasem druga setka piratów pustoszyła wieś. Tu dowodził Rrodan. Gdy Rapis docinał niedobitki żołnierzy, płonęły już niepewnie pierwsze domy. Co chwila grupa zbirów wpadała do jakiejś chałupy, skąd natychmiast dobiegały krzyki, płacz i wycie rybaków. Żądni krwi majtkowie rzucali się pośród domów jak wściekli, psy ujadały na łańcuchach, z ogarniętego pożarem kurnika wysypały się otumanione dymem kaczki i kury, powiększając jeszcze zamieszanie. Tam, gdzie wieśniacy stawiali rozpaczliwy opór – zabijano bez litości. Krew płynęła strumieniami, przywykli do operowania bronią, nie-

ciąg dalszy na stronie 45

Właśnie przetransportowałem go z Północnej Karoliny do Nowego Jorku, żeby popróbował kariery na Broadwayu, kiedy będąc przypadkiem na poczcie, zobaczyłem paczkę adresowaną do niejakiego Ryszarda Lee, gościnnie w Gasthaus Steinbauer. Paczka spoczywała na stoliku za urzędnikiem w okienku. Dzięki ci, Boże, za małe europejskie urzędy pocztowe! W trzy sekundy wszystkie torby i notatki były już w moim nowiutkim deux chevaux i pędziłem z nimi ku nizinom tak szybko, jak tylko mój żabomobil był do tego zdolny.

Blisko trzy miesiące dekowałem się w Stresa, bo było tam pięknie i bezludnie, a poza tym, tam właśnie odpoczywał porucznik Henry ze swą Catherine przed przeprawą na drugi brzeg jeziora Maggiore do Szwajcarii.

Idiotyzmem było wysyłać w pogoń za mną Ryszarda Lee, ale może i w tym tkwił jakiś cel. Korzystając z nieobecności Ryszarda, galeńczycy chcieli być może oczyścić Galen do reszty – nigdy więcej prawdziwych ludzi! Nigdy więcej normalnych w Mieście Marshalla France'a! Anna nareszcie nie musiałaby chodzić do łóżka z panem Lee. Kto wie, czy nie sama Anna będzie następna? Ojciec może ją przecież odtworzyć, i to w udoskonalonej wersji – nowy, doskonalszy model Anny. Nigdy się nie zestarzeje, nigdy nie zachoruje. Może dlatego właśnie pozbyli się Ryszarda – jeżeli nawet coś mu się przydarzy, pan i władca stworzy nowego.

To zresztą nieważne. Zaczailiśmy się na niego w Zermatt i załatwiliśmy Ryszarda w bocznej uliczce, w samym środku nocy.

– Siemasz, Ryszard!

– Tom! Tom Abbey! Coś podobnego!

W ręku trzymał długi, stalowy nóż, który starał się ukryć tuż przy boku. Z uśmiechem rozejrzał się na obie strony, na wypadek, gdyby w pobliżu mieli się przypadkiem kręcić moi kumple i dał krok w moją stronę.

Kiedy znalazł się o pięć albo sześć stóp od nas, Papcio wyłonił się z mroku za moimi plecami i jakby nigdy nic zagadnął mnie przez ramię:

– Przytrzymać ci kapelusz, synku?

Zarżałem ze śmiechu i wystrzeliłem w sam środek smutnej, pełnej niedowierzania gęby Ryszarda.

KONIEC

Rozdział VI

Przy drzwiach czekała na mnie jakaś kobieta. Uśmiechała się. Złapała mnie za rękę i ścisnęła z całej siły.

– Dzień... tego... witam panią.

– Nie wie pan, kim jestem? – W jej uśmiechu czaił się cień szaleństwa. Ciekaw byłem, gdzie się podziewała Anna.

– Istotnie, nie wiem, bardzo mi przykro. – Spróbowałem uśmiechnąć się przepraszająco, ale nic z tego nie wyszło.

– Hau-hau. Wrr... – Złapała mnie za ramiona i przytuliła.

– Pańcia?

– Zgadł pan, Pańcia! Tylko trochę zmieniona, prawda?

– O Boże! To znaczy, że naprawdę...

– Tak, Tomaszu, mówiłam ci przecież, że to koniec. Wróciłam z tamtego życia i znów jestem sobą. Sobą. Sobą. Sobą. – Poklepała się z dumą po wydatnym biuście. Promieniała niepohamowanym uśmiechem.

– Nie wiem... Rany Boskie, nie wiem, co powiedzieć. Moje... tego... najserdeczniejsze gratulacje. Bardzo się cieszę, że pani się cieszy. Tylko, że...

– Rozumiem, rozumiem. Proszę wejść. Anna jest w salonie. Chciała, żebym to ja panu otworzyła i zrobiła niespodziankę.

Przełknąłem ślinę i odchrząknąłem. Mimo to mój głos zabrzmiał jak pociągnięcie twardą kredą po tablicy.

– To... to istotnie spora niespodzianka.

Anna siedziała na kanapie i piła kawę z grubego porcelanowego kubka. Zapytała, czy i ja napiłbym się kawy, a kiedy odparłem, że owszem, zerknęła znacząco na Pańcię, a raczej na Wilmę, która tanecznym krokiem wybiegła z pokoju po drugą filiżankę.

– Czy nadal niepokoi cię to, co ci powiedziałam?

– Saxony wie o nas, Anno.

Usiadłem w fotelu na wprost niej.

Podniosła kubek i oburącz przytknęła go do ust. Popatrzyła na mnie znad krawędzi kubka.

– Jak zareagowała?

– Trudno powiedzieć. Typowo. Półporządnie, półwstrętnie. W końcu zaczęła płakać, ale nie były to żadne łkania i histerie. Zdaje mi się, że Saxony to twarda sztuka.

– A ty, jak się czujesz?

Sączyła kawę, ale nie spuszczała mnie z oka. Cienka smużka pary z kubka uciekła pospiesznie wraz z jej oddechem.

– Jak się czuję? Szmatławo. A co myślałaś?

– Przecież nie jesteś jej mężem.

Skrzywiłem się i zabębniłem palcami po oparciu fotela.

– Tak, wiem, nie jestem jej mężem, nie mam wobec niej żadnych zobowiązań, oboje jesteśmy wolnymi ludźmi... Tysiąc razy wykładałem to sobie w myślach, a mimo to czuję się jak szmata.

Wzruszyła ramionami i oblizała krawędź kubka.

– W porządku. Chciałam tylko...
– Coś ci powiem, Anno, nie mieszaj się w to. To moja sprawa i sam ją muszę rozwikłać.
– Częściowo także moja, Tomaszu.
– Okej, niech ci będzie: to nasza sprawa. Ale umówmy się, że na razie poczekamy i zobaczymy, co się stanie, dobrze? Całą noc spędziłem na trudnych rozmowach i wolałbym nie zaczynać dnia od tego samego. Zgoda?
– Zgoda.
Żadne z nas nie odezwało się ani słowem aż do nadejścia mojej kawy. Przypomniałem sobie, że kobieta, która mi tę kawę podaje, jeszcze poprzedniej nocy była psem. Kiedy stawiała przede mną kubek, dyskretnie pociągnąłem nosem, żeby sprawdzić, czy pachnie jak pies.
Anna coś powiedziała, ale nie dotarło do mnie. Przerwałem obwąchiwanie Wilmy i spojrzałem na Annę.
– Przepraszam, nie dosłyszałem.
Anna zwróciła się do Wilmy.
– Przepraszam cię, Wilmo, chcemy chwilę porozmawiać w cztery oczy.
– Ależ naturalnie, Anno. Na kolację będzie zapiekanka. Nie macie pojecia, jaka to frajda znów móc gotować. Nigdy nie myślałam, że coś takiego powiem.
Wyszła. Stukot jej wysokich obcasów przypominał odgłos psich pazurów na parkiecie.
– To prawda, Anno? O Wilmie?
– Tak. Ojciec wściekł się przed laty na Inklerów, bo maltretowali swoje dzieci. Nie mógł znieść, żeby ktoś krzywdził dziecko. Kiedy się dowiedział, że Inklerowie biją syna, zamienił ich w psy. Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem, Tomaszu. On ich przecież stworzył – mógł z nimi robić co chciał.
– I zechciał zamienić ich w bullteriery?
– Tak, do śmierci Gerta Inklera. Wówczas Wilma miała się na powrót zamienić w kobietę. Ojciec nie życzył sobie, żeby żyli dalej razem jako para ludzi. Jako para psów specjalnie mu nie wadzili. Nie znosił psów.
Anna zachichotała drwiąco i rozpostarła ramiona na oparciu kanapy.
– Czy wobec tego wszystkie zwierzęta w Galen są ludźmi?
– Wiele. Ale mówić umieli tylko Kulfon i Pańcia. Ojciec specjalnie tak zrobił. Pamiętaj, że psy mogą bywać w miejscach niedostępnych dla ludzi i robić to, czego ludzie nie robią. Właśnie dlatego, kiedy zjawiłeś się w Galen, Kulfon zamieszkał w domu Gąseczki Fletcher. Normalnie oboje, on i Pańcia, mieszkali tu ze mną. Przyznaj się, nie wiedziałeś nawet, że Kulfon was szpieguje.
Przypomniały mi się wszystkie jego poranne wejścia do pokoju, spanie z nami w nocy na jednym łóżku. Patrzył nawet, jak się kochaliśmy.
– Wszystkie bullteriery w mieście to ludzie. Ojciec twierdził, że być bullterierem to jeszcze najmniejsza hańba, bo one są takie komiczne, i że jeżeli już coś musi się koło nas pętać, niech to coś przynajmniej interesująco wygląda.
Przejechałem dłonią po czole. Byłem zdumiony spokojnym tonem Anny. Chciałem nawet coś powiedzieć i wiedziałem co, ale nie było jak. Kawa w pewnym stopniu przywróciła mi głos.
– No dobrze, ale skoro mu się nie podobali, to dlaczego ich po prostu nie starł gumką? Dlaczego ich nie wykończył za pomocą zwykłej gumki do atramentu? O mój Boże, sam już nie wiem, co mówię. Dlaczego, do jasnej cholery, kazałaś psu, żeby mnie szpiegował?
Wydźwignąłem się z fotela i nie patrząc na nią przeszedłem do okna.
Mała dziewczynka w żółtej pelerynie przejechała ulicą na rozklekotanym, odrapanym rowerze. Ciekawe, kim ta była – może kanarkiem? A może gaźnikiem samochodowym? Czy też dla odmiany zwykłym dzieckiem?
– Tomaszu?
Rower znikł za rogiem. Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę z Anną. Miałem ochotę zasnąć na dnie oceanu.
– Tomaszu, czy ty słuchasz, co do ciebie mówię? Czy wiesz, dlaczego pozwalam ci pisać książkę? Dlaczego udostępniam ci wszystkie informacje o ojcu?
Odwróciłem się do niej. Dzwonek telefonu rozdzielił nas wrzaskliwą kurtyną. Anna nie podniosła słuchawki. Odczekaliśmy pięć – siedem dzwonków, telefon umilkł. Pomyślałem, że to mogła być Saxony.
– Tam, na moim biurku, leży czarny notes. Zajrzyj na stronę 342.
Notes był całkiem inny niż ten, który oglądałem poprzedniej nocy. Był wielki. Musiał mieć z pięćset albo i sześćset stron, a każda strona mierzyła jakieś czternaście cali wysokości. Przerzucałem kartki od

Nie wiedziałem, ile mam czasu, ale wiedziałem, że muszę wykorzystać każdy ułamek sekundy. Samochód stał o parę kroków dalej. Wszystkim władał ogień. Już siedziałem za kierownicą, żółty blask tańczył po desce rozdzielczej. Pomyślałem, pamiętam, że przez jakiś czas nie będę musiał włączać świateł – tak było jasno. Wrzuciłem wsteczny bieg, powoli wycofałem się ulicą. Zbiornik oleju? Kolejna laska dynamitu? Patrząc w lusterko wsteczne, widziałem rozmaite przedmioty unoszące się nad domem wysoko i w zwolnionym tempie.

EPILOG

Widziałem niedawno bullteriera. Nie był to pierwszy bullterier, jakiego spotkałem od tamtego czasu, ale pierwszy, na widok którego ani nie ścierpła mi skóra, ani nie zacząłem wiać. Był biały w czarne łaty i przypominał Piotrusia Psa z cyklu komediowego „Nasza paczka". Siedziałem przy żeliwnym stoliku na zewnątrz kawiarni. Piłem pastis i pisałem pamiętnik.
Samochód mi wysiadł, ale na szczęście w miasteczku działała stacja obsługi citroena, z jednoosobowym personelem męskim w niebieskim berecie, palącym żółtawe Gitanes. Tak czy owak, nie było źle zatrzymać się w miejscu na parę dni. Podczas podróży ze Strasbourga kilka razy przyłapała nas burza, a kierowcą byłem przeważnie ja. Ledwo jednak wjechaliśmy do Bretanii, niebo się wypogodziło, a słońce rozścieliło przed nami powitalną wycieraczkę.
Pies wabił się Bobo i należał do właściciela kawiarni. Przyglądałem mu się dobrą chwilę, po czym wróciłem do pamiętnika. Od czasów Galen dość systematycznie prowadziłem rejestr wydarzeń.
Pamiętnik nabyłem w Burke, stan Michigan. Pierwszy wpis liczył mnóstwo stron. Był nieskładny, chaotyczny, paranoidalny, przepojony klimatem „Już po mnie idą!" Ten lęk nie opuścił mnie do końca, ale po trzech latach człowiek potrafi do wszystkiego przywyknąć, nawet do strachu. Nie wiem, jak długo trwało, zanim się pokapowali, że jednak nie zginąłem w eksplozji, ale od początku wiedziałem na pewno, że kiedy tylko to stwierdzą, puszczą się za mną w pogoń.
Wiałem więc, jakby mnie ścigał sam diabeł, na chwilę zatrzymałem się w Detroit po paszport, po czym przesadziłem rzekę wprost do Kanady. Przez krótki czas pracowałem w księgarni tanich edycji w Toronto, po czym skontaktowałem się ze swoim bankiem w Ameryce i poprosiłem o trasfer wszystkich oszczędności do Kanady. Kiedy pieniądze nadeszły, rzuciłem pracę i wsiadłem w samolot do Frankfurtu w Niemczech. Moja dalsza trasa? Frankfurt, Monachium (w sam raz na Oktoberfest), Salzburg, Mediolan, Stresa, Zermatt, Grindlwald, Zurych, Strasbourg, Dinard....
Moja matka nie rozumie, co się dzieje, ale jako równy kumpel nie zadaje pytań. Kiedy ni stąd, ni zowąd dostała ode mnie telegram z prośbą o wszelkie dostępne materiały biograficzne na temat ojca, w dwa tygodnie później przysłała mi na małą, śmieszną pocztę w Altensteig pięknie opakowaną paczkę, w której znalazłem książki i artykuły, a także pożółkłe scenopisy, które, jak widać, przez wszystkie te lata skrzętnie przechowywała.
Zacząłem pisać w Niemczech, zimą, i pracowałem nad książką bez chwili przerwy, mieszkając w mało uczęszczanych kurortach górskich. Tylko pisanie uwalniało mnie za dnia od myśli o Saxony. Mam już za sobą płacz i nienawiść do siebie za to, że jej nie uratowałem, ale brakuje mi jej bardziej niż czegokolwiek na świecie. Właściwie myślę, że bardziej za nią tęsknię, niż ją kochałem. Jeżeli wyznanie to brzmi dziwacznie, to bardzo mi przykro, ale chwilowo nie stać mnie na nic lepszego.
Zacząłem pisać również dlatego, że potrzebowałem konkretnego zajęcia na okres podejmowania decyzji, co dalej ze mną będzie. Tylko jedno wiedziałem na pewno – że któregoś pięknego dnia, w jakiejś Holandii czy Grecji, spotkam ni stąd, ni zowąd znajomą galeńską gębę z diabelskim uśmieszkiem. Jak długo będą mnie ścigać? Do końca życia? Czy tylko do chwili upewnienia się, że nie mam zamiaru mścić się na nich za śmierć Saxony? Zacząłem pisać biografię ojca, żeby odsunąć nieustanny lęk, a także dlatego, że Saxony uważała, że dobrze by mi to zrobiło. No i dlatego, że sam chciałem.
W ostatnim roku długich wpisów w dzienniku było niewiele. Raczej krótkie zapisy radości lub depresji, które czyniłem pospiesznie, w chwilach wolnych od życia Stephena Abbeya, gwiazdy srebrnego ekranu.

Woń sosny i spalin towarzyszyła mi przez całą drogę do przejazdu kolejowego, którą przemierzałem już setki razy. Spojrzałem na zegarek. Była piąta dwadzieścia jeden. Dojście do stacji uliczką równoległą do torów mogło mi zająć pięć do ośmiu minut. A więc ledwo-ledwo. Ryzykowałem, ale było to ekscytujące i już czułem, jak serce wali mi pod żebrami.

Skręciłem w prawo i ulicą Hammond skierowałem się na wschód, co chwila przechodząc w krótki sprint. Na chodnikach leżało trochę śniegu, czułem go pod podeszwami, jakbym szedł po ostrych kamykach.

Sapałem głośno, a moje ręce pracowały u boków jak tłoki parowozu. Co oni tam robią? Jak będą wyglądali do kładnie o piątej trzydzieści? Co się...? I wedy usłyszałem to z oddali. Zatrzymałem się i mgła zasnuła mi oczy. Dwa krótkie gwizdnięcia, a potem jedno długie. Długie, które zawisło w powietrzu jak sygnał zwierza nie z tej ziemi. Zeskoczyłem z chodnika na jezdnię. Ponownie rozległ się gwizd, tym razem bliżej, właściwie już prawie na stacji Galen. Przecież pociągi pasażerskie od dawna nie zatrzymują się w Galen... Ulica kończyła się ślepo, ale przesadziłem kamienny mur i pędziłem dalej. Nareszcie zobaczyłem stację. Była rzęsiście oświetlona, jak do kręcenia filmu. Skąd ta iluminacja? Na peronie kłębiły się setki ludzi. Byłem za daleko, żeby rozróżnić twarze, ale rwetes panował niebywały, wszyscy krzyczeli jednocześnie. Nagle ktoś wrzasnął: „Jest! Jest!" – i wszystkie głosy gwałtownie umilkły. Z czerni przeciwległego końca stacji, ze wschodu, od strony Nowego Jorku, Oceanu Atlantyckiego i Austrii, wynurzyło się bladożółte światełko, a kiedy przystanąłem w biegu, zobaczyłem, jak na stację wtacza się lokomotywa. Stałem i dygotałem na całym ciele. Parowóz był bardzo stary i bardzo czarny. Buchał parą z komina i siał snopy iskier. Wtarabanił się na stację, holując srebrzyste wagony pasażerskie.

Pociąg stanął. W absolutnej ciszy słychać było tylko syk i dzwonki parowozu.

Jak przez mgłę zobaczyłem konduktora, który schodził na peron. Tłum rzucił się ławą do jednego wagonu.

I wtedy nad dworcem przeszła fala niewiarygodnego gorąca. Widziałem, jak nadciąga, a kiedy mnie minęła, odczułem ją jak mocny powiew upalnego letniego powietrza. Dokładnie tak. Było to przyjemne. Pamiętam, jak pomyślałem, że to bardzo przyjemne.

Ludzie coraz ciaśniej tłoczyli się koło pociągu. Harmider ożył na nowo.

Nagle za plecami usłyszałem huk eksplozji. Huk rozdarł niebo, a ja mimowolnie odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wielka chmura płomienia barwy ochry wykwitła nad miastem i zatrzymała się na wysokości dachów i koron krzew. Pojedyncze płomienie strzelały i znikały tu i ówdzie.

Spojrzałem na stację: tłum otaczał kogoś na peronie. Nikt nie zwrócił uwagi na eksplozję. Pociąg gwizdnął dwa razy i zabrał wagony w swoją stronę.

Pędziłem z powrotem ulicą Hammond, pędziłem do domu. Słyszałem gwizd pociągu, widziałem płomienie na niebie.

Pociąg nabierał szybkości, słyszałem go tuż za sobą, kiedy minąłem przejazd i skręciłem w lewo, w swoją ulicę. Zobaczyłem ogień i poznałem dom. Chciałem na chwilę przystanąć, popatrzeć i ogarnąć myślą to, co się działo. Chciałem skorzystać z elementarnego prawa człowieka, któremu pali się dom, któremu ktoś zastrzelił żonę, któremu samochód zabił dziecko – z prawa skazanego do przyjrzenia się czekającej go przyszłości. Ale nie zatrzymałem się. Słyszałem, jak za moimi plecami przejeżdża pociąg i pędziłem dalej. Dom płonął jak zimne ognie.

– AN-NO! AN-NO! ALE TY JESTEŚ CWANA! JAK CHOLERAAAA!

Więcej nic od nas nie chciała. Wystarczyło zmusić nas do napisania wstępnego szkicu, który byłby tak dobry, że nie wymagałby już poprawek ani przeróbek. Wystarczyło kazać nam napisać biografię do chwili przybycia Marshalla France'a do Galen. Wtedy mogli wyjść na stację i sprawdzić, czy to działa, czy pociąg przyjedzie o piątej trzydzieści... czy ON przyjedzie o piątej trzydzieści. Gdyby nie przyjechał – mała strata. Gdyby przyjechał – pozostawało pozbyć się skrybów, pozbyć się dowodów. Już niepotrzebni. Ojciec wrócił do domu.

Stałem po drugiej stronie ulicy i patrzyłem, jak dom płonie. Bliżej podejść nie mogłem. Na wszystkie strony leciały przedmioty, niektóre jeszcze z pióropuszem ognia: poduszka, krzesło obrócone do góry nogami, książki. A przy furtce leżały niekompletne zwłoki. Miały na sobie postrzępione resztki jaskrawo czerwonej kurtki, którą kupiłem w domu towarowym Lazy Larry.



Maria Korusiewicz

końca. Wszystkie zapisane były kaligrafią France'a. Na stronie 363 kartki uciekły mi spod lewego kciuka aż po 302, więc musiałem wrócić.

Kolor atramentu zmieniał się kilka razy na przestrzeni zeszytu: na stronie 342 miał barwę zjadliwie zieloną. *Problem polega na tym, że to, co stworzyłem w Galen, może się okazać wyłącznie produktem żywej wyobraźni. A zatem możliwe, że wraz z moją śmiercią, umrze całe Galen. Jest to myśl intrygująca i straszna zarazem. Muszę jednak brać pod uwagę taką możliwość i odpowiednio się przed nią zabezpieczyć. Cóż by to była za strata!*

Zamknąłem zeszyt, zakładając to miejsce palcem wskazującym i spojrzałem na Annę.

– Bał się, że po jego śmierci Galen zniknie?

– Nie, nie Galen jako miejsce, do niego należeli tylko ludzie i zwierzęta. Miasta nie stworzył, tylko ludzi.

– W takim razie widać, że nie miał racji, prawda? Wszyscy żyją dalej w najlepsze.

Gdzieś w oddali zabuczał pociąg.

– Owszem, chociaż nie całkiem. Ojciec przed śmiercią napisał historię miasta aż do roku trzytysięcznego...

– Trzytysiecznego?

– Tak, dokładnie do roku trzy tysiące czternastego. Umarł podczas pracy. Całkiem niespodziewanie. Zdrzemnął się po obiedzie i już nie wstał. To było coś potwornego. Wszyscy mieszkańcy miasteczka bali się, że znikną w chwili, kiedy on wyda ostatnie tchnienie, więc kiedy już je wydał, a jednak nic się nie zmieniło, szaleliśmy z radości.

– Czytałaś takie opowiadanie Borgesa „Koliste ruiny"?

– Nie czytałam.

– Facet chce stworzyć w wyobraźni człowieka, ale nie człowieka marzeń, tylko prawdziwego, z krwi i kości. Autentyka.

– I udaje mu się? – pogładziła dłonią siedzenie kanapy.

– Tak.

Nawet gąbka ma swój punkt nasycenia. Zbyt wiele doznań, zbyt wiele wydarzeń naraz, wszystkie nie z tej ziemi – mój mózg gotował się jak przy grze w pięciowymiarowe szachy.

Anna poklepała poduszkę, która koło niej leżała.

– Chodź tu, Tomaszu, chodź, siadaj koło mnie.

– Nie jestem pewien, czy akurat w tej chwili mam na to ochotę.

– Chcę, żebyś wiedział wszystko, Tomaszu. Chcę być z tobą całkiem szczera, a przynajmniej spróbować tego. Chcę, żebyś wiedział o mnie, o Galen, o ojcu – o wszystkim. A wiesz dlaczego? – obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i popatrzyła na mnie ponad oparciem kanapy. Jej przeklęte piersi spoczęły na miękkim obiciu oparcia. – Jeszcze kilka lat temu wszystko działo się zgodnie z tym, co ojciec napisał. Jeżeli w piątek, dziewiątego stycznia, miał się urodzić chłopiec – to się rodził. Wszystko działo się według „Kronik Galeńskich". To była utopia...

– Utopia? Czyżby? A co z umieraniem? Czy tutejsi ludzie nie boją się śmierci?

Przymknęła oczy i pokręciła głową. Tępy uczeń znów zadał kretyńskie pytanie.

– Ani trochę, bo śmierć oznacza nicość.

– Och, daj spokój, Anno, nie wpadaj w ton podniosły i religijny. Odpowiedz mi po prostu na pytanie.

– Źle mnie zrozumiałeś, Tomaszu. Pamiętaj, że kiedy umiera ktoś z nich, to nie jest to tak jak ze śmiercią zwykłego człowieka. Kiedy my umieramy, wierzymy, że istnieje jakieś niebo lub piekło. Dla ludzi z Galen ojciec nie stworzył życia pozagrobowego, więc ten problem dla nich w ogóle nie istnieje. On znikają. Puf! – Wyrzuciła rozpostarte dłonie na obie strony, jakby wypuszczała w powietrze rój świetlików.

– Raj dla egzystencjalisty, co?

– Owszem, a ponieważ wiedzą, że po śmierci nic ich nie czeka, więc i nie martwią się tym. Nikt ich nie będzie sądził ani wtrącał w piekielne czeluście. Żyją, a potem umierają. Skutek jest taki, że większość z nich stara się przeżyć swoje życie jak najszczęśliwiej.

– Ale czy nikt się nie buntuje? Czy przynajmniej niektórzy z nich nie mają ochoty pożyć dłużej?

– Oczywiście, są i tacy, ale to nie jest możliwe. Muszą się z tym pogodzić.

– I nikt się nie skarży? Nikt stąd nie ucieka?

– Galeńczyk, który próbuje ucieczki, umiera.

– Ach tak, rozumiem. Słuchaj...

Roześmiała się i zatrzepotała dłonią.

Chociaż nie znoszę przyjęć i spędów towarzyskich, byłem wyjątkowo podekscytowany nadchodzącym wieczorem.

Około czwartej po południu, Saxony przerwała pracę nad głową nowej marionetki – bullteriera, a jakże – i zabarykadowała się w łazience za murem piany do kąpieli i szamponu.

Próbowałem poczytać Bettelheima „O skuteczności czarów", ale bez powodzenia. Ciekaw byłem, czy Saxony przespała się z Geoffem Wigginsem. Potem próbowałem odgadnąć, co to za potrawa pichci się na górze.

O czwartej czterdzieści pięć, pani Fletcher wyszła z domu, nie żegnając się z nami ani nie zostawiając poleceń w sprawie pieczeni. Patrzyłem za nią, jak szła ulicą, a ledwie zniknęła z pola widzenia, poczułem, że za wszelką cenę muszę być na stacji o piątej trzydzieści i zobaczyć, co oni zrobią. Mówiłem sobie, że mam wszelkie prawo tam być. Do licha, to przecież przede wszystkim nas powinno się było zaprosić!

Wstałem i podszedłem do drzwi łazienki. Po chwili wahania wszedłem do środka. W łazience panowała parna szarość, momentalnie spociłem się cały od gorącej wilgoci.

– Sax?

– Słucham?

Wystawiła głowę spomiędzy zasłon prysznica. Na głowie miała turban z białej piany.

– Sax, postanowiłem zakraść się na stację i zobaczyć, co oni robią. Muszę to zobaczyć.

– Och, Tomaszu, nie rób tego, proszę cię. Jeżeli ktoś cię tam przyłapie, wściekną się na całego i...

– Coś ty, nikt mnie nie przyłapie. Zakradnę się tam kwadrans po piątej i na pewno zdążę przed paradą. Pomyśl, Sax, to niepowtarzalna okazja.

Pokiwała na mnie palcem, żebym podszedł bliżej.

– Kocham cię, Tomaszu. Kiedy wyjechałam, myślałam o tobie bez przerwy. Błagam, zrób tak, żeby cię tam nikt nie zobaczył. Byliby wściekli!

Przyciągnęła moją głowę za kark i kapiąc mi wodą za koszulę pocałowała, bardzo mocno i mokro.

Od pół godziny było już całkiem ciemno, kiedy zamknąłem drzwi i na palcach zszedłem po schodkach, jak rozbójnik z bandy Ali Baby. W pierwszym zetknięciu z nocą pomyślałem, że pewnie znów spadnie śnieg. Nie było tak zimno jak przedtem. Powietrze stało nieruchomo, a niebo miało brązowawy odcień mlecznej czekolady, jaki przybiera zwykle tuż przed opadnięciem pierwszych płatków śniegu.

Rozdział X

Upłynęły przeszło trzy lata, zanim zrozumiałem, dlaczego wtedy nie wrzuciłem Saxony do samochodu i nie nawiałem z Galen, korzystając z tego, że wszyscy wyszli na stację w oczekiwaniu na „przyjazd".

On mnie o to zapytał któregoś dnia. Siedzieliśmy w Grinwald, na zalanym słońcem tarasie restauracji w środku miasta, skąd patrzyliśmy na góry i szczyt Eiger. Odwróciłem się do niego, ale poranne słońce siedziało mu dokładnie na ramieniu, więc spojrzałem z powrotem na szczyty.

– Bóg mi świadkiem, że trzeba było tak zrobić. Jakie to było proste! Ale należy pamiętać, co się działo – nigdy w życiu ani przez moment nie podejrzewałem, że mam duszę artysty – a tu nagle stałem się kimś... kimś... nie wiem jak to nazwać... kimś w rodzaju Prometeusza czy co – wykradałem ogień bogom! Poprzez swoje dzieło, czy też raczej poprzez nasze wspólne dzieło, miało zostać odtworzone życie ludzkie. W dodatku osoba, wespół z którą tego dokonywałem, była moją ukochaną! Kobietą, z którą chciałem zostać do końca życia. Było jeszcze mnóstwo innych powodów. Zawsze są w takich chwilach. Znów byłem bożyszczem Galeńczyków, co znakomicie wpływało na moje samopoczucie. Nawet Anna robiła, co jej kazałem... Z chwilą, kiedy Saxony wróciła, wydarzenia w mieście przestały się kiełbasić. Czułem, że jestem niezwyciężony. Dopóki byliśmy razem, nie mogło nas spotkać nic złego. Bo i jakże? Byliśmy, bądź co bądź, nowymi Marshallami France'ami. Mieliśmy jego siłę. Panowaliśmy nad całym pieprzonym miasteczkiem.

– I ani przez moment nie pomyślałeś... – Zajrzał do swojej filiżanki z kawą, żeby nie wprawiać mnie w zakłopotanie.

– Nie, ani przez ułamek sekundy.

Podniosłem łyżeczkę do kawy i umieściłem ją w filiżance.

*

Domy po obu stronach ulicy były odświętnie iluminowane ale nie zauważyłem w nich znaku życia. Wszyscy mieszkańcy udali się na stację Galen, szczęśliwi, że chociaż na chwilę wychodzą z domów wszyscy razem, aby odbyć generalną próbę tego momentu w przyszłości, kiedy Marshall France rzeczywiście wróci i obejmie na zawsze dyrygenturę nad ich życiem.

– Mnie to bardziej przypomina program zlotu gwiaździstego Ku Klux Klanu.
– Och, Tomaszu, chociaż raz nie bądź cyniczny i wstrętny.
– Masz rację, przepraszam. Ale dlaczego my też nie moglibyśmy wyjść na stację? Skoro już przywracamy, i tak dalej?
Anna przygryzła dolną wargę i spuściła wzrok. Wiedziałem, że powie „nie".
– Chcesz usłyszeć prawdę? Omówiliśmy to już między sobą i wszyscy byliby wam bardzo zobowiązani, gdybyście zechcieli zostawić nas samych. Czy mówię coś strasznego? Czy cię uraziłam?
Owszem, uraziła mnie, ale rozumiałem dlaczego. Niezależnie od roli, jaką odgrywaliśmy w przywracaniu do życia Marshalla France'a, nigdy nie moglibyśmy w pełni należeć do Galen. Nigdy.
– W porządku, Anno. Wszystko rozumiem.
– Naprawdę? Jesteś tego pewien? Nie darowałabym sobie, gdybyście...
– Nie, naprawdę, nic już nie mów. Wszystko rozumiem. Będziemy siedzieć w domu i oczekiwać waszej procesji. – Uśmiechnąłem się i uszczypnąłem ją w policzek. – A ja obiecuję, że zdążę z robotą do piątej trzydzieści w piątek.

*

Saxony była zachwycona programem „Powrotu Ducha Do Domu", z wyjątkiem udziału Anny w przedsięwzięciu. Nie chciała spotkać się z Anną. Nawet w tłumie. Na razie udawało im się wzajemnie omijać, ale to tylko dzięki temu, że Sax długo nie opuszczała domu.
W końcu jednak zdołałem ją przekonać, że nawet jeżeli Anna znajdzie się tego wieczoru w pobliżu, to będzie tu jednocześnie takie mnóstwo ludzi, że z łatwością da się uniknąć konfrontacji.
Popołudnie spędziłem na studiowaniu planu architektonicznego stacji kolejowej w Galen, żebym mógł szczegółowo opisać jej wygląd z zewnątrz i od wewnątrz. Budynek dworca wzniesiono w roku 1907, ale czas tylko nieznacznie odcisnął na nim swoje piętno. Wyszedłem na peron i popatrzyłem wzdłuż torów, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Pustka. Ani wagonu na bocznicy. Na ziemi wciąż jeszcze leżały łachy śniegu, rozległe i brudne.
A jednak tutaj właśnie przyjechał Marshall France. To było to, co go fascynowało w dworcach kolejowych – przyjazdy i odjazdy. Początki, końce i to, co między nimi. To z jego dzienników, nie ode mnie.
Stojąc i patrząc na zmatowiałą srebrzystość szyn, zastanawiałem się, jak to będzie, kiedy zmienię zakończenie biografii i Marshall France wcale nie umrze na atak serca, tylko... Dozna ataku, ale go przeżyje? Wyjedzie gdzieś daleko, a potem wróci do miasteczka? Sam na razie nie wiedziałem. To było jeszcze takie odległe. Pokręciłem głową i wróciłem do samochodu.
Do końca tygodnia w Galen panowało niezwykłe ożywienie. Sklepy pękały w szwach od klienteli, każdy napotkany na ulicy przechodzień wyglądał tak, jakby pędził z jednej ważnej misji na drugą, nawet ochotnicza straż pożarna wystawiła wozy na ulicę i umyła je pięknie w ramach przygotowań do parady. Panowała atmosfera jak przed Bożym Narodzeniem. Przyjemnie było chodzić i pławić się w niej, wiedząc, że przyczyną ożywienia jestem właśnie ja. Ja.
– Siemasz Tom! Gotów na piątek? To dopiero będzie bal!
– Tomciu, ty tylko rób co robisz, a resztę pozostaw nam!
Otrzymałem otwarty kredyt w Zielonej Oberży, i w sumie żyłem sobie przez tych parę dni jak zwycięski bohater.
Od czasu do czasu ktoś robił coś dziwnego – na przykład widząc mnie z daleka na ulicy pędził do swojego samochodu i zatrzaskiwał bagażnik – ale przyjąłem, że szykują jakieś frykasy i drobne upominki, które mają być dla nas niespodzianką na wiadomy dzień. Nie miałem nic przeciwko temu.
Scenę przyjazdu skończyłem pisać w piątek o godzinie dziesiątej rano. Jedenaście i pół strony. Zaniosłem tekst do Saxony i stanąłem w kącie pokoju, czekając, aż przeczyta. Skończyła, podniosła na mnie oczy i zawodowo skinęła głową.
– W porządku, Tomaszu. Teraz naprawdę mi się podoba.
Zadzwoniłem do Anny. Sądząc z tonu, była zachwycona i pochwaliła mnie za doskonałe wyczucie czasu, bo właśnie wróciła do domu z kilkuset torbami mąki, a teraz wszystkich obdzwoni i weźmie się do pieczenia gugelhupfów. Raz jeszcze poleciła mi przekazać Saxony, żeby się nawet nie zbliżała do kuchni – oni sami wszystko przygotują.
Przed obiadem wyszedłem na spacer, ale ulice były niemal doszczętnie opustoszałe. Napięcie wisiało w powietrzu, doskonale wyczuwalne, ale okolica przypominała miasto-widmo. Tylko od czasu do czasu przemykał jakiś samochód z tajną misją. Poddałem się i wróciłem do domu.
Przez kilka następnych godzin, z góry, od pani Fletcher, sączył się do nas apetyczny zapach pieczeni.

– Nie, nie, nie o to chodzi. To był stworzony przez ojca system bezpieczeństwa. Dopóki ludzie siedzą na miejscu, wszystko jest w porządku. Ale z chwilą, kiedy wyjadą na dłużej niż tydzień, umierają na zawał serca, na wylew, na zapalenie woreczka żółciowego – jej dłoń znów zatrzepotała i lekko opadła na kanapę. – Właściwie nie ma sensu o tym mówić, bo nikt stąd nigdy nie próbuje wyjeżdżać – to nie zostało zapisane...
– Zapisane! Zapisane! Pokaż mi wobec tego te jego wszechmocne wyrocznie!
– Wkrótce ci je pokażę, ale najpierw chcę, żebyś poznał ich historię, bo wtedy lepiej zrozumiesz to, co przeczytasz.
– Też coś! Ja już teraz nic nie rozumiem!
Anna zaczęła mi opowiadać niesamowite rzeczy, mówiła z wielkim zaangażowaniem i często popadała w dygresje. Kiedy skończyła, siedziałem koło niej na kanapie, ale przedtem przez blisko godzinę sterczałem przycupnięty na gorącym kaloryferze pod oknem.
Marshall France zaczął pisać „Nocne wyścigi w głąb Anny", żeby poprawić humor córce. Jedną z głównych postaci książki była jego wierna przyjaciółka, Dorota Little. Po przypadkowym „zabiciu" Doroty i przyjściu jej kotów, France zorientował się, jaką dysponuje mocą. Przerwał pisanie „Nocnych wyścigów" i wziął się za „Kroniki Galeńskie". Całymi miesiącami zbierał materiały, pisał i poprawiał. Jako perfekcjonista, potrafił napisać do jednej książki i dwadzieścia szkiców, zanim uznał rzecz za dobrą, więc trudno wprost sobie wyobrazić, ile pracy wymagały przygotowania do tworzenia Galen.
Po Dorocie Lee, która była pierwsza, stworzył mężczyznę nazwiskiem Karl Tremmel. Karl Tremmel był to Bogu ducha winny hydraulik z Pine Island, stan Nowy Jork, który wraz z żoną i dwiema córeczkami przyjechał do Galen srebrzystym wozem naprawczym. W Galen od lat nie było hydraulika.
Następny był fryzjer nazwiskiem Sillman, po nim przedsiębiorca pogrzebowy nazwiskiem Lucente (nawet próbowałem się uśmiechnąć w uznaniu żartu, ale nie dałem rady) – a potem już cała plejada innych postaci France'a.
Wszyscy wiedli żywot spokojny i pozbawiony sensacji, z wyjątkiem urzędnika pocztowego, Bernarda Stackhouse'a, który upił się pewnej nocy i przez przypadek sam postrzelił się w głowę z flinty.
I tak dalej, i tak dalej. W niedużej fabryczce tuż za miastem, która zatrudniała pięciuset robotników, ni stąd, ni zowąd wybuchł w nocy pożar, a właściciele, po uregulowaniu roszczeń ubezpieczeniowych, postanowili przenieść zakład o sto mil w stronę St. Louis.
– Po kilku latach został tu już tylko ojciec, ja, Ryszard i „ludzie ojca".
– Dlaczego zostawił Ryszarda?
– Musieliśmy mieć przynajmniej dwoje zwykłych ludzi, na wypadek, gdyby któreś z nas musiało wyjechać z miasteczka. Pamiętaj, że pozostali mogli wyjeżdżać najwyżej na tydzień, po tygodniu umierali.
– Jak skłonił resztę „normalnych" do odejścia? Tych, którzy nie pracowali w fabryce?
– Napisał, że niektórzy z nich – z normalnych Galeńczyków – postanowili wyprowadzić się z miasta. Jeden doszedł do wniosku, że w jego domu straszy, u innego eksplodował zbiornik z gazem, kiedy on sam był na wakacjach, więc postanowił przenieść się do Illinois... Mam mówić dalej?
– I nikt nie nabrał podejrzeń?
– Jasne, że nie. Ojciec napisał wszystko tak, że wyglądało na całkiem naturalne i logiczne. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek zaczął węszyć w Galen.
– Czy zdarzyło mu się... – nie opanowałem nerwowego ziewnięcia. – Czy zdarzyło mu się kiedykolwiek użyć przemocy?
– Nie. Przy pożarze fabryki nikomu nie stała się krzywda. Ale odpowiedź zależy w dużej mierze od tego, co rozumiesz przez słowo „przemoc". Ojciec istotnie spowodował pożar i wybuch zbiornika z gazem. Ale nigdy nie skrzywdził fizycznie człowieka. Nie musiał, Tomaszu. Skoro i tak mógł napisać co chciał.
France cały czas tworzył, ale nie wiedział, jak długo potrwa jego dzieło. Dlatego Anna dała mi do przeczytania tamten wpis w dzienniku. Wreszcie doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak napisać o każdej postaci ile się da i pociągnąć historię Galen jak najdalej w przyszłość. A potem tylko modlić się, żeby po jego śmierci wszystko jakoś szło.
– Na pewno znajdę na to odpowiedź w „Kronikach", ale powiedz mi sama, Anno, jak ściśle twój ojciec kontrolował życie swoich ludzi? Czy było to tak – „Joe Smith obudził się o ósmej dwadzieścia i ziewał przez trzy sekundy. Następnie..."
Potrząsnęła głową.
– Nie, nie. Okazało się, że większość życia można pozostawić im samym. Ojciec decydował tylko o

momentach zwrotnych – kto kogo ma poślubić, ile będą mieli dzieci, kiedy i w jaki sposób umrą... Chciał, żeby mieli...

– Chyba nie powiesz, że wolną wolę!

– Nie, tego nie powiem. Chociaż w pewnym sensie tak było. Popatrz na Gerta i Wilmę Inklerów – mogli traktować swojego syna jak chcieli. Dopiero kiedy przebrali miarę, ojciec pozamieniał ich w psy.

– Nasz bóg jest bogiem zazdrosnym, prawda?

– Nie mów tak, Tomaszu – w jej oczach zapłonęły dwie piekące iskierki.

– Czego mam nie mówić – że się nimi bawił? Słuchaj, Anno, nie chcę cię obrazić, ale jeżeli to wszystko jest prawdą, to twój ojciec był najgorszym... – próbowałem znaleźć odpowiednie słowo na opisanie dzieła Marshalla France'a, ale nie było takiego słowa. – Był najniezwyklejszą istotą w historii ludzkości. I to nie tylko jako artysta. Jak to możliwe, że człowiek bierze pióro i papier i powołuje do życia żywych ludzi? – uświadomiłem sobie, że mówię bardziej do siebie samego niż do Anny, ale wcale mnie to nie speszyło. – Nie, to niemożliwe. – Ni stąd, ni zowąd, spłynęło na mnie jakby coś gęstego, ciężkiego i niemożliwie lepkiego. Czy ja jestem idiotą, żeby wierzyć w takie brednie? A z drugiej strony – Kulfon mówił do mnie ludzkim głosem. I Pańcia mówiła do mnie ludzkim głosem. I urywki z „Kronik", które dotychczas czytałem, zgadzał się z rzeczywistością. I Anna z góry wiedziała, że chłopczyk potrącony przez furgonetkę jednak umrze...

– Dlaczego to było takie ważne, czy mały Hayden śmiał się przed śmiercią, czy nie, Anno? Co to ma do rzeczy?

– On miał tego dnia wpaść pod samochód. Miał śmiać się wesoło, aż do momentu potrącenia przez furgonetkę. Rzecz w tym, że kierowcą furgonetki nie był właściwy człowiek. Dlatego Joe Jordan i wszyscy inni tak się tym przejmowali. Chłopiec się nie śmiał i potrącił go nie ten kierowca, który go miał potrącić.

Dopóki wszystko rozwijało się zgodnie z planem, Anna i Galeńczycy utrzymywali nader skromne kontakty ze światem zewnętrznym. Raz na jakiś czas ktoś wyprawiał się do pobliskiego miasta po zakupy albo do kina, a do galeńskich sklepów regularnie przyjeżdżały wozy dostawcze z St. Louis i Kansas City, ale to było praktycznie wszystko jeśli idzie o wymianę z wielkim światem. Miasteczko miało nawet, dla pozoru, biuro handlu nieruchomościami, ale wszystkie propozycje biura dotyczyły posiadłości w innych miejscowościach. Wszystko co nie było własnością prywatną, należało do miasteczka i nigdy nic nie było na sprzedaż. Ani do wynajęcia.

– A pani Fletcher? Co...?

– Ty i Saxony jesteście od śmierci ojca pierwszymi nowymi mieszkańcami Galen.

– Więc to dlatego pani Fletcher nie przeszkadzało, że nie mamy ślubu? Powiedziała nam to chyba z dziesięć razy. To ty nas u niej ulokowałaś, przyznaj się, Anno? Wszystko było ukartowane!

Anna kiwnęła głową.

– Kiedy tylko dowiedziałam się od Dawida Louisa, że przyjeżdżacie, zadzwoniłam do Gąseczki Fletcher i kazałam jej się przeprowadzić na piętro willi. Potem posłałam tam Kulfona.

– A ja myślałem, że ona to robi dla pieniędzy.

– Gąseczka jest wyśmienitą aktorką.

– Naprawdę siedziała w domu wariatów?

– Nie.

– Jak to – nie, i tyle?

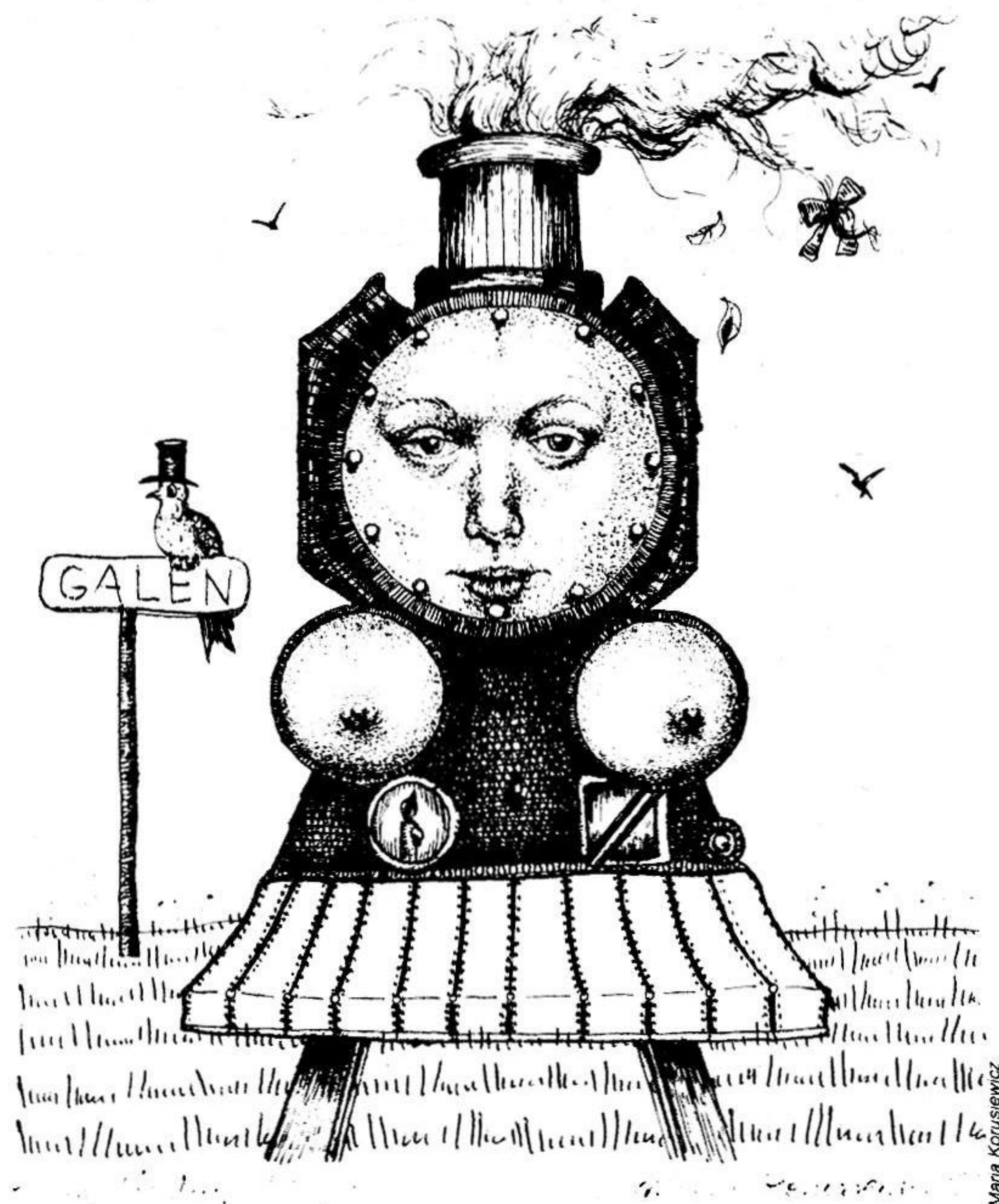
– Jak mogła siedzieć w domu wariatów, Tomaszu, skoro była człowiekiem ojca? Wszystkiego się zresztą dowiesz, jak zaczniesz po kolei czytać „Kroniki".

Miałem rację co do biografa z Princeton: zjawił się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Galen postanowiło strzec swojej tajemnicy – zamknęło się przed nim na głucho i nie pisnęło słowa. Anna twierdziła, że facet po kilku tygodniach wyjechał wściekły do Kalifornii z zamiarem napisania tam biografii R. Crumba.

A potem się zaczęło. Przez ostatnie dwa lata źle się działo w Galen. Ktoś na przykład miał żyć dziewięćdziesiąt lat i umrzeć spokojnie we śnie, a tu niespodziewanie spadł na niego kabel wysokiego napięcia, śmiertelnie rażąc gościa prądem. Ofiara wypadku miała w chwili śmierci lat czterdzieści siedem. Dziecko, które miało przepadać za kukurydzą, na sam widok kukurydzy dostawało torsji. Kobieta zamieniona w bullteriera wydała na świat dziewięć szczeniąt. Przedtem psy się nie mnożyły i nie miały tego robić.

Schowałem dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać. Ziewnąłem po raz -nasty.

– Ale dlaczego?



Postanowiłem zrobić jej niespodziankę i podarować kopię tego, co dotychczas napisałem. Szkic pierwszej części był gotowy i uznałem, że dobrze będzie jak Anna zobaczy, ile zrobiliśmy we dwójkę z Saxony. Coś w rodzaju dodatkowej gwarancji na prawo pobytu Saxony w Galen.

Tyle było roboty z tą książką, że aż do tej chwili nawet nie zadałem sobie pytania, co będzie z nami, kiedy ją skończymy. Brałem pod uwagę wiele niebezpiecznych możliwości, ale wszystkie one tkwiły w odległej, mglistej przyszłości, dręczącej i złowieszczej, ale i pociągającej zarazem.

Wiedziałem naturalnie, że jeżeli biografia się uda, nie będzie mogła zostać opublikowana. Nie chodziło o ożywienie zainteresowania osobą Marshalla France'a, o to, żeby ludzie tłumnie przybywali do Galen. Nie, książka miała jeden określony cel. Wszyscy wiedzieliśmy jaki. Wszyscy, z wyjątkiem Saxony.

A co będzie jeżeli się nie uda? Jaki los obmyśliła dla nas Anna, jeżeli przegramy? Czy zmusi nas do zamieszkania w Galen na stałe? Czy sprawi, że znikniemy bez śladu, jak Sidney Swire? A może nas zamorduje? (Dopiero teraz z całą wyrazistością przypomniałem sobie, co facet w knajpie mówił o losie poprzedniego biografa France'a). Wszystko to brałem pod uwagę, ale w dalekiej, bardzo dalekiej przyszłości. Odległej o całe długie miesiące. Na razie – myślałem sobie – po kolei, jedna rzecz naraz. Saxony wyzdrowiała, książka chlustała ze mnie jak Niagara, w mieście nie było już Krangów ani białych stworzeń zaglądających nocą przez moje okno.

Anna poczęstowała mnie kawałkiem ciasta. Dokładnie mówiąc – austriackiego gugelhupf. To jedno naprawdę umiała przyrządzać.

– Tomaszu, ile czasu zajmie ci napisanie sceny przyjazdu ojca do Galen?

– Ile mi zajmie? Jest prawie gotowa. Już raz ją napisałem, ale Sax uznała, że należy ją pogłębić i udramatyzować. Powiedziała, że mój opis nie jest dość ważki.

– No dobrze, wobec tego ile to jeszcze potrwa?

Skubałem zębami ciasto.

– Nie wiem. Co mamy dzisiaj – wtorek? Chyba skończę do piątku.

– A czy nie mógłbyś... – Anna uśmiechnęła się i wstydliwie spuściła wzrok, jakby mnie miała prosić o nie wiem jaką przysługę.

– Czy mógłbym co?

Widok Anny zażenowanej, zawstydzonej, należał do rzadkości.

– Czy myślisz, że mógłbyś skończyć do piątej trzydzieści po południu?

– Oczywiście, że tak, a dlaczego?

– Taki przesąd. Widzisz, on tu przyjechał pociągiem o piątej trzydzieści i dlatego... sama nie wiem – wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. – Przesądy i tyle.

– Ależ nie tłumacz się, Anno, ja to rozumiem. Rozumiem to doskonale, zwłaszcza tutaj.

– No to w porządku. Wiesz, właściwie miałam ci nic nie mówić, ale chcę was oboje zaprosić na bal z okazji przyjazdu ojca.

– W takim razie poczekaj jeszcze jakieś pół roku i trzymaj kciuki.

– Mówię w przenośni. Widzę, że szybko wam idzie robota, więc wpadłam na pomysł wydania przyjęcia na waszą cześć w dniu, kiedy ojciec przybywa do Galen w twojej książce. To miała być niespodzianka, więc kiedy wszyscy się do was zbiegną, udawaj, że o niczym nie wiedziałeś.

– Zamierzasz zaprosić do nas całe miasto?

Powiedziałem to dla żartu, ale jej twarz rozjaśniła się, Anna wzięła mnie za ramiona i ściągnęła na kanapę koło siebie.

– Najlepiej zdradzę ci od razu cały plan, żebyś wiedział o co mi chodzi. Chcę tak, Tomaszu – napiszesz ten fragment o jego przyjeździe – napiszesz go, prawda? Tylko musisz mi powiedzieć dokładnie, którego dnia skończysz, dobrze? I wtedy, dokładnie w tym dniu, całe miasto wyjdzie na stację, o piątej trzydzieści, tak jakby on miał przyjechać tym właśnie pociągiem.

– Ale przecież pociągi osobowe nie zatrzymują się już w Galen!

– Oczywiście, że nie, będziemy tylko udawać. Nie podoba ci się ten pomysł? To będzie jak karnawał. A po pięciu czy dziesięciu minutach przemaszerujemy z powrotem do ciebie od domu, na suty obiad z kotła.

– Do mnie?

– Tak jest! To przecież ty i Saxony nam go przywracacie, więc złożymy wam ofiary. Złożymy ofiary Bóstwom Maszyny do Pisania! – Przyciągnęła mnie do siebie i ucałowała w policzek. Uświadomiłem sobie, ile to już czasu minęło od dnia, w którym ostatni raz się kochaliśmy. – To będzie cudowne, nie uważasz? Jak dawne parady z pochodniami. Ty i Saxony będziecie sobie w najlepsze siedzieć w domu, aż tu nagle usłyszycie tłum walący ulicą. Oboje wyjrzycie przez okno – a za oknem setki ludzi niosących prowiant i pochodnie, wszyscy walą pod wasze drzwi. To przecież fantastyczne!

Anna podniosła w górę pusty kubek i popukała w niego paznokciem.

– Moc ojca zaczęła słabnąć. Wyczerpywała się. Ojciec w jednym z tomów „Kronik" uwzględnił taką ewentualność. Sam zresztą to przeczytasz, na razie wyjaśnię ci w skrócie samo sedno. Ojciec twierdził, że po jego śmierci mogą nastąpić dwie rzeczy – wersja pierwsza – wszystko, co stworzył, natychmiast zniknie.

– To już czytałem – podniosłem w górę zeszyt, który cały czas trzymałem w ręku.

– Wiem. Druga ewentualność była taka, że nic się nie zmieni, bo ojciec natchnął swoich ludzi takim... – zacisnęła usta i zawahała się – napełnił ich duchem tak żywotnym, że będą funkcjonowali nawet po jego śmierci.

– I tak się właśnie stało. Funkcjonują, prawda?

– Owszem, funkcjonowali, jeszcze dwa lata temu. Wtedy jeszcze wszystko szło zgodnie z planem. Ale nagle coś się popsuło – przykłady znasz. Ojciec i tę możliwość brał pod uwagę. Opisał ją w zeszycie, który trzymasz.

– Powiedz mi własnymi słowami. Nie chce mi się czytać.

– Dobrze – popatrzyła na kubek, jakby nie mogła pojąć, skąd się wziął w jej rękach. Odstawiła go na stolik do kawy i odsunęła gestem zniecierpliwienia. – Ojciec wierzył, że skoro on był w stanie stworzyć Galeńczyków, to po jego śmierci na pewno znajdzie się ktoś, kto potrafi odtworzyć jego samego.

– CO? – stado małych lodowatych jaszczurek przemknęło w tę i z powrotem po moich plecach.

– Tak, wierzył, że autor jego biografii – tu zrobiła pauzę i uniosła brwi w moją stronę – jeżeli autor jego biografii okaże się naprawdę zdolny, to przywróci mu życie, pod warunkiem, że wiernie je opisze.

– Jezu Chryste, Anno, czy to mam być ja? Porównujesz świnie i wieprze, perły i wieprze, chciałem powiedzieć... Twój ojciec był... był... bogiem. A ja – kim ja jestem?

– Czy wiesz, Tomaszu, dlaczego pozwoliłam ci zabrnąć tak daleko?

– Nie jestem pewien, czy chcę znać powód. No dobrze, powiedz, dlaczego?

– Ponieważ spełniłeś pierwszy warunek postawiony przez ojca – masz obsesję na jego punkcie. W kółko opowiadasz, jakie ważne są dla ciebie jego książki. Są dla ciebie niemal tak ważne jak dla nas tutaj, w Galen.

– Nie pleć, Anno, to przecież nie to samo!

– Nie przerywaj! – Uniosła rękę jak policjant kierujący ruchem ulicznym. – Sam o tym nie wiesz, ale odkąd napisałeś pierwszy rozdział, w Galen znów wszystko idzie jak należy. Wydarza się to, co jest zapisane w „Kronikach", tak jak dawniej. Ostatnio śmierć Kulfona.

Spojrzałem na nią i otworzyłem usta, ale nie znalazłem nic do powiedzenia. Przed chwilą usłyszałem największy komplement w swoim życiu. Moje emocje stanęły w windzie w połowie drogi między panicznym strachem a szaleńczą euforią. Rany Julek, a jeżeli ona miała rację?

Rozdział VII

Pracowaliśmy dalej, z tym, że Saxony nie chciała mieć już nic wspólnego z biografią. Wyrzeźbiła trzy marionetki, a w przerwach czytała „Robaka Ouroborosa" Eddisona.

Nadal chodziłem do Anny, ale tylko za dnia i nigdy nie zostawałem dłużej niż do piątej trzydzieści. Pakowałem brązową walizeczkę i wracałem do domu.

Nie mogłem się zdecydować, czy mam powiedzieć Saxony prawdę na temat France'a i Galen, czy też raczej nie. Chwilami nie mogłem znieść myśli, że to przed nią ukrywam. A z drugiej strony, cały czas pamiętałem, że ludzie trafiają do szpitala wariatów za wygłaszanie opinii znacznie mniej zwariowanych niż moje, więc odpędzałem pokusę, mówiąc sobie, że lepiej trochę jeszcze poczekać i zobaczyć co się stanie, zanim wydobędę szydło z worka.

Nad miasteczkiem przeszła zamieć i pobieliła wszystko grubą warstwą śniegu. Któregoś popołudnia wyszedłem na spacer i napotkałem trzy koty baraszkujące po podwórzu. Bawiły się tak rozkosznie, że przystanąłem i przypatrywałem się im przez dłuższą chwilę. Skakały jeden przez drugiego, dopóki któryś nie dostrzegł mnie i nie zamarł w pół skoku. Wtedy wszystkie trzy jak na komendę spojrzały na mnie, a ja bezwiednie uniosłem rękę, żeby im pomachać. Usłyszałem, że miauczą, bardzo cicho, jakby szeptem. Dopiero po kilku minutach olśniło mnie, że koty mówią dzień dobry.

Mieszkańcy miasta zaczęli mi okazywać wielką szczerość. To, co mi opowiadali, jeszcze kilka miesięcy wcześniej kazałoby mi wiać gdzie pieprz rośnie, ale teraz tylko ze zrozumieniem kiwałem głową i brałem z półmiska jeszcze jedno ciasteczko z rodzynkami, upieczone przez Debby albo przez Gretchen, albo przez Mary Annę.

Moi rozmówcy przybierali niezmiennie jeden z dwóch tonów – oskarżycielski lub dziękczynny. Jedni mówili, że powinienem jak najszybciej skończyć książkę, bo kupa ludzi wpadnie inaczej w tarapaty, a inni dziękowali Bogu, że zdążyłem na czas i pytali, czy daleko mam jeszcze do końca biografii. W zależności od dnia i osoby, która ze mną rozmawiała, czułem się na zmianę, albo jak mesjasz, albo jak spec od naprawy telefonów. Pytanie, czy swoją książką ożywię Marshalla France'a, wirowało mi w głowie jak szklana kulka w automatycznej suszarce. Chwilami przystawałem i wybuchałem śmiechem, takie to wszystko było szalone i absurdalne. A chwilami obłaziły mnie jaszczurki lęku i chciałem już tylko jak najszybciej, raz na zawsze o tym wszystkim zapomnieć.

– Powiedz, Larry, jak się czuje człowiek... wymyślony?

Larry pierdnął na cały głos i uśmiechnął się do mnie.

– Wymyślony? Co znaczy „wymyślony"? Ty wystrzeliłeś ze swojego starego, no nie? – Kiwnąłem głową i wzruszyłem ramionami. – No widzisz, a ja wystrzeliłem skądinąd. Jeszcze piwko?

Katarzyna głaskała szarego królika, tak ostrożnie, jakby był ze szkła.

– Wymyślona? Hmmm, to zabawne określenie. Wymyślona... – obracała to słowo w ustach i uśmiechała się do królika. – Nigdy się nad tym nie zastanawiam, Tomaszu. Myślę o tylu innych rzeczach...

Jeżeli spodziewałem się od nich rewelacji, to na próżno. Galen było typowo mieszczańską społecznością, w samym sercu Missouri, ludzie tam uczciwie pracowali, w środowe wieczory grywali w kręgle, przepadali za „Bionic Woman", jadali kanapki z szynką i oszczędzali na nowy pług automatyczny albo na domek letni nad jeziorem Tekawitha.

Najciekawszą historię usłyszałem od faceta, który niechcący postrzelił w twarz rodzonego brata z policyjnego rewolweru. Nacisnął spust, gruchnęło, dym – a bratu nic się nie stało. Ab-so-lut-nie nic!

Ludziom usta się nie zamykały. Odkąd zostałem „jednym z nich", opowiadali mi o sobie wszystko – o lumbago, o życiu seksualnym, o najlepszych sposobach przyrządzania zębacza. Niewiele z tego co mówili miało dla mnie jakąkolwiek wartość, ale oni tak długo opowiadali to samo sobie nawzajem, że było dla nich nie lada frajdą znaleźć nowe ucho.

– Wiesz, co mnie teraz najbardziej wkurza, Abbey? To, że nic nie wiem na pewno. Kiedyś szedłem sobie spokojnie ulicą i nie musiałem się martwić, że jakiś pieprzony samolot może ni stąd, ni zowąd spaść na głowę – rozumiesz, o co mi chodzi? Jak człowiek wie, to ma spokój. Nie musi się martwić, że coś mu się nagle przydarzy. Patrz pan tego, jak mu tam, Joe Jordana. Jedzie sobie jakby nigdy nic po paczkę pieprzonych fajek, aż tu nagle – bach! – i dzieciak pod kołami. Dziękuję bardzo za taką przyjemność, ja tam wolę wiedzieć, kiedy przyjdzie na mnie czas. I wtedy aż do tego czasu mogę się niczym nie przejmować.

– No a kiedy ten czas nadejdzie? Co wtedy zrobisz?

– Zleję się w pieprzone gacie! – stary człowiek śmiał się z własnego żartu do rozpuku.

Im dłużej wypytywałem ludzi, tym bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że przeważająca większość jest zadowolona z „metody" France'a i przerażona tym, że nagle, w sposób okrutny i niespodziewany, oddana została w niezdarne łapy losu.

Ale byli i tacy, którzy woleli nie wiedzieć, co ich czeka. Nikt ich za to nie potępiał. Zgodnie z ustalonym od lat obyczajem, za obszerny egzemplarz historii i przyszłości każdej rodziny odpowiadał senior rodu. Księgę każdy otrzymał w prezencie od France'a. Ktokolwiek ukończył osiemnaście lat i był ciekaw, co z nim będzie dalej, mógł udać się do „starszego" i o wszystko zapytać.

Sprzedawca ze sklepu spożywczego popatrzył na mnie jak na idiotę, kiedy go zapytałem, czy nie chciałby pożyć dłużej niż wyznaczone mu przez France'a pięćdziesiąt jeden lat.

– A po co? I tak zdążę wszystko zrobić. Pięćdziesiąt lat to kupa czasu.

– Ale to takie... definitywne. Katastroficzne jakieś.

Artretyczna dłoń sprzedawcy wyciągnęła z kieszeni fartucha czarny grzebień z napisem AS i przeczesała nim równie czarne włosy.

– Nie rozumiesz, Tom. Teraz mam trzydzieści dziewięć lat, tak? Wiem na pewno, że zostało mi jeszcze dwanaście. Śmierć mnie nie przeraża. A ciebie przeraża, co? Przyznaj się, że bywają dni, kiedy wstajesz rano i mówisz sobie: „Może dzisiaj zostanę kaleką na całe życie", albo coś w tym stylu. A my tu nigdy, nawet przez dwie sekundy, nie myślimy w ten sposób. Mam artretyzm rąk i umrę na raka mając pięćdziesiąt jeden lat. I kto z nas dwóch ma lepiej, ty czy ja? Sam powiedz uczciwie.

– Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

– Jasne, wal śmiało.

– Załóżmy, że jestem Galeńczykiem i wiem, że jutro umrę – że ty przejedziesz mnie na śmierć swoją

– Daleko doszedłeś?

– Nie, stoję w miejscu. Muszę kawałek przepisać. France wsiada w pociąg i jedzie do Galen. A bo co?

Wrzuciła ciastko do kosza na śmiecie i spojrzała na mnie, a ja spojrzałem na swoje ciastko w koszu na śmiecie.

– Mam ci do powiedzenia parę rzeczy, Tomaszu. Wróciłam tutaj z dwóch powodów. Ale kiedy już wróciłam, nie byłam pewna, czy powinnam ci to powiedzieć. Potem chorowałam... a jednak muszę ci powiedzieć – podeszła i usiadła mi na kolanach. Nigdy przedtem tego nie robiła. – Słyszałeś coś o Sidneyu Swire?

– Sidneyu co? Brzmi to jak nazwisko jakiegoś angielskiego aktora.

– Sidney Swire to był ten facet z Princeton, który przyjechał tu z zamiarem napisania biografii France'a.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

Saxony była królową poszukiwań źródłowych. Przekonałem się o tym już dawno, ale za każdym razem na nowo zdumiewało mnie, że odkrywa rzeczy absolutnie niewykrywalne.

– Między innymi w tym celu wyjechałam do St. Louis. Nieważne, w jaki sposób się dowiedziałam.

– Wiggins? – odchyliłem się jak najdalej na oparcie.

– Daj spokój, Tomaszu, proszę cię. To poważna sprawa. Sidney Swire przyjechał do Galen na dwa tygodnie. Wyjeżdżając stąd, miał zamiar dotrzeć do Kalifornii, gdzie w Santa Clara mieszkał jego brat – oblizała usta o odchrząknęła – ale nie dojechał. Wysiadł z autobusu w Rolla, Missouri, na krótkim postoju, po czym znikł bez śladu. Nikt go od tamtego czasu nie widział, brat też nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Jaszczurka przemknęła po moim kręgosłupie do połowy pleców i zamarła tam w oczekiwaniu na dalszy ciąg opowieści Saxony.

– Znikł. I nic. Ani śladu. Nic a nic.

– No, a jego brat? Co zrobił? – zepchnąłem Saxony z kolan i wstałem.

– Rodzina Swire'ów dała znać na policję, a kiedy policja niczego nie znalazła, do akcji wkroczyła na sześć miesięcy prywatna agencja detektywistyczna. I dalej nic, Tomaszu.

– To intrygujące.

Popatrzyłem na nią. Nie uśmiechnęła się.

– Chcę ci powiedzieć jeszcze o czymś, czego się dowiedziałam w St. Louis. Tylko się nie gniewaj. Czy Anna wspominała ci kiedykolwiek o mężczyźnie nazwiskiem Peter Mexico?

Usiadłem sztywno w fotelu.

– Owszem, to był jej ukochany z czasów studenckich. Umarł na zawał serca.

– Mylisz się, Tomaszu, on nie umarł na zawał. Anna i Peter Mexico stali razem w podziemnej stacji metra w Londynie i wtedy on ni stąd, ni zowąd wpadł pod nadjeżdżający pociąg.

– Co takiego?

– To co słyszałeś. Odbyło się dochodzenie, ale pewnych rzeczy do końca nie wyjaśniono. Nie licząc jakiegoś pijaka, na peronie znajdowali się w owej chwili tylko oni dwoje.

★

– Anno? Co się stało z Sidneyem Swire'em?

– Z Sidneyem Swire'em? – Uśmiechnęła się do mnie i bardzo szybko zamrugała oczami. Zalotna lalunia. – Sidney Swire wyjechał i Bogu dzięki, nikt go więcej nie widział.

– Ciekawe, co masz na myśli? – starałem się przybrać ton zaciekawienia, a nie strachu.

– Zniknął. Puf! Wsiadł w autobus, wysiadł w Rolla i zniknął. Policja całymi dniami kręciła się tutaj i zadawała pytania. Dzięki Bogu, że facet nie zniknął, kiedy jeszcze mieszkał w miasteczku. To by dopiero był dla na kłopot.

– Wcale się tym nie przejęłaś?

– Nie, absolutnie. Nadęty błazen, dobrze mu tak.

– Niezbyt ładnie mówić w ten sposób o kimś, kto już pewnie nie żyje.

– No i co z tego, że nie żyje? Mam mówić, że jest mi przykro? Nie jest. Wystarczyło raz na niego spojrzeć, żeby zyskać pewność, że nie napisze książki ojca.

Kaszlała dalej, jednocześnie kręcąc głową.

Otoczyłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Dysząc i poświstując, oparła się o mnie całym ciężarem ciała. Poprowadziłem ją do samochodu od drugiej strony i otworzyłem drzwiczki. Usiadła, bezwładnie odrzuciła głowę na oparcie fotela. Już nie kaszlała, ale oczy miała załzawione z wysiłku.

– Jestem bardzo chora, Tomaszu. Zaczęło się jak tylko od ciebie wyjechałam. Ale ostatnio bardzo się pogorszyło – potoczyła głową po oparciu, aż spojrzała mi prosto w oczy. – Jak z kiepskiej literatury, nie? – kurczowo zacisnęła oczy i znów zaczęła kaszleć.

*

– Nie. Nic się nie da zrobić.

– Anno, na litość Boską, opamiętaj się! Przecież nie możesz być takim potworem!

Przywiozłem Saxony do domu i położyłem do łóżka. Natychmiast zasnęła, całe szczęście. Jak najszybciej popędziłem do Anny.

– Ja z tym nie mam nic wspólnego, Tomaszu. Tak było w „Kronikach". Zapisane. Przesądzone.

– Ale wszystko inne w „Kronikach" się pokręciło. Dlaczego tego się nie da pokręcić? Przecież ona wyjechała, prawda? Zrobiła to, co chciałaś?

– Nie powinna była wracać – ton Anny był lodowaty.

– Ona o niczym nie wiedziała, Anno. Nie pisnąłem jej ani słowa. Ona umiera ze strachu. Na miłość Boską, miejże w sobie chociaż raz w życiu odrobinę litości!

– Tomaszu, w „Kronikach" zostało zapisane, że gdyby osoba niepowołana przez dłuższy czas przebywała w Galen, rozchoruje się i umrze. Jeżeli jednak stąd wyjedzie – wyzdrowieje. Saxony nie była chora kiedy wyjeżdżała – prawda? Sam mówiłeś, że nie. A zatem w stosunku do „Kronik" tu też się pokręciło, sam widzisz. Zachorowała po wyjeździe. A powinno być na odwrót. Ja już zupełnie nie panuję nad tym, co się dzieje.

Anna rozłożyła ręce i po raz pierwszy w życiu wyglądała, jakby jej było naprawdę przykro.

*

Dużo wcześniej niż inni zorientowałem się, że chwilowa normalizacja w Galen była zasługą albo obecności Saxony, albo jej korekty maszynopisu, albo też naszej wspólnej obecności w miasteczku.

Kiedy tylko odzyskała nieco sił, przeczytała dokładnie wszystko, co napisałem pod jej nieobecność – i poszatkowała to na kawałki. To było źle, tamto nie tak. Czemu nie wspominam w tym miejscu o tym, zamiast o owym? To nieistotne, to wodolejstwo... Pozwoliła mi zachować najwyżej jedną trzecią wypocin.

*

W czwartym dniu przepisywania tekstu z uwzględnieniem uwag Saxony, pani Collins weszła do kuchni, żeby nakarmić bullteriera: w pudle przy piecu, na świeżo porwanej gazecie, spało niemowlę płci żeńskiej.

Sharon Lee, która od pewnego czasu nie ruszała się z domu (podobnie jak wiele innych osób, w tym Ksiądz Pająk), pokazała się w mieście na zakupach, uśmiechnięta jakby wygrała los na loterii.

A Saxony przestała kaszleć. Powiedziałem jej, że Anna i ja już ze sobą nie sypiamy, ale nic więcej nie zdradziłem.

Kiedy zrozumiałem, jak istotna jest dla powodzenia książki obecność Saxony w Galen, udałem się do Anny i poświęciłem cały ranek na wyjaśnienie jej tego, co – jak już wiedziałem na pewno – było prawdą. Wysłuchała mnie, a potem oświadczyła, że musi się sama przekonać. Po odwiedzinach u Collinsów przyznała mi rację. Umówiliśmy się, że Saxony niczego się nie dowie, ale może zostać.

Było to najbardziej nieoczekiwane zdarzenie w Galen.

Rozdział IX

Usłyszałem jak idąc do pokoju, klapie puchatymi kapciami, które jej kupiłem w domu towarowym Lazy Larry.

Nigdy nie nachodziła mnie bez potrzeby podczas pracy, więc sam odłożyłem pióro i odwróciłem się do drzwi. Wyglądała znacznie zdrowiej niż po przyjeździe. Nabrała rumieńców, odzyskała apetyt. Nawet teraz trzymała w ręku kruche ciasteczko z czekoladą, wygryzione w kształcie półksiężyca. Upiekł je rano Wasz Uniżony.

furgonetką. Co się stanie, jeżeli zamknę się w domu i w ogóle nie wyjdę jutro na ulicę? Co będzie, jeżeli na cały dzień schowam się w szafie i uniemożliwię ci przejechanie mnie furgonetką?

– Wtedy umrzesz w szafie, dokładnie o tej godzinie, o której miałem cię przejechać.

*

W filmie mojego ojca „Café de la Paix" jest pewna scena, którą zawsze bardzo lubiłem i która w czasie peregrynacji po Galen często mi się przypominała.

Richard Eliot, alias „Szekspir", najlepszy angielski tajny agent w okupowanej przez nazistów Francji, zostaje zdemaskowany. Podziemnymi kanałami wysyła z kraju żonę, a sam udaje się do „Café de la Paix", żeby tam czekać, aż przyjdą po niego szkopy. Zamawia kawę ze śmietanką, wyjmuje z kieszeni niedużą książkę i bierze się do czytania. Twarda sztuka. Kelner podaje mu kawę i natychmiast wieje, bo dobrze wie, co się święci. Ulica jest pusta, jesienne liście wolniutko omiatają nogi stolików. Reżyser okazał w tym miejscu genialną intuicję: pozwolił, żeby przez trzy minuty absolutnie nic się na ekranie nie działo. Kiedy wreszcie przed kawiarnię zajeżdża z piskiem opon czarny mercedes, widz, który już powyrywał wszystkie włosy z głowy, cieszy się, że Niemcy wreszcie są. Trzaskają drzwi, kamera śledzi przez jezdnię dwie pary wyglansowanych sztybletów.

– Herr Eliot?

Oficer niemiecki jest z gatunku „dobrych złych ludzi" (gra go, zdaje mi się, Curt Jurgens), wystarczająco bystrych na to, żeby wyśledzić Szekspira, ale i dość wrażliwych, żeby po drodze nabrać szacunku dla aresztowanego.

Mój ojciec podnosi wzrok znad książki i uśmiecha się.

– Witam, panie Fuchs.

Drugi szkop daje krok w stronę ojca, ale Fuchs łapie go za ramię i każe wracać do samochodu.

Ojciec reguluje rachunek i dwaj mężczyźni wolno przechodzą przez jezdnię.

– A gdyby tak ci się udało, Eliot, to co byś robił po powrocie do domu?

– Co bym robił? – ojciec śmieje się i długo patrzy w niebo. – Nie mam pojęcia, Fuchs. Taka możliwość przerażała mnie chwilami bardziej niż perspektywa ujęcia przez was – czy to nie śmieszne? Może w głębi duszy cały czas chciałem, żebym nie musiał się martwić o przyszłość. Czy pan, Fuchs, zastanawiał się kiedyś nad tym, co pan zrobi, kiedy Niemcy przegrają wojnę?

Ileż to razy próbowałem nad ranem wyłożyć sens życia zaspanemu kumplowi albo dziewczynie, z którą się w nocy kochałem. Tak się zawsze zakałapućkałem w sprzeczne założenia i ewentualności, że w końcu albo też szedłem spać, albo się kochałem, albo popadałem w czarną rozpacz, bo uświadamiałem sobie, że absolutnie nic nie wiem.

Galeńczykom ten problem był obcy. Żyli w duchu najczystszego kalwinizmu, z tą różnicą, że nie martwili się zupełnie, co ich spotka po tamtej stronie śmierci. Nie mogli zmienić siebie ani swoich losów, za to świadomość, że na końcowym egzaminie mają gwarantowaną czwórkę lub trójkę, była niezwykle istotna dla ich bieżącego życia.

*

Saxony w końcu pozbyła się gipsu i chociaż nadal kulała, bo noga była chuda i słaba, humor znacznie jej się poprawił.

Już wszystkie liście opadły z drzew i poprzylepiały się do asfaltu. Dni zrobiły się krótkie i albo mokre, albo szare, albo jedno i drugie. Galeńczycy pochowali się po domach. W piątki wieczorem rozgrywano regularnie mecze koszykówki i w sali gimnastycznej zawsze był komplet kibiców. Kino, sklepy – wszystko co się mieściło pod dachem, znów cieszyło się ogromną popularnością. W domach pachniało pożywnym zimowym obiadem, wilgotną wełną płaszczy, drugą świeżością rękawic, skarpet i czapek wyłożonych na kaloryfery do wyschnięcia.

Pomyślałem o wszystkich innych małych miasteczkach szykujących się do nadejścia zimy. Łańcuchy na opony samochodowe, olej do grzejnika, nowe sanie, pożywienie dla ptaków w karmniku za oknem, dodatkowe szyby, sól kamienna do posypywania podjazdu...

Wszystkie małe miasteczka zajęte były podobnymi przygotowaniami, tyle że wszędzie poza Galen człowiek wsiadał do samochodu i nie wiedział, co go czeka. Nie wiedział, że w połowie drogi do sklepu wpadnie w poślizg, rozbije wóz, a sam zginie na miejscu. Jego żona jeszcze przez kilka godzin będzie przekonana, że nic złego się nie zdarzyło, aż w końcu ktoś ze znajomych natknie się przypadkiem na rozbity wóz z sączącą się jeszcze z rury wydechowej smużką spalin, od której topnieje zmieszany z ziemią śnieg.

Albo inaczej: starszy pan, gdzieś w Maine, założy blezer produkcji L.L. Vean i zielone spodnie ze sztruksu, nie wiedząc wcale, że za dwie godziny trafi go zawał, dokładnie w chwili, kiedy będzie przypinał smycz do obroży ulubionego jamnika.

Pani Fletcher dowiedziała się, że mam urodziny i upiekła z tej okazji wielki, wspaniały tort marchewkowy. Dostałem też masę prezentów. Gdziekolwiek tego dnia zaszedłem, czekały na mnie torty albo upominki urodzinowe. Dostałem wypchanego borsuka, dziesięć błyszczy do wędki ręcznej roboty, pierwsze wydanie „Niech nikt się nie waży nazwać to zdradą". Kiedy wróciłem do domu, Saxony stała w drzwiach, uśmiechała się i z podziwem kręciła głową na długo przedtem, zanim pochwaliłem się swoimi skarbami.

– Masz tu tłumy wielbicieli, co?

Podniosła do oczu lornetkę, którą dostałem od Barneya i Thelmy i spojrzała na zamieszczony w środku widoczek z Dobbs Ferry, stan Nowy Jork.

– Nie wyśmiewaj się, Sax, to wszystko kosztuje. Naprawdę ładnie z ich strony, że się szarpnęli na te prezenty.

– Nie bądź taki obrażalski. Chciałam tylko powiedzieć, że na pewno przyjemnie jest być takim lubianym.

Nie wiedziałem, czy mówi serio, czy się zgrywa, ale gdybym miał się w tej sprawie wypowiedzieć, to powiedziałbym, że owszem, tak, jest to przyjemne. Oczywiście, wiedziałem dlaczego większość Galeńczyków odnosi się do mnie z taką sympatią, ale niezależnie od ich motywacji, przekonałem się na własnej skórze, jak to jest być poważanym, lubianym i szanowanym – to cholernie przyjemne uczucie. Miałem skromny przedsmak tego, czego przez całe życie doświadczali mój ojciec i Marshall France.

France płynął frachtowcem „Arthur Bellingham" z Liverpoolu do Nowego Jorku. Na pokładzie zaprzyjaźnił się z pewnym żydowskim małżeństwem i nawiązał niewinny romans z ich dziewiętnastoletnią córką. Widywał się z nią jeszcze potem, w Nowym Jorku, ale nic z tego nie wyszło. France najął się do pracy u Lucentego i wynajął pokój w hotelu dla imigrantów, o jedną przecznicę od zakładu pogrzebowego.

– Anno, dlaczego skłamałaś, kiedy cię pytałem, jak długo twój ojciec pracował u Lucentego?

Siedziała przy stole i wyjadała z miseczki chrupki ryżowe, które wydawały ciche trzaski, kiedy je łamała.

– Nie chcę się kłócić z tego powodu, ale po prostu ciekawi mnie, dlaczego skłamałaś.

Anna przełknęła i otarła usta papierową serwetką.

– Chciałam się przekonać o twojej rzetelności zanim wyrażę zgodę na pisanie biografii. To logiczne, nie sądzisz? Dlatego udostępniłam ci wszystko, co dotyczyło okresu sprzed jego emigracji do Stanów. Pierwszy rozdział miał dowieść, czy się nadajesz, czy nie. Gdybyś się nie nadawał, wówczas odprawiłabym cię z kwitkiem, a ty niczego byś się nie dowiedział.

Zagłębiła łyżeczkę w chrupkach i zajęła się z powrotem lekturą czasopisma.

– Anno? Jeszcze jedno pytanie: dlaczego nigdy nie mówisz o matce?

– Moja matka była cichą, ujmującą panienką ze Środkowego Zachodu. Kiedy byłam mała – kazała mi się zapisać do zuchów, a kiedy podrosłam – do skautów. Świetnie gotowała i umilała ojcu życie na różne sposoby. Myślę, że ojciec ją kochał i był z nią szczęśliwy, ponieważ stanowiła jego absolutne przeciwieństwo: wszystko w niej było przyziemne. Podziwiała ludzi obdarzonych bujną wyobraźnią i skłonnościami artystycznymi, ale – tak mi się wydaje – w głębi duszy radowała się, że sama do nich nie należy. Kiedyś wyznała mi w sekrecie, że dla niej książki ojca są głupkowate. To ci dopiero recenzja – głupkowate!

Wuj France'a, Otto Frank, nigdy nie odniósł wielkich sukcesów jako właściciel drukarni. Przeniósł się do Galen z Hermann, w stanie Missouri, ponieważ okolica mu się podobała i ponieważ oferowano tam tanio warsztat drukarski. Otto Frank drukował zaproszenia ślubne, broszury dla przedsiębiorstw, afisze o odpustach i akcjach rolniczych. Z początku miał szczytną ambicję drukowania lokalnej gazety (po to właśnie napisał do brata do Austrii z prośbą o przysłanie mu do pomocy któregoś z chłopców), ale sam nie miał na to dość pieniędzy i nie znalazł chętnego do finansowania swoich marzeń.

Przyjechał Martin (który zdążył już, ku zgorszeniu wuja, zmienić nazwisko na France) i Otto umieścił go w warsztacie jako czeladnika. France'owi praca chyba odpowiadała, bo został w drukarni aż do śmierci Ottona, w roku 1945 – roku wydania „Sadzawki Gwiazd".

Książka nie zrobiła wielkiej furory, ale wydawcy byli z niej na tyle zadowoleni, że zaproponowali France'owi tysiącdolarową zaliczkę na poczet następnej książki, którą okazały się równie mało kasowe „Brzoskwiniowe cienie". Mimo to, krytyk nazwiskiem Charles White napisał obszerny artykuł o twórczości France'a w „Atlantic Monthly". Porównał go z Lewisem Carrollem i Lordem Dunsany jednocześnie. Artykuł ten dał początek sławie France'a. Anna przechowywała prawie wszystkie listy, które przyszły do jej ojca do Galen, wraz z kopiami odpowiedzi. France przez kilka miesięcy nie miał pojęcia o

– Och, Tomaszu, jednak jesteś. To ja, Saxony. Dzwonię z dworca autobusowego. Jestem tutaj. Jestem w Galen.

– O Jezu!

– Dziękuję za miłe powitanie. Przepraszam cię, jeżeli...

– Zamknij się, Sax, zamknij się. Słuchaj, będę tam za dziesięć minut. Czekaj na mnie. Stój przed wejściem i czekaj na mnie. Nie ruszaj się z miejsca.

Musiała wyczuć panikę w moim głosie, bo powiedziała tylko:

– Dobrze, będę czekała przed wejściem – i wyłączyła się.

Szczelnie owinąłem walizkę zielonym kocem i wyniosłem na zewnątrz, trzymając pakunek przed sobą. Na wypadek gdyby ktoś mnie obserwował, chciałem, żeby myśleli, że to jakaś paczka albo rzeczy do pralni. Wymusiłem na usta półuśmiech i dziarskim krokiem udałem się do samochodu. Po drodze pośliznąłem się na zamarzniętej kałuży i o mały włos nie wywinąłem orła. Odzyskałem jednak równowagę, a wraz z nią pewność, że zewsząd świdrują mnie setki oczu. Twardo patrzyłem przed siebie.

– Abbey właśnie wyszedł z domu.

– Co teraz robi?

– Coś niesie, jakby paczkę.

– A nie jest to przypadkiem walizka?

– Nie, chyba nie, wygląda raczej na... no nie wiem na co wygląda. Lepiej sam się przyjrzyj.

– Może powinniśmy zadzwonić do Anny?

Kiedy wreszcie wydobyłem kluczyki i zacząłem gmerać przy drzwiczkach samochodu, miałem już absolutną pewność, że lada moment usłyszę wrzask i tupot nóg. Cudem udało mi się otworzyć drzwi. Z podziwu godną nonszalancją nachyliłem się do wnętrza wozu i umieściłem otuloną w koc walizkę na tylnym siedzeniu.

Kluczyki w stacyjce. Brum-brum. Musiałem odczekać dwie minuty, aż silnik się rozgrzeje, bo zawsze z rana rozgrzewałem wóz. Nie był to odpowiedni dzień na szpanerskie rajdowe starty, chociaż bardzo tego żałowałem. Dookoła nie działo się nic podejrzanego. Przeniosłem wzrok z przedniej szyby na wsteczne lusterko, wypatrując złoto-białego dodge'a Anny albo czarnego ramblera pani Fletcher.

Wyjechałem na jezdnię, koła chwilę buksowały, ale w końcu złapały przyczepność i ruszyłem przed siebie. Buksowanie kół przyprawiło mnie o pierwszy z tuzina ataków serca w drodze na dworzec autobusowy. Raz zdawało mi się, że widzę wiadomego dodge'a. Raz wpadłem w poślizg na samym środku jezdni. Potem stanąłem pod szlabanem i patrzyłem jak pociąg towarowy wiozący 768 samochodów sunie przede mną w pokazowo ślimaczym tempie.

Kiedy tam stałem, jakiś głupi smarkacz rzucił w mój samochód pacyną śniegu. Kula rozprysnęła się o boczną szybę, a ja naderwałem sobie ścięgno w szyi, usiłując zobaczyć, co to za potwór szykuje się mnie zjeść. Zobaczyłem pryszczatego gnojka, dającego nogę w przeciwnym kierunku.

Przejechał wreszcie ostatni wagon, szlaban poszedł w górę. Dworzec autobusowy był o dwie ulice dalej. Mój plan wyglądał następująco: zabrać Saxony spod dworca, walić prosto na Interstate i jechać bez przerwy przez co najmniej dwie godziny, zanim znów zaczerpnę powietrza.

Rozmawiała z panią Fletcher. Stały we dwie przed niebieskim budynkiem dworca autobusowego. Widziałem unoszące się z ich ust obłoczki pary, jak zimne dymy sygnalizacyjne.

– No i co powiesz, Tom? Wracam sobie spokojnie z zakupów, a ta bidula stoi tutaj i marznie. Przyjechała rannym autobusem.

Saxony robiła co mogła, żeby się uśmiechać, ale w końcu dała za wygraną.

– W takim razie, nie zatrzymuję was dłużej. Jadę do domu. Do zobaczenia później.

Dotknęła ramienia Saxony, rzuciła mi nieprzyzwoite spojrzenie i zniknęła za rogiem budynku.

– Chodź.

Podniosłem jej walizkę i ruszyłem przez jezdnię. Słyszałem ją za plecami. Kaszlała. Był to ciężki, mokry, rwący kaszel, który trwał w nieskończoność. Saxony ledwo zdołała wykrztusić – „zaczekaj". Odwróciłem się i zobaczyłem ją zgiętą w pół, z jedną ręką w okolicy żołądka, a drugą przy ustach.

– Źle się czujesz?

ruje do góry – dłoń – ręka – twarz. Jego twarz. Puszcza oko i wychodzi z kiosku, dzierżąc pisma pod pachą. Poranna lektura w kafejce na rogu ulicy.

Trzymałem w ręce plaster sera i właśnie miałem zacząć go jeść, kiedy ni stąd, ni zowąd wybuchnąłem płaczem.

On idzie ulicą. Nie spieszy mu się. Obok niego hurgoczą przejeżdżające czołgi i motocykle z bocznymi koszami, w których siedzą niemieccy ważniacy w mundurach.

Podniosłem się z fotela i wyłączyłem dźwięk. Chciałem go tylko widzieć. Nie chciałem myśleć o filmie, o wątku, o akcji, chciałem patrzeć na swojego ojca. W pokoju nie paliło się światło, tylko blask ekranu telewizora kładł się na podłodze.

– Tato? – Wiedziałem, że zachowuję się jak kretyn, ale mimo to dalej przemawiałem do ekranu, do niego. – Tato, co ja mam robić?

Wpadł do piekarni na rogu i wskazał kolejno trzy rodzaje pieczywa zza szyby gabloty, które zamierzał kupić.

– Tato, co ja do cholery mam robić?

Z całej siły zacisnąłem powieki. Łzy wyżłobiły w mojej twarzy mokre koleiny, które poczułem, kiedy podniosłem ręce, żeby zakryć oczy.

– O Boże!

Wcisnąłem poduszki dłoni w oczodoły i patrzyłem, jak na wszystkie strony świata eksplodują doskonałe barwne desenie. Kiedy ucisk stał się bolesny, cofnąłem ręce. Popatrzyłem na niego przez resztki uciekających kolorów. Był teraz na zapleczu piekarni, schodził po szczeblach drabinki prowadzącej pod podłogę. Tuż przed schowaniem głowy z pola widzenia zatrzymał się i zdjął kapelusz. Dźwięk był, co prawda, wyłączony, ale wiedziałem, co teraz mówi: „Przypilnuj mi kapelusza, Robercie. Dopiero co ofiarowała mi go na urodziny i usmażyłaby mnie w oleju, gdybym go zaświnił".

– Niech cię diabli! Niech cię diabli, ojciec! Tak ci się zawsze wszystko układało! Zawsze te zasrane nowe kapelusze, zawsze tłumy wielbicieli. Nawet umrzeć potrafiłeś jak należy. Ja pieprzę! Pieprzę! Pieprzę!

Wyłączyłem telewizor i w ciemności patrzyłem, jak ekran staje się szary, brunatny, czarny.

*

Otworzyłem oczy i natychmiast się obudziłem. Zielono błyszcząca tarcza zegarka informowała, że jest godzina trzecia trzydzieści nad ranem. Kiedy się tak gwałtownie obudzę w środku nocy, potem długo nie mogę zasnąć. Założyłem ręce pod głowę i wbiłem wzrok w otaczającą mnie ciemność. Słychać było jedynie paniczne cykanie zegarka i wycie wiatru za oknem. Po chwili jednak poczułem, że jest coś jeszcze. Na zewnątrz. Na zewnątrz, w wichrze i niebiesko-czarnej nocy. Odwróciłem głowę do okna. Patrzył wprost na mnie, przyciskając do szyby pysk i łapy. Jego korpus jaśniał jak nie zapalona biała świeca.

*

Z chwilą jak usłyszałem, że pani Fletcher odjeżdża spod domu, wyciągnąłem ze schowka walizkę i zacząłem byle jak ściągać z wieszaków swetry, koszule i spodnie. Jedna walizka. Dużo mi nie trzeba. Nagle spadła mi na głowę spódnica Saxony. Zerwałem ją z siebie z furią i cisnąłem na ziemię. Spokojnie, mówiłem sobie, nie denerwuj się stary, masz jeszcze co najmniej godzinę, zanim ona wróci. Tylko się nie daj zwariować, a w piętnaście minut będziesz spakowany i gotowy do wyjścia. Wyprostowałem plecy i spróbowałem regularnie oddychać. Wydawałem odgłos zziajanego psa.

Co powinien zabrać ze sobą uciekinier? W dodatku taki, któremu wszystkie lęki i koszmary depczą po piętach? Powinien zabrać rzeczy. Wrzucić do torby szereg przedmiotów, zatrzasnąć zamek i nawet nie starać się myśleć, bo myślenie pochłania czas, a czasu nie ma.

Zadzwonił telefon. Chciałem go zignorować, ale wszyscy przecież wiedzieli, że jestem w domu. Anna wiedziała, że jestem w domu, a ja chciałem, żeby wszystko do ostatniej chwili wyglądało jak najnormalniej, do momentu, kiedy wskoczę w samochód. Odebrałem po piętnastym dzwonku. Już samo to było błędem, bo wszyscy od dawna wiedzieli, że mam zwyczaj podnosić słuchawkę po pierwszym, najdalej drugim dzwonku.

Zanim się odezwałem, chrząknąłem kilkakrotnie.

– Halo?

artykule White'a. Kiedy się o nim dowiedział, napisał do krytyka z podziękowaniem. Korespondowali przez wiele lat, aż do śmierci White'a.

W dwa lata po „Brzoskwiniowych cieniach" ukazał się „Smutek Zielonego Psa", który natychmiast wspiął się na szczyt listy bestsellerów. White żartował wtedy w liście do France'a: *Wielce szanowny Panie France! Nigdy dotąd nie znałem osobiście sławnego pisarza. Czy Pan nim właśnie został? Jeżeli tak, to czy mógłby mi pan pożyczyć sto dolarów? Jeżeli nie, to dzięki Bogu...* Dwie pierwsze książki zostały gwałtownie wznowione, France otrzymał zamówienie na antologię swoich ulubionych opowiadań dla dzieci, Walt Disney wymyślił filmową wersję „Brzoskwiniowych cieni" – Marshall France stał się Kimś.

Mimo to, grzecznie odpisał Disneyowi, żeby się pocałował w nos. Podobnie postąpił z wydawcą proponowanej antologii dla dzieci. Na wszystkie tego typu propozycje odpowiadał odmownie, a niebawem w ogóle przestał odpowiadać: kazał sobie wydrukować kartki z gotowym tekstem, że Marshall France uprzejmie dziękuje, ale z przykrością zawiadamia... Kartki przypominały odmowę na przyjęcie subskrypcji czasopisma. Anna podarowała mi taką jedną na urodziny, oprawioną w ramki, z nagryzmolonym przez France'a wizerunkiem bullteriera.

Otrzymywał dosłownie setki propozycji. Jakaś firma chciała produkować serię gumowych lalek przedstawiających postacie z „Krainy Chichów", inna – ołówki „Zielony Pies", jeszcze inna – radioodbiorniki wzorowane na Radio-Obłoku z „Brzoskwiniowych cieni". Wedle słów Anny i moich późniejszych obserwacji, większość tych firm podjęła produkcję, mimo że France nie wyraził na nią zgody. Zdaniem Anny, stracił setki dolarów, ponieważ nie chciał zaskarżyć producentów do sądu. Dawid Louis znalazł mu adwokatów, gotowych obłupić piratów ze skóry, ale France twardo odmówił procesowania się. Nie życzył sobie awantur, nie chciał, żeby mu zawracano głowę, nie chciał się babrać w żmudnych dochodzeniach, nie chciał wyjeżdżać z Galen. W końcu nawet Louis dał za wygraną, chociaż jeszcze przez długie lata przysyłał France'owi próbki po piracku produkowanych maskotek, latarek kieszonkowych i innych drobiazgów, żeby mu uzmysłowić, jakie sumy traci przez swój upór. Całe jedno popołudnie przesiedzieliśmy z Anną w piwnicy, wydobywając rzeczone dowody winy ze zmurszałych kartonowych pudeł poupychanych po kątach wiele lat temu.

– Gdyby David Louis się o tym dowiedział, szlag by go trafił. – Anna wyjęła z pudła książeczkę do kolorowania „Zielony Pies". – Te rzeczy stanowiły połowę moich zabawek.

Otworzyła książkę i pokazała mi obrazek. Obrazek przedstawiał Krang i Zielonego Psa, idących razem krętą drogą. Sznurek od Krang przywiązany był na kokardkę do obroży psa. Obrazek był do połowy pokolorowany: pies na niebiesko, Krang w całości na żółto, droga w czerwone fale.

– Co by powiedział twój ojciec na widok Zielonego Psa pomalowanego na niebiesko!

– To była jego wina! Pamiętam to dokładnie, zapytałam kiedyś, czy Zielony Pies był przedtem innego koloru. Ojciec odpowiedział na to, że zanim książka powstała, pies był niebieski, ale żebym nikomu o tym nie mówiła, bo to tajemnica.

Pogładziła błękitny korpus – nie wiem, czy psa, czy pamięci po ojcu.

Patrzyłem na nią i pytałem sam siebie, co z nami będzie. Anna miała trzydzieści sześć lat (w końcu zdobyłem się na odwagę i zapytałem, a ona z kamienną twarzą tak mi właśnie odpowiedziała), a ja trzydzieści jeden, zresztą nie to było najistotniejsze. Jeżeli rzeczywiście chciałbym z nią zostać, musiałbym spędzić resztę życia w Galen. A czy to takie złe? Mógłbym tu pisać książki – może w następnej kolejności o moim ojcu – uczyć angielskiego w galeńskim gimnazjum, przejechać się gdzieś od czasu do czasu. Zawsze trzeba by było w końcu wrócić do Galen, ale ta myśl mnie nie przerażała. Mieszkać w domu idola, kochać się z jego córką, być kimś ważnym dla Galeńczyków – bo kto wie, czy nie skończę jako ich zbawiciel?

– Saxony będzie nas musiała wkrótce opuścić, zdajesz sobie z tego sprawę, Tomaszu.

Wynurzyłem się z mgły marzeń i zakaszlałem. W piwnicy było wilgotno i zimno, a gruby sweter zostawiłem na górze, w sypialni.

– Co? O czym mówisz?

– Mówię, że będzie nas musiała wkrótce opuścić. Ty wiesz wszystko o Galen, więc zostaniesz z nami i napiszesz książkę, ale ona nie ma z tym już nic wspólnego. Musi odejść. Mówiła głosem tak opanowanym, tak beznamiętnym, że aż nie mogłem w to uwierzyć. Mówiąc, kartkowała książeczkę do kolorowania.

– Ale dlaczego, Anno? – jęknąłem. No i po jaką cholerę ja jęczałem? Cofnąłem jęk, zastępując go zdrowym, twardym oburzeniem: – Co to za gadanie?

Cisnąłem maskotkę do pudła.

– Już ci tłumaczyłam, Tomaszu – w Galen mogą mieszkać wyłącznie ludzie ojca. Ty teraz możesz tu zostać, ale Saxony nie. Ona jest obca.

Palnąłem się teatralnie w czoło i spróbowałem obrócić sprawę w żart.

– Nie wygłupiaj się, Anno, przemawiasz do mnie jak Bette Davis w „Cicho już, cicho, słodka Chalotte". – Przeszedłem na akcent głupawej damulki z Południa: – Bardzo mi przykro, Gilbercie, ale Jeanette będzie musiała odejść – roześmiałem się ponownie i zrobiłem głupią minę. Anna w odpowiedzi uśmiechnęła się słodko.

– Nie wygłupiaj się, Anno! Nie opowiadaj głupstw! To żarty, przyznaj się, prawda? Prawda? Po co to głupie gadanie? Co ci za różnica, czy ona tu jest, czy jej nie ma? Nic jej nie mówiłem, zapewniam cię.

Anna odłożyła malowankę do pudła i wstała. Zamknęła karton i zapieczętowała go brązową taśmą klejącą, którą przyniosła z góry. Zaczęła spokojnie popychać pudło nogą z powrotem do kąta, ale złapałem ją za przegub ręki i zmusiłem, żeby na mnie spojrzała.

– Dlaczego?

– Dobrze wiesz, dlaczego, Tomaszu. Takie pytania to strata czasu.

Poczułem ten sam gniew, którym poraziła wtedy w lesie Ryszarda Lee.

W dziesięć minut później dodziebiła atmosferę do reszty, oświadczając mi, że muszę już iść, bo ona ma się spotkać z Ryszardem.

Ledwo wróciłem do domu, odbyła się karczemna awantura z Saxony. Poszło o jakiś drobiazg, który miałem dla niej załatwić, ale zapomniałem. Jednak furia, która buchnęła z nas obojga, miała swoje źródła w tym, co tak długo tłumiliśmy. Po kilku minutach Saxony była czerwona jak burak, a ja złapałem się na tym, że zaciskam i rozluźniam pięści, jak zdesperowany małżonek w komedii sytuacyjnej.

– Ciągle ci to powtarzam, Tomaszu – jeżeli jest ci tutaj tak źle, to czemu sobie po prostu nie pójdziesz?

– Saxony, nie mogłabyś trochę spuścić z tonu? Nie mówiłem przecież...

– Owszem, mówiłeś. Skoro tam jest tak świetnie, to idź tam! Myślisz, że ja się zachwycam twoim bieganiem na paluszkach od niej do mnie i z powrotem?

Spróbowałem zgromić ją spojrzeniem, ale nie był to najlepszy moment na kto-dłużej-wytrzyma. Odwróciłem wzrok i dopiero po chwili znów spojrzałem na Saxony. Dalej się dąsała.

– Czego ty chcesz ode mnie, Sax?

– Przestań mi wreszcie zadawać to pytanie! Udajesz bezradnego. Chcesz, żebym ja za ciebie odpowiedziała, ale ja tego nie zrobię! Chcesz, żebym cię stąd wyrzuciła albo zażądała, żebyś ją rzucił i był tylko ze mną. Ale ja tego nie zrobię, Tomaszu. To ty jesteś wszystkiemu winien. Ty tego chciałeś, więc teraz musisz sam postanowić, co z tym zrobić. Kocham cię i dobrze o tym wiesz. Ale już niedługo będę w stanie znosić tę sytuację. Uważam, że powinieneś jak najszybciej podjąć jakąś decyzję – skończyła niemal szeptem, musiałem się nachylić, żeby wychwycić jej ostatnie słowa. Następne za to były jak eksplozja, aż odskoczyłem: – Jaki ty jesteś głupi, Tomaszu! Chwilami miałabym ochotę cię udusić! Naprawdę jesteś taki głupi? Nie rozumiesz, jak wspaniale mogłoby być nam razem? Skończyłbyś tę książkę, wyjechalibyśmy stąd i przeżyli sto różnych cudownych żywotów. Nie widzisz, co Anna z tobą robi? Ściąga cię na kolana przed makabrycznym ołtarzykiem ku czci własnego ojca...

– Zaraz, zaraz, Saxony, przecież i ty podobno jesteś wielbicielką Fran...

– Wiem, wiem, ja też. Ale ja już mam dosyć Marshalla France'a, Tomaszu. Nie chcę się kochać ani z książką, ani z marionetką. Chcę się kochać z tobą. Możemy robić wszystko, bo wszystko ma swój czas, ale reszta tego czasu jest dla nas. Czekaj! Poczekaj tu chwilę! – Wstała z fotela i pokuśtykała do kuchni. Po chwili wróciła z kilkoma marionetkami w ramionach. – Widzisz? Wiesz, po co je zrobiłam? Żeby nie myśleć. Oto cała prawda. Pomyśl, jakie to żałosne, że całymi popołudniami siedzę i dłubię w drewnie, tylko po to, żeby jak najmniej myśleć, gdzie ty akurat jesteś i co robisz. Kiedy jechaliśmy w tę stronę, do Galen, po raz pierwszy w życiu nie co dzień zajmowałam się pracą. I to było cudowne! Lalki mnie nie obchodziły, za dużo działo się z tobą. Wiem, jak ta książka jest dla ciebie ważna. Wiem, jakie to ważne, żebyś ją skończył...

– Nie bardzo cię rozumiem, Sax.

– Okej, przepraszam. Pamiętasz pierwszy dzień, kiedy tu przyjechaliśmy? Ten rożen na wolnym powietrzu?

Zagryzłem górną wargę i kiwnąłem głową.

– Pamiętasz, że ledwo otworzyłam usta do Gąseczki, zaraz powiedziałam jej o książce?

– Pamiętam, jeszcze jak! Myślałem, że cię zamorduję. Dlaczego to zrobiłaś? Przecież się umawialiśmy.

– A co myślałeś? Robią w majtki ze strachu!

– Ilu osobom wydarzyło się dotąd coś podobnego?

Ryszard pokręcił głową i odstawił kieliszek na stół do góry dnem.

– Nie wiem, chyba nie za wielu, ale teraz każdy się trzęsie, że on będzie następny. Wszyscy chcą wiedzieć, kiedy skończysz tę cholerną książkę.

Szafa grała dalej, ale rozmowy wokół niej ucichły jak nożem uciął.

Zwalczyłem ziewnięcie i tylko w duchu życzyłem sobie gorąco już tu nie być.

– Sporo napisałem. Ale nadal zostało bardzo wiele do zrobienia. Mówię szczerze. Nie chcę kłamać w tej sprawie.

– To nie odpowiedź na jego pytanie, Abbey.

– A co mam odpowiedzieć? Co chcecie usłyszeć? Że książka będzie gotowa za dziesięć minut? Nie, nie będzie gotowa za dziesięć minut. Chcecie, żebym to zrobił solidnie i jak należy, a z drugiej strony chcecie to mieć już, natychmiast. Czy nie wydaje wam się, że tkwi w tym jakaś sprzeczność?

– Pieprzę twoją sprzeczność, dupku żołędny!

– W porządku, pieprz sobie, pieprz. Możesz tak gadać, bo nie ty piszesz tę książkę. Jeżeli ją spaprze, to nic się tu nie zmieni. Właśnie dlatego France był taki wielki, nie rozumiecie? Dlatego w ogóle istniejecie. On potrafił pisać jak nikt inny na świecie. Na litość Boską, jak można tego nie rozumieć? Ktokolwiek pisze książkę o nim, musi się starać napisać ją równie dobrze... nie, nawet lepiej niż on sam pisał swoje książki, kroniki, wszystko, wszystko co pisał. Książka o nim musi być jeszcze lepsza. Musi.

Jeszcze jeden głos wybił się ponad wilgotny półmrok baru:

– Przymknij się, Abbey. Kończ książkę w tempie i tyle, bo inaczej cię upieprzymy tak samo jak tamtego pismaka.

Drzwi się otworzyły i do knajpy weszła para grubasów, mężczyzna i kobieta. Rozpromienieni. Nigdy ich dotąd nie spotkałem, więc uznałem, że nie pochodzą z miasteczka. Normalni. Facet uderzał się po udzie kapeluszem.

– Nie wiem jak się ta dziura nazywa, Dolly, ale jeżeli mają tu dla mnie drinka, to jest to obszar zaprzyjaźniony. Moje uszanowanie, przyjacielu. Zimno jak cholera, co?

Zasiedli na stołkach barowych na wprost mnie, a ja nie posiadałem się z radości, że tu weszli, miałem ochotę ich wycałować. Ruszyłem do wyjścia. Ryszard bawił się pustym kieliszkiem, obracał go powoli w końcach palców. Obserwował mnie kiedy wstawałem, ale nic nie powiedział. Podszedłem do drzwi po kurtkę. Ubierając się, rzuciłem okiem na bar, przy którym para grubasów z ożywieniem konwersowała z barmanem.

Na dworze wiatr rzucił się na mnie z rozwartą paszczą, ale tym razem była to wręcz pieszczota. Ford Econoline, furgonetka, zajechał na parking. Ksiądz Pająk z „Krainy Chichów" wysiadł zza kierownicy i postawił kołnierz czerwonej nylonowej kurtki. Dostrzegłszy mnie, pomachał ręką bez przekonania.

– Siemasz, Tom, jak książka?

Wielkimi krokami przemaszerował do masywnych dębowych drzwi i zniknął w knajpie, wciąż jako Ksiądz Pająk.

Zatrzymałem się i czekałem, co będzie. Gdyby w knajpie nie było pary grubasów, nie byłoby na co czekać, ale oni tam byli, a kto im miał, z przeproszeniem, wyjaśnić to, co widzieli?

Drzwi otworzyły się z hukiem i na dwór wypadli trzej mężczyźni z obezwładnionym Księdzem Pająkiem. Zamykane drzwi huknęły po raz wtóry, a potem już jedynym odgłosem był odgłos butów na rozmokłej brei drogi. Byli już blisko wozu Księdza, kiedy Mel Dugan zauważył mnie i przystanął.

– Masz skończyć tę zafajdaną książkę, Abbey! Masz ją skończyć czym prędzej, albo ci jaja powyrywam!

★

Sprawdziłem w programie telewizji: projekcja „Café de la Paix" miała się zacząć o jedenastej trzydzieści. Była jedenasta dwadzieścia pięć, więc wyjąłem z lodówki colę i serek z zieloną papryką, który sam kupowałem na targu.

Telewizor był czarno-biały, marki Philco, z dużym ekranem. Przy okazji świetnie ogrzewał nogi w zimowe wieczory. Przysunąłem sobie bujany fotel, ustawiłem na małym stoliku colę i ser, nogi w skarpetkach przytuliłem do ścianki telewizora. Gruchnęła muzyka – kombinacja „Marsylianki", „Rule Britannia" i „Tobie, Moja Ojczyzno". Należy pamiętać, że film powstał w roku 1942.

Ujęcie Wieży Eiffla. Powolny najazd kamerą na Champs Elysées, wytapetowane faszystowskimi flagami. Zbliżenie na *tabac*, gdzie mały grubasek w berecie sprzedaje gazety dziecku, papierosy starszemu gościowi, a następnie plik czasopism ręce, która odbiera pisma, ale nie płaci. Ujęcie twarzy grubasa w momencie przekazywania pism. Czyste uwielbienie. Włącza się dźwięk: „Merci". Kamera wolno węd-

Dostałem list od matki i w poczuciu winy, że nie kontaktowałem się z nią od września, zadzwoniłem i pogadaliśmy o tym, jak mi się znakomicie wiedzie.

Któregoś dnia rano Joanna Collins podeszła do kołyski swojego nowo narodzonego dziecka i zastała w niej smacznie śpiącego trzytygodniowego bullteriera.

*

Uznałem, że mam dość pracy jak na jeden dzień i należy mi się kieliszek w „Zielonej Oberży". Była dziewiąta wieczór, w miasteczku panowała martwa cisza. Śnieg na jezdni zmienił się w rozjeżdżoną breję, ale chodnik nadal się bielił i skrzypiał pod nogami. Z ciemności wiał bezgłośny, złośliwy wietrzyk. Od czasu do czasu przyczajał się, czekał, aż człowiek wychynie z ukrycia i wtedy atakował na całego. Na kablach telefonicznych pozamarzały lodowe osłonki, a porywisty wiatr targał drutami i strącał z nich podłużne połówki lodowych rurek. Zanim doszedłem do knajpy, wiedziałem już z całą pewnością, że trzeba było albo siedzieć w domu, albo zabrać przeklęty samochód. Taki był mróz.

Do oberży wchodziło się przez grube dębowe drzwi, których sforsowanie wymagało sporej siły. Fala zatęchłego ciepła i dymu tytoniowego mieszała się z głosem George'a Jonesa z grającej szafy. Pies knajpiany - chyba prawdziwy pies - imieniem Fanny zbliżył się do mnie merdając ogonem. Był tu stałym delegatem do witania gości. Zdjąłem rękawiczkę i poklepałem psi łeb. Był ciepły i wilgotny.

Dzięki ciemnościom na dworze, nietrudno było przestawić się na mizerne, zadymione światło wnętrza knajpy.

Znałem większość gości: Iana Phenda, Johna Esperiana, Neila Bulla, Vince'a Flynna, Dave'a Marty'ego.

– Jak leci, Tom?

Odwróciłem się i wytężyłem wzrok. Ryszard Lee podniósł się od stołu i podszedł do mnie.

– Czego się napijesz, Tom?

Pociągnąłem zakatarzonym nosem.

– Chyba piwo i malucha.

– Piwo i malucha. Niezła myśl, Johnny, dwa piwa i dwa maluchy!

Ryszard uśmiechnął się i podszedł jeszcze bliżej. Klepnął mnie w ramię i nie cofnął ręki.

– Chodź, Tom, siadaj ze mną. Szlag by trafił te barowe stołki, model tyłek-w-górę-przyjacielu.

Zdjąłem kurtkę i powiesiłem ją na drewnianym kołku przy drzwiach. Dopiero teraz poczułem i inne zapachy wnętrza: perfumy, frytki, mokra skóra zwierzęca.

– No więc jak tam, synku, jak ci się mieszka u Gąseczki? Już mamy co pić. Dzięki, Johnny.

Łyknąłem piwa i posmakowałem whisky. Jedno bardziej gorzkie od drugiego, whisky gęstym ogniem paliła żołądek. Ale razem nie było takie złe, po długim spacerze na mrozie.

– Coś mi się zdaje, szefie, że od wypadku Phila Moona Anna nie jest z ciebie specjalnie zadowolona, co?

– Jakbyś zgadł. – Wypiłem jeszcze kroplę whisky.

– No właśnie, tak mi się wydawało. Słyszałeś o dzieciaku Collinsów?

– Słyszałem. Dalej jest... psem?

Lee uśmiechnął się szeroko i dopił piwo.

– Pewnie tak. Jak ostatnio o nim słyszałem, było psem. Ale tu się wszystko tak szybko zmienia, że nigdy nic nie wiadomo. – Łyknął whisky i przestał się śmiać. – Jedno ci powiem, szefie – zdycham ze strachu.

Zgarbiłem się nad stolikiem, usiłując mówić jak najciszej.

– Ale dlaczego, Ryszardzie? Rozumiem, że inni – że się boją – ale ty jesteś przecież normalny?

Opuściłem głowę i patrząc na niego spod oka, ostatnie słowo wymówiłem szeptem.

– Do dupy z taką normalnością! Ja jestem, dobra, ale moja żona nie jest, i dzieciaki też nie. Wiesz, co się ostatnio dzieje z moją Sharon? Któregoś dnia rano, w zeszłym tygodniu, przewracam się z boku na bok – patrzę – a tu koło mnie na poduszce leży pieprzony latawiec! Uwierzyłbyś w coś takiego?

Nic się nie odezwałem, ale mu uwierzyłem. Sam byłem tego świadkiem podczas kolacji w domu Ryszarda.

– Ja ci kitu nie wciskam, Tom. Mówię ci, postacie Marshalla nagle powariowały. Nie dość, że dzieją się rzeczy, o których nie ma w „Kronikach", to jeszcze im się wszystko popieprzyło i zmieniają się w tę i wewtę. Taki dzieciak Collinsów, dajmy na to – spojrzysz raz – niemowlak, spojrzysz drugi raz – pieprzony pies! – Wyrwał mi spod ręki kieliszek z whisky i opróżnił go jednym haustem. – Co człowiek w takiej sytuacji ma robić? Doszło do tego, że boję się odwrócić, bo zaraz myślę, że żona albo któraś z córek w coś się zamieniła. A jak którejś tak zostanie?

– Co one na to?

Odłożyła marionetki na kanapę i obiema rękami przejechała po włosach. Dopiero ten gest uświadomił mi, jak bardzo jej włosy urosły. I nigdy jej nie mówiłem, jakie są ładne.

– Słyszałeś coś o kobiecej intuicji? Nie rób głupich min, Tomaszu, to prawda. Coś takiego istnieje. Dodatkowy zmysł, albo co. Pamiętasz, mówiłam ci, że wiedziałam, kiedy zacząłeś sypiać z Anną. Zresztą nieważne, możesz mi wierzyć lub nie, ale od chwili przybycia tutaj czułam, że jeżeli weźmiesz się za tę książkę, to między nami coś się popsuje. Robiłam co mogłam, żeby nas stąd wyrzucili jeszcze tego samego dnia. Przepraszam, ale taka jest prawda. Myślałam, że kiedy im powiem, co zamierzamy, za nic w świecie nie dopuszczą nas do Anny France.

– Sabotaż.

– Zgadza się. Próbowałam sabotować nasze przedsięwzięcie. Nie chciałam do niego dopuścić, po tym, jak tak bardzo byliśmy razem przez kilka dni. Bo czułam, że kiedy wejdziesz w tę książkę, wszystko się popsuje. I nie myliłam się, prawda?

Pozbierała marionetki i wyszła z pokoju. Tej nocy już więcej nie rozmawialiśmy.

W dwa dni później, przed halą targową, wpadłem prosto na panią Fletcher. Pchała metalowy wózek, na którym piętrzył się pięćdziesięciofuntowy wór ziemniaków i z dziesięć butli syropu z suszonych śliwek.

– Witaj, przybyszu. Rzadko cię ostatnio widuję. Taki zapracowany?

– Dzień dobry pani. Tak, dosyć.

– Anna mówi, że książka posuwa się jak najlepiej.

– Owszem, to prawda.

Myślałem o stu rzeczach naraz i doprawdy nie byłem w nastroju na zdawkowe pogawędki.

– Musisz jak najszybciej odesłać stąd Saxony, Tom. Wiesz o tym?

Gdzieś zaszczekał pies, zawarczał ruszający samochód. W chłodnym powietrzu rozniosła się woń spalin.

Kluska gniewu i rozpaczy utknęła mi w przełyku.

– Co komu za różnica, czy ona tu zostanie, czy wyjedzie? Jak Boga kocham, już mi bokiem wyłazi wysłuchiwanie dobrych rad. Komu przeszkadza Saxony?

Pani Fletcher przestała się uśmiechać.

– Anna nic ci nie mówiła? – Położyła mi dłoń na ramieniu. – Naprawdę nic ci nie powiedziała?

Ton jej głosu przeraził mnie.

– Nie, nic. A co mi miała mówić? O co pani chodzi?

Samochody i ludzie poruszali się obok nas jak ryby w akwarium.

– Czy widziałeś... Nie, nie mogłeś widzieć. Posłuchaj, Tom, jeżeli powiem ci za dużo, mogę mieć poważne kłopoty. Nie żartuję. To bardzo niebezpieczne sprawy. Powiem ci tylko tyle – udała, że poprawia coś w wózku z zakupami – powiem ci, że jeżeli nie odeślesz stąd Saxony, ona się rozchoruje. Rozchoruje się tak poważnie, że w końcu umrze. Tak było w „Kronikach". W ten właśnie sposób Marshall izolował Galen od reszty świata.

– A ja? Dlaczego ja się nie rozchoruję? Przecież też jestem obcy.

– Ty jesteś biografem. Jesteś chroniony. Tak to napisał Marshall i tego nie da się zmienić.

– Co mi tu pani opowiada o „Kronikach", pani Fletcher! Już od dawna nic nie dzieje się tak jak zostało zapisane w „Kronikach". Wszystko się pokiełbasiło.

– Nie, Tom, mylisz się. Odkąd zacząłeś pisać, znowu wszystko idzie jak należy – w tym cała rzecz. – Potarła usta wierzchem dłoni. – Musisz ją stąd odesłać, Tom. Posłuchaj mojej rady. Nawet jeżeli w „Kronikach" coś się pokręciło i Saxony nie zachoruje, to przecież wiadomo, że Anna jej tu nie chce. Tym się głównie powinieneś martwić. Anna to silna kobieta, Tom. Nie warto z nią zadzierać.

Pani Fletcher oddaliła się pospiesznie w swoją stronę. Szła przez parking, hurgocząc metalicznie wózkiem na zakupy.

*

– Bardzo jesteś zajęta?

Siekała łodygi selera na małym drewnianym klocku rzeźniczym, który jej kupiłem.

– Wyglądasz jakbyś był chory, Tomaszu. Nic ci nie jest?

– Nie, czuję się świetnie, Sax. Słuchaj, ja już cię nie chcę dłużej okłamywać. Powiem ci dokładnie, co o tym wszystkim sądzę, a tym mi powiesz, jaka jest twoja decyzja.

Odłożyła nóż i przeszła do zlewu, żeby umyć ręce. Wróciła do stołu, wycierając dłonie w żółtą ścierkę, której nigdy przedtem nie widziałem.

– Słucham.

– Sax, jesteś dla mnie kimś niesamowicie ważnym. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która widzi świat prawie tak samo jak ja. Czegoś podobnego nigdy przedtem nie doświadczyłem.
– A Anna? Ona nie widzi po twojemu?
– Nie, ona jest całkiem inna. Mój związek z nią jest całkiem inny. Wydaje mi się, że wiem dość dobrze, jak by to było, gdybyśmy zostali razem, ty i ja.
Saxony dalej wycierała ręce, długo, starannie.
– I to jest właśnie to, czego chcesz?
– To jest właśnie to, czego nie jestem pewien, Sax. Wydaje mi się, że chcę, ale nie wiem na pewno. Na pewno chcę skończyć tę książkę. To niezwykłe, że równocześnie, w tym samym momencie życia, natrafiłem na dwie sprawy tak bardzo dla mnie istotne. Wolałbym, żeby stało się inaczej, ale stało się właśnie tak. Dlatego muszę spróbować wybrnąć z sytuacji jak najlepiej, chociaż na pewno wyjdzie głupio i źle. Nieważne. Na razie wymyśliłem coś takiego – jeżeli się, oczywiście, na to zgodzisz – gdyby miało być tak jak ja chcę, to chciałbym, żebyś na pewien czas wyjechała. Do czasu aż skończę pisać wstępną wersję książki i uporządkuję sprawy z Anną.
Skrzywiła się gorzko i upuściła ścierkę na stół.
– A jeżeli nie uda ci się „uporządkować spraw" z Anną? To co wtedy, Tomaszu?
– Słusznie pytasz, Sax. Szczerze mówiąc, nie wiem, co wtedy. Wiem tylko, że tak jak jest teraz, jest nie w porządku. Nikt nie jest zadowolony, wszyscy są skrajnie upieprzeni tym całym zamieszaniem. To moja wina, wiem. Wiem – a jednak to się musi odbyć do końca, inaczej...
Podniosłem ścierkę i okręciłem ją sobie wokół pięści. Ścierka była wilgotna.
– Inaczej co? Co musi się odbyć do końca – pisanie książki czy sypianie z Anną?
– Dobrze, będę szczery: jedno i drugie. Jedno i drugie musi się odbyć do końca, jeżeli...
Saxony wstała. Wrzuciła sobie do ust mały słupek selera naciowego.
– Chcesz mnie stąd odesłać, żeby dopisać szkic książki i ewentualnie zakończyć „historię" z Anną. Tak chcesz, prawda? Dobrze, Tomaszu, wyjadę. Pojadę do St. Louis i będę tam czekała trzy miesiące. Będziesz mi musiał dać trochę pieniędzy, bo nie mam ani grosza. Ale po trzech miesiącach wyjadę z St. Louis. Bez względu na to, czy ty tam do mnie przyjedziesz, czy nie. – Skierowała się do drzwi. – Tyle ci jestem winna, ale w całej tej sytuacji zachowałeś się jak ostatni gnojek, Tomaszu. Dobrze, że w końcu na coś się przynajmniej zdecydowałeś.

*

W dniu, w którym odjeżdżała, padał śnieg. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale bliski świt wymalował wszystko na kolor błękitnoszary. Kiedy zobaczyłem, co się święci na dworze, sam nie byłem pewien, czy się cieszę, czy smucę, że może zasypie nas śnieg i Saxony jednak nie wyjedzie. Niepewnie podszedłem do okna, żeby mieć lepszy widok i zobaczyłem, jak wysoko śnieg zawiał ganek. Padał dalej, ale duże płatki dryfowały wolno, ukośnie, i przypomniałem sobie, nie wiem skąd, że to oznacza, że śnieg wkrótce przestanie padać. Dom nie zdradzał jeszcze śnieżnej niespodzianki: podłoga pod bosymi stopami była ciepła i chociaż miałem na sobie tylko slipy i górę od piżamy, nie czułem chłodu.
Śnieg. Mój ojciec go nienawidził. Kiedyś był zmuszony kręcić film zimą w Szwajcarii i nigdy nie wyszedł z szoku. Lubił okolice ciepłe, tropikalne. Basen na podwórku za domem był specjalnie dla niego podgrzewany do co najmniej trzystu stopni Fahrenheita. Raj ojciec wyobrażał sobie jako nieustającą falę upałów w dżungli amazońskiej.
Saxony zabierała tym razem tylko jedną walizkę. Reszta jej rzeczy – notatki, marionetki i książki – zostawała ze mną w Galen. Nie mówiła mi, co zamierza robić w St. Louis, ale trochę się zmartwiłem, że nie spakowała marionetek ani narzędzi. Jej torba stała na podłodze pod oknem. Popchnąłem ją o parę cali w bok bosą nogą. Co będzie za trzy miesiące? Gdzie ja będę? A książka? I wszystko? Nie, nie wszystko – Galeńczycy będą w swoim Galen, tak samo Anna.
Saxony jeszcze spała, kiedy chyłkiem zgarnąłem z krzesła swoje ciuchy i na palcach wymknąłem się do łazienki, żeby się ubrać. Postanowiłem przyszykować prawdziwe pożegnalne śniadanie; w tym celu zakupiłem nawet pokaźnego grapefruita prosto z Florydy.
Parówki, jajecznica z kwaśną śmietaną, świeży chleb pełnoziarnisty i grapefruit. Wyjąłem wszystko z lodówki i ułożyłem na stole w rzędzie, jak wojsko. Śniadanie dla Saxony. W południe już jej tu pewnie nie będzie. Koniec z włosami na umywalce, koniec awantur o Annę, koniec Rocky'ego i Bullwinkle'a w telewizji o czwartej po południu. Koniec, koniec z tym wszystkim. Zabrałem się do przyrządzania śniadania jak szalony kuchmistrz, bo już zaczynałem za nią tęsknić, chociaż nawet jeszcze nie wstała. Weszła do kuchni w tym samym stroju, który miała na sobie w dniu, w którym się poznaliśmy. Z tego wszystkiego spaliłem trzy parówki.
Saxony zapytała, czy byłbym uprzejmy zadzwonić na dworzec autobusowy i dowiedzieć się, czy

Road, ponieważ raz zmierzyli czas przejazdu i okazało się, że ta droga jest o cztery minuty krótsza, chociaż z drugiej strony, na Interstate można się było przez milę, dwie, solidnie rozpędzić.
Wiedziałem o tym wszystkim tak dokładnie, bo raz wybrałem się z nimi na kręgle, a oni po drodze omawiali we czwórkę blaski i cienie środowych i piątkowych wieczorów.
Tego wieczoru, kiedy zdarzył się wypadek, jechali Interstate. Larry za szybko zjeżdżał z autostrady swoim fioletowym 442, wpadł na podłużną ślizgawkę i pędząc wężykiem od bandy do bandy, skosił po drodze znak stopu zatknięty u stóp zjazdu. Z boku najechała na nich ciężarówka firmy Stix, Baer i Fuller, która pchała samochód jeszcze przez jakieś dwieście stóp po szosie.
Karoseria po stronie Larry'ego była sprasowana jak naleśnik – cud, że Larry wyżył. Jego żona, która siedziała za nim, miała złamane obie nogi i prawą rękę. Phil doznał poważnego wstrząsu mózgu, a żona Phila złamała obojczyk.
„Kroniki" o niczym podobnym nie wspominały.
O wypadku dowiedziałem się od Anny, która zadzwoniła do mnie ze szpitala okręgowego. Opowiedziała mi wszystko z detalami. Głos miała niepewny i przerażony. Z początku źle sobie tłumaczyłem jej zdenerwowanie, aż mi przypomniała, o co chodzi.
– Teraz już zupełnie nie rozumiem, co to ma znaczyć, Tomaszu.
W tle słyszałem krzątaninę, rozmowy, kogoś wywoływano przez megafon.
– Co?
– Po raz pierwszy od czasu, jak zacząłeś pisać biografię, coś poszło nie tak. Nie rozumiem tego.
– Słuchaj, Anno, to jeszcze o niczym nie świadczy. Może za wcześnie się ucieszyłaś? Jak wszystko może iść bez zakłóceń, skoro książka nie jest jeszcze ukończona?
Mówiąc to, zdumiałem się własnej pewności siebie. Mówiłem tak, jakby to była czysta formalność – ja skończę książkę, a Marshall France powstanie z martwych.
Czekałem, co powie Anna. Przez megafon wzywano niejakiego Doktora Bradshawa.
– Anno? Czy ktoś jest z tobą?
– Ryszard. – Odłożyła słuchawkę.

*

Pracowałem jak opętany. Po dwie, trzy, cztery strony rano, po południu lektura materiałów, wieczorem następne trzy albo cztery strony.
Szok poznania tajemnicy Galen nie minął, ale ponieważ wiodłem tam zwykłe, codzienne życie, musiałem zaakceptować ten świat. Byłem ćmą, a miasto płomieniem świecy – krążyłem wokół niego, często nie widząc innego wyjścia, jak tylko pisać i pisać.
Żyłem wewnątrz największej kreacji artystycznej w dziejach świata. Byłem skromnym kronikarzem życia jej twórcy. Czy moja biografia przywróci mu życie, czy też... Nie, nie, to wcale nieprawda. Chciałem powiedzieć, że wszystko mi jedno, czy moja biografia przywróci mu życie, czy nie, ale byłoby to łgarstwo. On sam uważał to za możliwe, a jego córka właśnie mnie wybrała na wykonawcę zadania. Między innymi dlatego wysłałem Saxony z Galen. Drugim powodem była, nie ukrywam, Anna, chociaż od dnia wypadku samochodowego nie kochaliśmy się za często. Zakładałem, że Ryszard bez skrupułów robi swoje, ale nawet to już mnie tak bardzo nie dręczyło, ponieważ całą energię – dosłownie całą energię – ładowałem w pracę. Nadal byłem ciekaw, dlaczego Anna z nim sypia, i miałem już na ten temat pewną hipotezę. Załóżmy, że Ryszardowi znudziło się mieszkać w Galen. Skoro jedynymi „normalnymi" mieszkańcami miasteczka byli Anna i on, to w jaki sposób Anna mogła go tu zatrzymać? W najprostszy – sypiając z nim. Facet pokroju Ryszarda nawet w najśmielszych marzeniach nie myślałby o zdobyciu takiej kobiety jak Anna France. Czyli dopóki go rajcowała i interesowała – należał do niej. I do Galen. Ciekaw byłem, czy żona Ryszarda wie, co go łączy z Anną.
Mało wychodziłem z domu. Pani Fletcher gotowała mi, a Anna wpadała co jakiś czas, żeby sprawdzić, jak postępuje praca. Saxony dzwoniła parę razy, ale nasze rozmowy były krótkie, oschłe i zdawkowe. Ja nie pytałem o Geoffa Wigginsa, ona nie pytała o Annę. Byłem zanadto zmęczony na intrygi i gierki, ale wiedziałem, że nie byłoby roztropnie mówić Saxony, jak daleko zabrnąłem w celibat. W końcu tak ją zirytowały nasze głupie rozmówki przez telefon, że za którymś razem kazała mi się pocałować w nos i wyłączyła się w połowie zdania.
Joanna Collins urodziła chłopczyka, okaz zdrowia, który wedle „Kronik" miał być dziewczynką – okazem zdrowia.
Anna przyszła do mnie i zażądała tekstu do wglądu. Zdumiałem sam siebie, bo zacisnąłem zęby i twardo odmówiłem. Anna poszła sobie, wcale nie zadowolona.
Saxony zadzwoniła z pytaniem, czy zdaję sobie sprawę z tego, że minął już miesiąc.
Odpisałem Tomowi Rankinowi, że bardzo wątpliwe, czy zdążę na rozdanie dyplomów w czerwcu.

Tom Rankin był młodzieńcem o urodzie solonego węgorza: chudy, przygarbiony, długie tłuste włosy, wymięte ubranie, duże okulary w grubych ramkach, o wiecznie zapaćkanych szkłach. Zawsze podejrzewałem, że nie jest idiotą, tylko brak mu motywacji. Należał do tych, co przelecą książkę po łebkach na dzień przed klasówką i zawsze jakoś wyciągną na te trzy – trzy mniej.

W wyobraźni ujrzałem kolejny wariant „przyszłości Abbeya" – skończyć biografię i wracać na Wschód razem z Saxony. Uczyć w szkole na pół etatu (może nawet w tej samej, skoro Rankin napisał do mnie taki list), a zresztę czasu poświęcić na pisanie. Kupić stary dom z oknami do ziemi i mosiężną wizytówką na drzwiach, dom, w którym byłoby dość miejsca na oddzielny gabinet dla każdego z nas. Nie wiem, czy to była robota Geoffa Wigginsa, ale po tym telefonie bez przerwy myślałem o Saxony.

Rozdział VIII

– Czy ktokolwiek w ogóle wyjeżdżał z Galen? Ktoś z ludzi Marshalla? – zapytałem panią Fletcher.

Zaprosiła mnie któregoś wieczoru do siebie na górę, na filiżankę „organicznego kakao" – cokolwiek miało znaczyć to określenie. Smakowało jak kakao.

– Wyjeżdżał? A dużo przeczytałeś z „Kronik"?

– Doszedłem do stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt cztery.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt cztery? Była taka jedna panienka, nazywała się Susy Dagenais, ale o niej można przeczytać dopiero w tomie z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego. Chyba że chcesz, to ci opowiem.

– Chciałbym.

– Susy Dagenais to była dziewczyna-pistolet. Należała do tych, o których kiedyś pytałeś – tych, co nie chcieli znać swojego losu. Wściekała się, że jest jedną z nas. Stale powtarzała, że czuje się jak błazen w cyrku i że któregoś dnia odejdzie, bo nie wierzy, że wzięła się stąd, skąd się wzięła. Zdaje się, że i pan szanowny coś na ten temat wie, prawda, Tom? Ledwo dziecko zaczyna rozumować, rodzice tłumaczą mu, kim jest i dlaczego jest takie nadzwyczajne. Więcej się dziecku nie mówi, aż ukończy osiemnaście lat, ale niektóre sprawy trzeba wyjaśnić odpowiednio wcześnie, żeby dzieciak nie zrobił jakiegoś głupstwa – na przykład nie nawiał z domu.

– Tak, to wiem, ale co z tą Susy?

– To była wspaniała dziewczyna, ładna, bystra. Wszyscy ją tu bardzo lubili, ale nie dało się zrobić nic, żeby ją zatrzymać. Spakowała manatki, wsiadła w autobus do Nowego Jorku i tyle ją widzieli. Bidulka, pobyła w tym Nowym Jorku raptem kilka dni i umarła.

– Ale przecież Marshall jeszcze wtedy żył. Dlaczego on jej nie powstrzymał? Przecież mógł, gdyby tyko zechciał.

– Oj, Tom, Tom, ty w ogóle nie myślisz. Owszem, Marshall żył i mógł ją powstrzymać.

– Ale nie powstrzymał!

– Nie, nie powstrzymał. Ruszże głową, Tom. Jak myślisz, dlaczego?

– Przychodzi mi do głowy tylko jedna odpowiedź – chciał wszystkim pokazać, że z nim nie ma żartów. Posłużył się nią jako przykładem. To obrzydliwe.

– Zgadza się. Trafiłeś w sedno. Chociaż wahałabym się użyć słowa „obrzydliwe".

– Jak to nie obrzydliwe? Przecież wymyślił tę nieszczęsną postać tak, żeby od początku nie chciała wiedzieć, potem napisał, że wyjeżdża z Galen i po tygodniu umiera. To nie jest obrzydliwe?

– Od tamtego czasu nikt nie próbował uciekać. A ona była do końca szczęśliwa – pewna, że się wyrwała. A nie wyrwała się.

– Bo on tak napisał! Nie miała wyboru!

– Umarła robiąc to, na co miała ochotę, Tom.

*

Phil Moon i Larry Stone pracowali razem na poczcie w Galen. Przyjaźnili się jeszcze na długo przedtem, zanim obaj poślubili siostry Chandler, ale podwójne małżeństwo jeszcze bardziej ich zbliżyło.

Obaj szaleli za grą w kręgle. Obaj byli właścicielami drogich brunszwickich kul, z workami do kompletu i gdyby grali jeszcze odrobinę lepiej, mieliby szanse na zawodowstwo. Ponieważ jednak byli tacy jacy byli, grywali w kręgle co środa i co piątek wieczorem w klubie „Harmony Lanes" u Scappy'ego, w pobliskim miasteczku Frederick. Brali na zmianę samochód to jednego, to drugiego, a koszty benzyny dzielili na pół. Od czasu do czasu żony wybierały się z nimi, ale wiedząc, jak mężowie cenią sobie kawalerskie wieczory, szły wtedy do kina, do restauracji albo na zakupy do domów towarowych w Frederick.

Do Frederick można było dojechać dwiema drogami. Albo wskoczyć na autostradę Interstate i zjechać najbliższą odnogą, albo wybrać Garah's Mill Road, mniej więcej równoległą do Interstate, która prowadziła do ronda w Frederick, a stamtąd można już było odbić w dowolnym kierunku. Na ogół jeździli Mill



autobus do St. Louis kursuje normalnie, mimo śniegu. Zadzwoniłem z aparatu w holu na dole. Patrzyłem przy tym na śnieg przez częściowo oszklone frontowe drzwi. Przestał padać.

– Śnieg przestał padać!

– Widzę. Nie cieszysz się?

Skrzywiłem się i postukałem nogą w podłogę.

– Dworzec autobusowy Galen, słucham.

– Dzień dobry, co to jak chcia... chciałbym się dowiedzieć, czy autobus do St. Louis, dziewiąta dwadzieścia osiem, odjedzie dzisiaj zgodnie z rozkładem?

– A czemu nie? – głos przypominał automat.

– No, wie pan, ten śnieg, i w ogóle...

– Ma łańcuchy. Ten autobus jeździ zawsze, szefie. Czasami się spóźni, ale jeździ zawsze.

Saxony weszła do holu z połówką grapefruita w jednej ręce i łyżeczką w drugiej. Zasłoniłem mikrofon i przekazałem jej informację. Zbliżyła się do szyby w drzwiach i wyjrzała na śnieg.

Odłożyłem słuchawkę i kompletnie nie wiedziałem, co robić – wracać do kuchni czy podejść do niej i zobaczyć, jak się zachowa. Stchórzyłem i poszedłem do kuchni.

Moja jajecznica była jeszcze ciepła, więc nałożyłem sobie na talerz kwaśnej śmietany i pospiesznie zjadłem wszystko.

– Nie kończysz śniadania, Sax? Do St. Louis daleka jazda!

Ponieważ się nie odezwała, uznałem, że najlepiej będzie dać jej spokój. Jedząc wyobrażałem sobie, jak Saxony w tym czasie drąży swoją połówkę grapefruita, stojąc w drzwiach frontowych i patrząc, jak śnieg kończy padać.

Dopijając drugą filiżankę kawy, zacząłem się trochę niepokoić. Jej talerz i filiżanka były pełne.

– Sax?

Rzuciłem serwetkę na stół i wstałem z krzesła. Nie było jej w holu, nie było tam też jej płaszcza, no i walizki. Wydrążoną połówkę grapefruita i łyżeczkę zostawiła na kaloryferze koło drzwi. Zadzwonił telefon. Rzuciłem przekleństwo i podniosłem słuchawkę.

– Tak? Co jest?

– Tomasz? – to była Anna.

– Słuchaj, Anno, nie gniewaj się, ale w tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać. Saxony przed chwilą wyszła z domu i muszę ją dogonić, zanim odjedzie.

– Co takiego? Nie bądź śmieszny, Tomaszu. Skoro wyszła nie mówiąc ci, że wychodzi, to chyba oczywiste, że nie życzyła sobie, żebyś ją odprowadzał. Daj jej święty spokój. Ona nie ma ochoty się z tobą żegnać. Chyba potrafisz to zrozumieć.

Rozwścieczyła mnie. Miałem dość jej zbawiennych rad. Chciałem powiedzieć Saxony kilka rzeczy, zanim odjedzie. Obiecałem Annie, że zadzwonię później i odłożyłem słuchawkę.

Nie zdążyłem jeszcze zejść z ganku, a już mróz wyssał z mojego ciała wszelkie zapasy ciepła. Kiedy zaś mijałem bramę, zęby szczękały mi rozgłośnie. Ulicą powoli przejechał samochód, łańcuchy na kołach pobrzękiwały, śnieg pryskał spod kół. Wiedziałem, że do odjazdu autobusu została jeszcze cała godzina, ale mimo to puściłem się pędem. Na nogach miałem ocieplane buty robocze, które sprzedawca reklamował jako niezawodną ochronę przed mrozami do trzydziestu stopni poniżej zera. Za to biegało się w nich jak na zwolnionym filmie. Poza tym, zapomniałem rękawiczek, więc biegłem z rękami w kieszeniach. Zapomniałem też wełnianej czapki, skutkiem czego już mnie bolały uszy, a nawet policzki.

Kiedy zobaczyłem Saxony, przestałem biec. Nie wiedziałem, co chcę jej powiedzieć, ale coś jej chciałem powiedzieć zanim odjedzie.

Musiała mnie usłyszeć, bo odwróciła się zanim jeszcze ją dogoniłem.

– Niepotrzebnie, Tomaszu.

Nie mogłem złapać tchu, oczy łzawiły mi z zimna.

– Dlaczego tak wyszłaś, Sax? Dlaczego na mnie nie poczekałaś?

– Chyba mogę dla odmiany i ja zrobić coś czasem po swojemu? Czy zgodzisz się, żebym odjechała stąd w swoim stylu?

– No coś ty, Sax...

Złość ulotniła się z jej oczu i Saxony przymknęła je na parę sekund. Odezwała się do mnie z zamkniętymi oczami.

– I tak jest mi ciężko, Tomaszu. Proszę cię, nie utrudniaj. Wracaj do domu i weź się do pracy. Ja sobie poradzę. Mam książkę, posiedzę w poczekalni i poczytam do odjazdu autobusu. Dobrze? Zadzwonię do ciebie pod koniec tygodnia. Dobrze?

Uśmiechnęła się do mnie przelotnie i sięgnęła po stojącą na ziemi torbę. Nawet nie wyjąłem rąk z kieszeni. Saxony odeszła o parę chrzęszczących kroków i poprawiła chwyt walizki.

Ale nie zadzwoniła pod koniec tygodnia. Od środy specjalnie siedziałem co wieczór w domu, ale Saxony nie dzwoniła. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle, czy robi mi na złość, czy zapomniała, czy co. Ponieważ jednak nie należała do osób, które zapominają o takich rzeczach, byłem niespokojny. W wyobraźni widziałem ją jak wspina się mozolnie po schodach obskurnej kamienicy z brązowym szyldem w oknie na parterze, na którym fantazyjne litery reklamowały pokoje do wynajęcia. Puka do drzwi, drzwi się otwierają i obłąkany gwałciciel albo morderca z nożem kuchennym zaprasza ją do środka na herbatę.

Druga wersja była jeszcze gorsza: nowiutki, lśniący budynek, właściciel młody, wzrost sześć stóp dwa cale, popielaty blondyn, sam seks. Moja sytuacja była beznadziejna. Jeżeli spędzałem noc w domu, łóżko wydawało mi się wielkie i zimne jak ocean. Jeżeli zaś nocowałem u Anny, przez cały czas myślałem o Saxony. Wiedziałem, rzecz jasna, że gdyby Saxony była na miejscu, pragnąłbym jej znacznie mniej i znów byśmy się kłócili, ale nie było jej na miejscu, a ja tęskniłem. Tęskniłem jak głupi.

Zadzwoniła we wtorek wieczorem. Była wesoła, ożywiona i sypała nowinkami. Jej dawny kolega ze studiów mieszkał kiedyś w St. Louis. Okazało się, że mieszka tam nadal. Saxony znalazła sobie nawet pracę, na godziny, w przedszkolu. Dwa razy zdążyła być w kinie, widziała nowy film Roberta Altmana. Jej kolega nazywał się Geoff Wiggins.

Zrobiłem wszystko, żeby się nie udławić. Uśmiechnąłem się kwaśno do słuchawki, jakby to była sama Saxony i zapytałem, czym się trudni szanowny Geoff. Był wykładowcą architektury na Uniwersytecie Waszyngtona. Pytałem dalej – czy Saxony żyje... to jest, czy mieszka u niego do czasu aż znajdzie sobie własne lokum? Ależ właśnie najfajniejsze jest to, że nie musi się za niczym rozglądać, bo Geoff zaprosił ją do siebie i może mieszkać u nieeegooo...

Podała mi adres i telefon szanownego Geoffa, po czym chciałem jak najgodniej sfinalizować naszą konwersację, ale muszę przyznać uczciwie, że nie za bardzo mi to wyszło. Odłożyłem słuchawkę i poczułem się jak zmieszany z błotem.

*

Dostałem list od ucznia. Już samo nazwisko nadawcy było dla mnie dostatecznym szokiem, a zawartość koperty załatwiła mnie na dobre.

Szanowny Panie Abbey.

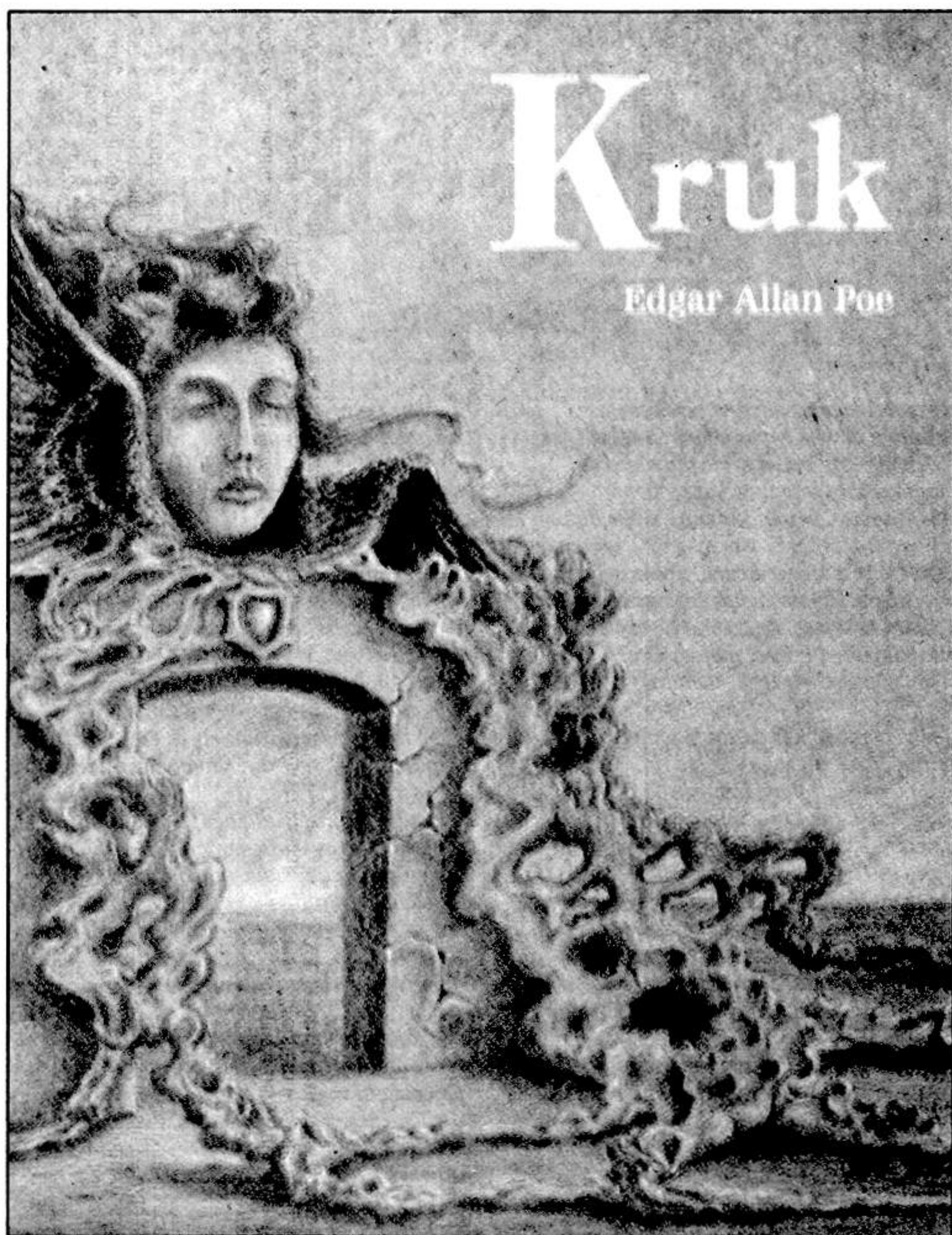
Co u Pana słychać? Przypuszczam, że się Pan cieszy, że nie musi tu być w tym roku. Ja jeszcze nie znam tego uczucia, ale poznam je w czerwcu, kiedy skończę szkołę, chociaż tak trudno w to uwierzyć. Hobart już mi zaliczył, więc mogę się nie przemęczać. Dużo chodzę na telewizję, a nawet czytam trochę książki z tej listy, którą Pan nam dał w tamtym roku mówiąc, że nam się spodobają.

Jak na razie najbardziej spodobały mi się „Młode lwy" (Irwina Shaw), chociaż „Metamorfoza" (Franza Kafki) i „Spójrz ku domowi, aniele" (Thomas Wolfe'a) też mogą być. Wydaje mi się, że pisząc o książkach najlepiej wyjaśnię Panu, dlaczego piszę ten list. Siedzę w tej szkole od prawie sześciu lat (i może mi Pan wierzyć, że było to sześć długich lat) i uczyli mnie już wszyscy nauczyciele (albo prawie wszyscy). Któregoś dnia zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że Pan był najlepszy. Nie byłem u Pana piątkowy i wiem, że za dużo rozrabialiśmy we dwóch z kolegą Romero, ale niech mi Pan wierzy, że w ubiegłym roku skorzystałem z lekcji angielskiego więcej niż przez całą szkołę. Dyskusje na lekcjach zawsze były interesujące i pamiętam, że raz czy dwa przeczytałem coś, co Pan kazał i nie podobało mi się, a potem, jak Pan to omówił na lekcji, to albo zaczynało mi się podobać, albo przynajmniej wiedziałem, co autor chciał przez to powiedzieć. Zawsze prosił nas Pan o konkretne przykłady w wypracowaniach, więc wyjaśniam, że miałem na myśli „Waldena", o którym wszyscy mówili, że jest, z przeproszeniem, do bani. Ale kiedy Pan go omówił, zrozumiałem, co miał na myśli Thoreau, chociaż książka dalej mi się nie podobała.

W tym roku mamy angielski ze Stevensonem (jesteśmy akurat w połowie „Króla Leara") i korzystając z tego, że Pan jest tak daleko, chcę Panu powiedzieć, że w porównaniu z Panem, Stevenson jest do kitu. Połowę lekcji przesypiamy, a przez drugą połowę robię rysunki w zeszycie. U Pana też rysowałem, ale chcę, żeby Pan wiedział, że zawsze słuchałem, co Pan mówi i chociaż stawał mi Pan tylko tróje, to i tak nie pamiętam lepszych lekcji, jak słowo honoru.

Mam nadzieję, że dobrze się Panu wiedzie. Może zdąży Pan na rozdanie dyplomów, to się Pan pośmieje, kiedy będę odbierał swój. Ha! Ha!

Z poważaniem
Tom Rankin



Jacek Gaudasiński

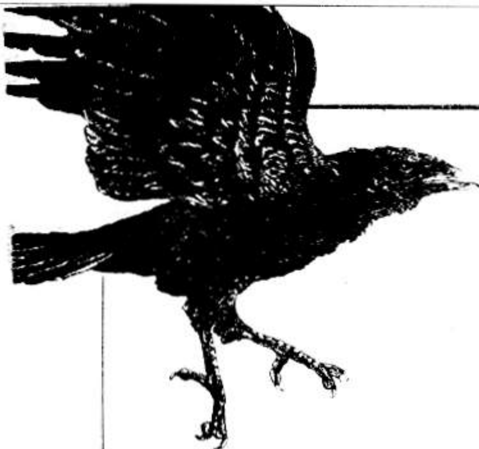
Poezja Edgara Allana Poego, w przeciwieństwie do jego nowelistyki, nigdy nie cieszyła się popularnością czytelników. Któż dziś pamięta, że autor „Zagłady Domu Usherów" napisał około 80 wierszy opublikowanych w kilku zbiorach, takich jak „Tamerlane and the Other Poems" (1827), „Poems" (1831), „The Raven and Other Poems" (1845). W niepozornej objętościowo twórczości pojawiają się tradycyjne tematy: śmierci, miłości, cierpienia, samotności, dążenia do szczęścia, siły, wielkości. I w tej niepozornej, zapomnianej już dziś twórczości jeden tylko wiersz cieszył się zawsze niesłabnącą popularnością czytelników, przysporzył Poemu sławy, choć większość krytyków nie uznawała go wcale za arcydzieło. Ów wiersz to „Kruk" („The Raven") – ballada dedykowana angielskiej poetce Elizabeth Barret, pisana w szczególnie trudnym okresie życia Poego, pełnym wahań, depresji, rozterek, dwa lata przed zgonem jego żony – Virginii.

Autor „Śmierci szkarłatnej" opowiada w swojej balladzie banalną, w gruncie rzeczy, historię. Oto oswojony kruk, szukający schronienia podczas szalejącej burzy, trafia do oświetlonego pokoju studenta, który – zatopiony w lekturze – usiłuje zapomnieć o rozstaniu z ukochaną Lenorą. Bohater wpuszcza ptaka do swojego mieszkania, ten siada na popiersiu bogini Pallas, a student, zaskoczony wizytą nocnego gościa, pyta o jego imię. Kruk, ku zdumieniu studenta, odpowiada „nevermore" („nigdy więcej") – prawdopodobnie dlatego, że jest to jedyne słowo, które zapamiętał od poprzedniego właściciela. Ale to wystarczy. „Nevermore" wzbudza melancholijne, depresyjne skojarzenia, sprawia, że na nowo ożywają wspomnienia, gorzkie rozliczenia z przeszłością. Żart nabiera teraz innego sensu, przeradza się w ponurą przepowiednię. Bohater zadaje krukowi kolejne pytania znajdując masochistyczną satysfakcję w torturowaniu samego siebie: odpowiedzi ptaka pogłębiają jego depresję i w ostatniej scenie doprowadzają niemalże do obłędu.

Ballada E. A. Poego zachowała swą aktualność do dnia dzisiejszego i to nie tylko dlatego, że mówi o problemach ważnych zawsze i wszędzie, w każdej epoce, sytuacji. Stanowi bowiem ciekawy przykład intelektualnego opracowania materii poetyckiej, celowego, wręcz wyrafinowanego spekulowania na emocji czytelnika. Sam Poe przyznawał, że praca nad utworem postępowała z „precyzją i niezachwianą konsekwencją matematycznego dociekania". Znamy genezę tego poematu, wiemy jak Poe go tworzył, jakich środków artystycznych używał, aby wzruszyć słuchacza, przekonać go, poruszyć jego serce (proces ów opisał w słynnej „Filozofii kompozycji" z roku 1846, która zainspirowała naszego Stefana Grabińskiego do rozważań nad „Opowieścią o maszyniście Grocie", zob. „Fantastyka" nr 6/84). Nieczęsty to przypadek, ażeby do twórczości poetyckiej, obdarzonej charyzmą profetyzmu, emocjonalizmu, indywidualizmu wmieszał się intelekt, aby natchnienie zostało wymienione na wyrachowanie (przynajmniej, jeśli chodzi o poezję romantyczną, która osiągała triumfy przed E. A. Poem). Ale tym rzadsza do sytuacja, że autor ukazał całkiem otwarcie, jakich środków używał, jak „podszywał się" pod natchnionego poetę – obnażył się zatem, dokonał swoistej autoanalizy, zdemaskował psychologiczny mechanizm oddziaływania wszelkiej poezji (tego nie uczynili po nim nawet autorzy Awangardy).

„Kruk" był wielokrotnie przerabiany (podobno aż 15 razy), toteż ogrom pracy, jaki włożył Poe w konstrukcję swojej ballady jest doprawdy zdumiewający. I wydaje się,

dokończenie na stronie 44



Kruk

Edgar Allan Poe

Noc już była, północ zgoła; rozmyślałem w pocie czoła
Nad trwożliwą tajemnicą z dawna zapomnianych ksiąg,
Przysypiając niespodzianie, gdy rozległo się pukanie,
Jakby ciche chrobotanie w mój samotny, senny dom.
„Jakiś gość", powiadam sobie, „w mój samotny stuka dom,
Nocny gość - i tylko on".
Ach, dokładnie to pamiętam: zima, grudzień, noc posępna,
Ogień, co dogasał w mękach, słał na ziemię legion zmor.
Nagle zapragnąłem świtu, wiedząc, że już nie wyczytam
Z ksiąg pociechy i dosytu po najmilszej mej Lenore!
Tej, o której aniołowie jedni mówią dziś - Lenore -
Ja już nigdy! Nevermore!
Skrzętny, smętny, jedwabisty szelest zasłon płomienistych
Płoszył, groził, budził jakiś lęk nieznany dotąd mi,
Więc, by serce oszalałe uspokoić, powtarzałem:
„Puka ktoś - a ja zaspałem. Puka ktoś do moich drzwi.
Zagapiłem się, zaspałem, a tu puka ktoś do drzwi!
Nocny gościu - czy to ty?"
Zaraz jednak, czując w duszy nowy przypływ animuszu,
„Panie!", mówię, „czy też - Pani! Wybaczenia udziel mi,
Gdyż jest faktem, że drzemałem i pukania nie słyszałem,
Było bowiem tak nieśmiałe twe pukanie do mych drzwi,
Żem nie wiedział - czy je słyszę, czy to tylko mi się śni -"
Otworzyłem. Noc i mgły.
Martwą ciszę wiercąc wzrokiem, nie ruszyłem się ni krokiem,
Tylko drżałem, śniąc na jawie sny, o jakich nie śnił nikt.
Ciemność była niewzruszona. Cisza była niezgłębiona.
Tylko ciszy szept - „Lenora!" - zjawił się i zaraz znikł.
To mój własny szept - „Lenora!" - echo oddawało mi.
Echo. Ciemno. Nocne mgły.
Drzwi zamknąłem. Stoję w cieniu, z biedną duszą na ramieniu,
Gdy wtem słyszę znów pukanie, donośniejsze niźli wprzód.
„To z pewnością coś na dworze, coś u okna wisi może;
Sprawdzę, co też to być może i wyjaśnię cały cud.
Tylko serce uspokoję i wyjaśnię cały cud:
Wiatr kołacze do mych wrót"
Szarpię okno - nic! - a potem, z wielkim szumem i trzepotem
Kruk postawny wszedł do środka, zwiastun dawnych, świętych dni.
Ni dzień dobry, ni ukłonu, tylko wzleciał bez pardonu,
Jakby był u siebie w domu, nad komnaty mojej drzwi.
Na Pallady siadł popiersiu, które strzegło moich drzwi.
Przyszedł, wzleciał, siadł i tkwi.
Był mój gość ebonitowy tak dostojny i surowy,
Żem uśmiechnął się wbrew sobie i tak mówię, czyniąc skłon:
„Chociaż łeb twój łysy nieco, widać, żeś jest nie byle co.
Groźny, górny i złowrogi - skąd przybywasz? Jak cię zwą?
Czy z plutońskich brzegów nocy tu przybywasz? Jak cię zwą?"
„Nevermore!", powiada on.
Zadziwiłem się niezmiernie, że przemawia tak misternie,
Chociaż sensu w jego mowie nadaremnie szukać by,
Bo czyż widział kto nad drzwiami, na popiersiu Pallas pani
Ptaka, który by powiadał wprost, że imię jego brzmi -
Ptaka, czy też inną zgoła bestię, której imię brzmi
„Nigdy więcej?" Chyba nikt.
A kruk sterczał niewzruszenie na Pallady biustu scenie,
Rzekłszy jedno tylko słowo, jakby duszę zawarł w nim.
Ani słowa już nie wznieci, nieruchomym ślipiem świeci,
Aż szepnąłem: „On odleci, rzuci domu mego próg.
Zniknie za dnia jak nadzieje, rzuci mój samotny próg".
„Nevermore!", zakracze Kruk.
Wypowiedział to tak nagle, tak dorzecznie i dosadnie,
Żem aż drgnął, lecz myślę zaraz: „Jedno słowo tylko zna,
Widać jego pan poprzedni, bólem zdjęty, błędny, biedny,
Sforą plag prześladowany, wciąż powtarzał tylko to -
Lotnych plag ścigany sforą mówił w kółko tylko to: -
»Nigdy więcej! Nevermore!«"
Uśmiechając się wbrew sobie kruczoczarnej tej osobie
Miękki fotel przysunąłem gdzie popiersie, ptak i drzwi
I w poduszki zapadając, wnet zacząłem łączyć w całość
Luźne myśli, pragnąc dociec, co też ów z zaświatów ptak,
Ów posępny, posągowy, smętny i złowróżbny ptak
Miał na myśli, mówiąc tak.
Tym swe myśli zatrudniłem, lecz nic głośno nie mówiłem
Do ptaszyska, co płomiennym okiem świdrowało mnie.
Snułem racje i dowody, głowę wsparłszy dla wygody
Na obiciu aksamitnym, gdzie blask lampy ślizgał się;
Tam, gdzie ona swojej głowy, gdzie blask lampy ślizga się,
Nie położy już - o nie!
Wtem w powietrzu gęstym, parnym - woń kadzideł niewidzialnych;
Puch kobierca stopą smukłą musnął Seraf, co je niósł.
„Przez anioły, znaki święte, Pan Bóg zsyła ci nepenthes!"
- zawołałem w głos - „Nepenthes, byś zapomniał o Lenore!
Pij, nieszczęsny, pij nepenthes, i zapomnij o Lenore!"
Kruk mi na to: „Nevermore!"
„Mów, Proroku z piekła rodem! Czyś jest bies, czy bestia z dziobem,
Czy Kusiciel, czy kurzawa śle cię tutaj na mój próg
- O! Sterany, lecz nietknięty! - na bezludny ląd zaklęty,
Na ten dom mój grozą zdjęty - mów mi prawdę, błagam, mów:
Czy jest balsam w Gileadzie, abym ją zapomnieć mógł?"
„Nevermore!", zakracze Kruk.
„Mów, Proroku z piekła rodem! Czyś jest bies, czy bestia z dziobem,
Na to niebo wysklepione, gdzie nasz wspólny mieszka Bóg -
Czy w Edenie żyje ona? I czy wezmę ją w ramiona,
Tę, o której tylko anioł po imieniu mówić mógł?
Moją świętą, jasną, czystą, gdy w Edenu wejdę próg?"
„Nevermore!", zakracze Kruk.
„Gdy tak twardy jest twój upór - precz stąd, diable! precz stąd, kruku!
Wracaj w burzę, skąd przybyłeś i w plutoński nocy brzeg!
Czarne pióro niech, mój panie, nawet tutaj nie zostanie
Na pamiątkę tego kłamstwa, którym uraczyłeś mnie!
Zabierz dziób z mojego serca i Pallady opuść biust!"
„Nevermore!" - Więc nigdy już?
Zamilkł po tej odpowiedzi i wciąż siedzi, i wciąż siedzi,
Na Pallady biuście bladym; nad nim lampy złota kruż.
Szklanym wzrokiem w dal wpatrzony, niczym demon rozmarzony;
Na podłogę cień dziobaty rzuca lampy złota kruż,
Cień, co duszę mą nieszczęsną, jak posępny srogi stróż,
Więzić będzie - zawsze już.

Przełożyła **Jolanta Kozak**



The Raven

Edgar Allan Poe

Once upon a midnight dreary, while I pondered, weak anu weary,
Over many a quaint and curious volume of forgotten lore –
While I nodded, nearly napping, suddenly there came a tapping,
As of someone gently rapping, rapping at my chamber door.
„'T is some visiter," I muttered, „tapping at my chamber door –
Only this and nothing more."

Ah, distinctly I remember, it was in the bleak December;
And each separate dying ember wrought its ghost upon the floor.
Eagerly I wished the morrow; – vainly I had sought to borrow
From my books surcease of sorrow – sorrow for the lost Lenore –
For that rare and radiant maiden whom the angels name Lenore –
Nameless here for evermore.

And the silken, sad, uncertain rustling of each purple curtain
Thrilled me – filled me with fantastic terrors never felt before;
So that now, to still the beating of my heart, I stood repeating
„'T is some visiter entreating entrance at my chamber door –
Some late visiter entreating entrance at my chamber door;
This it is and nothing more."

Presently my soul grew stronger; hesitating then no longer,
„Sir," said I, „or Madam, truly your forgiveness I implore;
But the fact is I was napping, and so gently you came rapping,
And so faintly you came tapping, tapping at my chamber door,
That I scarce was sure I heard you" – here I opened wide the door;
Darkness there and nothing more.

Deep into that darkness peering, long I stood there wondering, fearing
Doubting, dreaming dreams no mortal ever dared to dream before;
But the silence was unbroken, and the stillness gave no token,
And the only word there spoken was the whispered word, „Lenore!"
This I whispered, and an echo murmured back the word „Lenore!"
Merely this and nothing more.

Back into the chamber turning, all my soul within me burning,
Soon again I heard a tapping somewhat louder than before.
„Surely," said I, surely that is something at my window lattice:
Let me see, then, what thereat is, and this mystery explore –
Let my heart be still a moment and this mystery explore; –
'T is the wind and nothing more!"

Open here I flung the shutter, when with many a flirt and flutter
In there stepped a stately Raven of the saintly days of yore.
Not the least obeisance made he; not a minute stopped or stayed he;
But, with mien of lord or lady, perched above my chamber door
Perched upon the bust of Pallas just above my chamber door –
Perched, and sat, and nothing more.

Then, this ebony bird beguiling my sad fancy into smiling,
By the grave and stern decorum of the countenance it wore,
„Though thy crest be shorn and shaven, thou," I said, „are sure no craven,
Ghastly grim and ancient Raven wandering from the Nightly shore –
Tell me what thy lordly name is on the Night's Plutonian shore!"
Quoth the Raven. „Nevermore!"

Much I marvelled this ungainly fowl to hear discourse so plainly,
Though its answer little meaning – little relevancy bore;
For we cannot help agreeing that no living human being
Ever yet was blessed with seeing bird above his chamber door –
Bird or beast upon the sculptured bust above his chamber door,
With such name as „Nevermore".

But the Raven, sitting lonely on the placid bust, spoke only
That one word, as if his soul in that one word he did outpour.
Nothing farther then he uttered, not a feather then he fluttered –
Till I scarcely more then muttered „Other friends have flown before
On the morrow he will leave me, as my hopes have flown before."
Then the bird said „Nevermore".

Startled at the stillness broken by reply so aptly spoken,
„Doubtless", said I, „what it utters is its only stock and store
Caught from some unhappy master whom unmerciful Disaster
Followed fast and followed faster till his songs one burden bore –
Till the dirges of his Hope that melancholy burden bore
Of „Never – nevermore".

But the Raven still beguiling all my fancy into smiling,
Straight I wheeled a cushion seat in front of bird, and bust and door;
Then, upon the velvet sinking, I betook myself to linking
Fancy unto fancy, thinking what this ominous bird of yore –
What this grim, ungainly, ghastly, gaunt and ominous bird of yore
Meant in croaking „Nevermore".

This I sat engaged in guessing, but no syllable expressing
To the fowl whose fiery eyes now burned into my bosom's core;
This and more I sat divining, with my head at ease reclining
On the cushion's velvet lining that the lamp-light gloated o'er,
But whose velvet violet lining with the lamp-light gloating o'er
She shall press, ah, nevermore!

Then, methought, the air grew denser, perfumed from an unseen censer
Swung by Seraphim whose foot-falls tinkled on the tufted floor.
„Wretch", I cried, „thy God hath lent thee – by these angels he hath sent thee
Respite – respite and nepenthe from thy memories of Lenore;
Quaff, oh quaff this kind nepenthe and forget this lost Lenore!"
Quoth the Raven „Nevermore!"

„Prophet!", said I, „thing of evil! prophet still, if bird or devil! –
Whether Tempter sent, or whether tempest tossed thee here ashore
Desolate yet all undaunted on this desert land enchanted –
On this home by Horror haunted – tell me truly, I implore –
Is there – is there balm in Gilead? – tell me – tell me, I implore!"
Quoth the Raven, „Nevermore!"

„Prophet", said I, „Thing of evil – prophet still, if bird or devil!
By that Heaven that bends above us – by that God we both adore
Tell this soul with sorrow laden, if, within the distant Aidenn,
It shall clasp a sainted maiden whom the angels name Lenore –
Clasp a rare and radiant maiden whom the angels name Lenore"
Quoth the Raven „Nevermore!"

„Be that word our sign of parting, bird or fiend!" I shrieked, upstarting –
„Get thee back into the tempest and the Night's Plutonian shore!
Leave no black plume as a token of that lie thy soul hath spoken!
Leave my loneliness unbroken! – quit the bust above my door!
Take thy beak from out my heart, and take thy form from off my door!"
Quoth the Raven „Nevermore!"

And the Raven, never flitting, still is sitting, still is sitting
On the pallid bust of Pallas just above my chamber door;
And his eyes have all the seeming of a demon's that is dreaming,
And the lamp-light o'e. him streaming throws his shadow on the floor;
And my soul from out that shadow that lies floating on the floor
Shall be lifted – nevermore!

dokończenie ze strony 41

że w końcu osiągnął swój cel skoro adresatka dedykacji Elizabeth Barret tak oto pisała do autora wiersza:

Kruk Pana wywołał w Anglii sensację, paroksyzm grozy. Niektórych moich przyjaciół pociąga strach przezeń wywołany, innych – muzyka. Słyszę o osobach, których prześladuje „nevermore", a pewna znajoma na swoje nieszczęście posiadająca popiersie Pallas, nie znosi jego widoku, gdy zapada zmierzch.

Jak było to możliwe? Swoją popularność ballada Poego zawdzięczała nie tylko odwołaniom do wielkich, nieprzemijających metafor („kruk" – ptak pojawiający się w literaturze wielu krajów, symbolizujący los, także: „żałobną i wieczną pamięć"), ale również wahaniom pomiędzy irracjonalnością i rzeczywistością, mistrzowskiemu oddaniu intymnych przeżyć narratora, jego zmiany nastrojów od smutku, wesołości poprzez chwilowy szał, aż do poczucia głębokiej rezygnacji. Jest w tym utworze jeszcze coś dodatkowego, co można określić całkiem banalnie współbrzmieniem formy i treści. Rym „Kruka" jest niezwykle jednostajny, aż 72 wierszy na 108 odznacza się tymi samymi, męskimi rymami. Monotonny jest również tok rytmiczny wiersza – na 792 stóp aż 776 jest trochejami (sam Poe obdarzony skłonnościami matematycznymi nie byłby zapewne przeciwny wyjaśnieniu, że organizacja rytmiczna ballady została oparta na akalektycznym oktametrze alternującym z katalektycznym heptametrem powtórzonym w refrenie w piątym wersie, a zakończonym katalektycznym tetrametrem...)

Z monotonią wersyfikacyjną „Kruka" wiąże się także charakterystyczny refren „nevermore" (przy wyborze tego słowa kierował się Poe nie tylko warstwą znaczeniową wyrazu, ale również walorami fonetycznymi ostatniej zgłoski, która harmonizowała z melancholijnym nastrojem wiersza). Trzeba wreszcie pamiętać o innych, zastosowanych przez autora środkach formalnych: paralelizmach, powtórzeniach, asonansach, wstawkach dialogowych podkreślających sugestywną treść przestania.

Zintelektualizowana, antyromantyczna ballada Poego weszła do kanonu literatury światowej. Po raz pierwszy na język polski przełożył ją Walery Przyborowski w 1869 roku, ale już w kilka lat później tłumaczył ją jeden z najznakomitszych umysłów epoki, założyciel warszawskiej „Chimery" – Miriam (Zenon Przesmycki w: „Bluszcz" 1886/37). Później balladę Poego przekładali m.in. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski (1915), Kazimierz Andrzej Jaworski (1956), Józef Birkenmajer i Władysław Jerzy Kasiński (w: „Kierunki"/1959).

Dziś przedstawiamy Czytelnikom „Fantastyki" nowe tłumaczenie „Kruka". Z balladą amerykańskiego autora zmierzyła się Jolanta Kozak, znana tłumaczka literatury SF. Jej przekład, odbiegający od ostatnich, powojennych tłumaczeń, warto skonfrontować z oryginalnym tekstem utworu datowanym na rok 1845. Aby ukazać jak doszło do powstania „Kruka" przypominamy również fragmenty „Filozofii kompozycji" Poego, które w przekładzie polskim ukazały się w roku 1972 na łamach „Przeglądu Humanistycznego", specjalistycznego czasopisma naukowego o nakładzie 900 egzemplarzy.

Andrzej Niewiadowski

Filozofia kompozycji *(fragmenty)*

Edgar Allan Poe

Każdy wartościowy schemat akcji musi być opracowany aż do rozwiązania włącznie, nim się cokolwiek przedsięweźmie z postaciami. Tylko wtedy, kiedy mamy przed oczami rozwiązanie, możemy zapewnić akcji niezbędną jej konsekwencję, czyli uzasadnienie przyczynowe.

Co do mnie, wolę zaczynać od rozważenia efektu. Mając zawsze na uwadze oryginalność zadaję sobie pytanie: „Co w tym wypadku mam wybrać spośród niezliczonych efektów, czyli wrażeń, jakim może być poddane serce, intelekt (dusza)?"

O ile wybrałem powieść i efekt mocny, rozważam co dla jego uzyskania jest najbardziej wskazane: wydarzenia czy tonacja, wydarzenia zwykłe, tonacja niezwykła, lub odwrotnie, lub jedno i drugie. Następnie szukam dokoła siebie takiej kombinacji wydarzeń i tonu, która gwarantuje najlepszą konstrukcję efektu.

Zamierzam wykazać, że w trakcie komponowania „Kruka" najmniejszej roli nie odgrywał przypadek ani intuicja – gdyż poemat ten rozwijał się do samego końca z surową konsekwencją problemu matematycznego.

1. Pierwszym zagadnieniem był rozmiar. Gdy dzieło literackie jest długie, że nie mieści się w granicach jednorazowej lektury musimy zrezygnować z końcowego efektu. Wydaje się więc, że dla wszystkich dzieł sztuki literackiej istnieje wyraźna granica długości odpowiadająca czasowi jednorazowej lektury. Uświadomiłem więc sobie długość poematu – 100 wierszy. Jest ich 108.

2. Następny problem dotyczył wrażenia, czyli efektu, jaki chciałem osiągnąć. Przyjemność najbardziej intensywna rodzi się przy kontemplowaniu tego, co jest piękne.

3. Widząc w Pięknie sferę działania zająłem się kwestią, jaka tonacja wyraża najdoskonalej piękno – stwierdziłem: tonacja smutku (melancholia to najodpowiedniejsza z tonacji poetyckich).

4. Mając określoną długość, sferę i tonację posłużyłem się indukcją, „co artystycznie pikantnego może posłużyć za motyw przewodni poematu, co może być osią?" Myślałem o efektach artystycznych, teatralnych – najbardziej powszechnie używany jest refren. Postanowiłem urozmaicić i spotęgować jego efekt – stale zmieniając myśl – zmieniając zastosowanie refrenu miałem wywoływać nowe efekty.

5. Co ma być moim refrenem? Powinien być krótki, jak jedno słowo. Jakie powinno mieć właściwości? Musi być dźwięcznie zakończone i nadające się do emfatycznego wydłużania (stąd musiało być w nim długie „o" i „r"). I stąd natrafiłem szybko na melancholijne słowo „nevermore". Istniała trudność – ciągłego, monotonnego powtarzania tego słowa przez istotę ludzką, zrodził się zatem pomysł wyzyskania czegoś, co potrafi mówić, a nie jest człowiekiem... papuga?... lepszy byłby złowieszczy, melancholijny kruk.

6. Który spośród tematów melancholijnych jest przez ludzi najsilniej odczuwany? Oczywiście – śmierć. A kiedy temat ten jest najbardziej poetyczny? Wtedy, kiedy jest najsilniej związany z pięknem. Śmierć pięknej kobiety jest najbardziej poetycznym tematem świata i brzmi najlepiej w ustach tego, który stracił ukochaną istotę...

7. Była więc już kombinacja dwóch idei: człowiek rozpaczający po śmierci ukochanej i kruk powtarzający słowo „nevermore". Różnego rodzaju wariacje byłyby możliwe, gdyby kruk odpowiadał na pytania człowieka. Wtedy dostrzegłem możliwość efektu: pierwsze pytanie nieszczęśliwego kochanka mogłoby być banalne, drugie mniej... aż kochanek wyrwany ze swej nonszalancji melancholijnością słowa „Nevermore" oraz myślą o złowieszczej reputacji ptaka, daje się opanować przesądowi i nieprzytomnie stawia inne pytania, które go dręczą, nie dlatego je stawia, że wierzy w demoniczność ptaka (bo to jest słowo wyuczone!), ale że czuje przyjemność w samej udręce, po każdym „Nevermore" doznaje uczucia rozkosznego smutku.

8. Wymyśliłem teraz punkt kulminacyjny – pytanie końcowe, które miało zawrzeć największy ogrom smutku i rozpaczy. Wtedy po raz pierwszy napisałem ostatnią strofę. Napisałem ostatnią strofę, aby powziąć decyzję w sprawie rytmu, metrum, długości strofy, żeby określić stopniowanie wcześniejszych strof, które nie mogą tej ostatniej przewyższać pod względem efektu rytmicznego.

9. Trzeba się było zastanowić teraz nad miejscem akcji – ścisłe ograniczenie przestrzeni jest absolutnie konieczne przy wydarzeniu odciętym od świata, gdyż działa jak rama w obrazie: kochanek jest więc w pokoju kobiety... kruk siada na popiersiu Pallady (bogini ta harmonizuje z samotnym człowiekiem oraz jest słowem dźwięcznym)...

10. Ale w tym temacie zawsze jest coś sztywnego i jakiś niedostatek – potrzebny jest jakiś wewnętrzny nurt znaczeń... Dodałem zatem dwie strofy poematu, aby sugestywność przeniknęła narrację: „zabierz swój dziób z mego serca" – słowa te to pierwsze wyrażenia metafizyczne w poemacie. One skłaniają czytelnika do szukania treści duchowej we wszystkim co było dotąd powiedziane. Czytelnik widzi teraz w kruku istotę emblematyczną – ostatnia strofa: kruk to emblemat melancholijnego i nigdy nie kończącego się przemijania.

Edgar Allan Poe, „Filozofia kompozycji", przeł. M. Żurowski (fragmenty za: „Przegląd Humanistyczny" 1972/5).

Ciąg dalszy ze strony 24

DEMON WALKI



rzadko odziani w pancerze mordercy Rapisa rąbali mieczami i toporami bezradnie wysunięte w obronnym geście wieśniacze widły, dźgali pozbawione osłon brzuchy, roztrzaskiwali korbaczami głowy. Jęki gwałconych z wyrafinowaną brutalnością kobiet ginęły w przeraźliwym płaczu dzieci, które, jako nieprzydatne do transportu, zabijano bez litości. Strzechy chałup płonęły coraz jaśniej, trzask gorejących krokwi mieszał się z dobiegającym od strony portu grzmotem dział „Węża Morskiego", dobijającego stojące w kotwicy i bezbronne szniki.

Rrodan nie brał udziału w rzezi. Stał w środku wioski z mieczem pod pachą i ze zwykłym spokojem wydawał polecenia coraz to podbiegającym doń piratom. Baczył, by nikt z mieszkańców wioski nie zdołał zbiec do pobliskiego lasu, czasem w milczeniu wskazywał cel klęczącemu przy nim Salatrze, najlepszemu łucznikowi w załodze. Tak zastał go Rapis, nadciągający wreszcie z resztą załogi.

– Za dużo trupów! – powiedział ostro. – Mamy puste ładownie.

Oficer w milczeniu wskazał wyłaniającą się spomiędzy chałup kolumnę kilkudziesięciu powiązanych wieśniaków. Połowę stanowiły kobiety. Eskortujący brańców piraci nie szczędzili uderzeń płazem szabli, a nierzadko i korbaczem.

Nagle z pobliskiej chaty wytoczył się siwy, mały staruszek. Spomiędzy przyciśniętych do twarzy palców kapała krew. Rapis jak ryś skoczył na rybaka, wywinął toporem. Rozległ się przeraźliwy krzyk, zawtórował mu trzask kruszonych kości.

– Wyślij ludzi do tawerny – rzucił Rapis, ocierając krwawe ostrze.

Rodan skinął głową.

– Już to zrobiłem. Załadunek prowiantu i słodkiej wody zakończymy przed świtem.

– Bardzo dobrze.

Przechodzący obok zziajany marynarz cisnął pochodnię na dach pobliskiego domu. Buchnęły płomienie.

Powoli milkły ostatnie krzyki mordowanych. Rozwrzeszczane dotąd bezładnie głosy zaczęły się łączyć w starą, ponurą morską pieśń:

Podmorskie fale zielonym echem
podwodnej trawy przynoszą szmer,
przegniłe dłonie martwego szypra
na dnie otchłani trzymają ster.

Rapis przytknął do ust krótki, kościany gwizdek. Głosy umilkły, w ciągu minuty miał przed sobą całą załogę. Było cicho, tylko płomienie huczały. Z trzaskiem zawalił się dach jednej z chat.

– Wracamy na statek – powiedział kapitan. – Bosman do mnie.

Grube chłopisko natychmiast wysunęło się z tłumu.

– Weź dziesięciu ludzi pod strażnicę i pozbierajcie dobytek strażników, zwłaszcza zbroje. Możecie wybrać po jednej dla siebie. Reszta na okręt.

Szli zwartą gromadą, otaczając grupę zawodzących jeńców. Jakiś gruby, chropawy głos podjął:

A nad powierzchnią niebo się chmurzy –
z mocami sztormu siądźmy do gry.
Śpiewa wiatr w wantach, śpiewa o burzy,
więc zaśpiewajmy i my:

I znów wszyscy

IV

Szczęśliwa gwiazda znów się do niego uśmiechała.

Znał małą, dziką zatoczkę w okolicach Bany. Tam ukrył „Węża Morskiego", sam zaś, wraz z dziesięcioma pewnymi ludźmi, dowiózł szalupami na ląd prawie setkę niewolników i niewolnic. Musieli obrócić dwa razy, było już ciemno, gdy skończyli wyładunek. Przenocowali na plaży i wczesnym rankiem wyruszyli do miasta, pozostawiając przy łodziach trzech ludzi.

Na targu byli jeszcze przed południem. Ruch duży, handlowano też niewolnikami, ale towar nie cieszył się wzięciem. Ceny były wysokie, dochodziły do pięćdziesięciu sztuk złota za cherlawego mężczyznę i tyleż samo za brzydką kobietę. Chyba tylko dartańscy Magnaci mogliby sobie pozwolić na taki zbytek.

Pojawienie się Rapisa na rynku wywołało zrozumiałe poruszenie. Tłum wokół grupy upokorzonych i przerażonych niewolników zgęstniał tak bardzo, że eskorta musiała torować drogę siłą. Ludzie Rapisa pod kierunkiem Tarasa C., jego drugiego oficera, sprawnie posegregowali towar, upychając go według jakości i ceny w oddzielnych klatkach. Rapis stanął skromnie z boku, Taras wszedł na podium i wypowiedział sakramentalne słowo otwierające targ:

– Czekam.

Tłum zafalował, pośród zgiełku kilka dłoni jednocześnie wyciągnęło się w górę. Taras wybrał właściciela jednej z nich.

– Słucham cię, Panie.

Chudy, niski człowieczek o ospowatej twarzy wdrapał się na podium. Gwar tłumu przycichł.

Jeden z ludzi Rapisa podał klientowi wskaźnik. Ten pochwycił go nerwowo i prędko wetknął pomiędzy pręty jednej z klatek.

– On.

Taras dał znak. Marynarze natychmiast wywlekli wskazanego mężczyznę na środek areny. Zdarto zeń resztki ubrania. Człowieczek sprawnie obmacał mięśnie. Pokiwał z uznaniem głową.

– Co umie?

– Niewiele.

Człowieczek zdumiał się. Zdumiał się również tłum. Po raz pierwszy widziano, by ktoś tak dziwnie polecał swój towar.

Człowieczek skrzywił twarz. Już schodząc z areny zapytał niechętnie przez ramię:

– A ile?

– Trzydzieści sztuk złota, Panie.

To właśnie była reklama Rapisa. Tłum wokół klatek eksplodował; tyle kosztowały hodowlane odrzuty. Ludzie po kilku naraz wdrapywali się na arenę, krzycząc i wyciągając ręce po wskaźnik. Taras dwoił się i troił, majtkowie niemal siłą odepchnęli tłum od klatek. Nieprędko zapanował porządek.

Rapis nie brał udziału w targu, patrzył w zupełnie inną stronę. Tam mianowicie, gdzie pośród rynkowego tłumu handlarzy i kupujących błysnęły mu niebieskie tuniki i stalowe hełmy Gwardii Armektu. Tuż przy dowódcy patrolu dreptał ubrany na czarno karzeł z niechlujnie utrzymaną brodą. Wyglądał ni mniej, ni więcej, tylko na właściciela hodowli niewolników, obawiającego się konkurencji. Gestykulował gwałtownie. Rapis spojrzał na Tarasa. Porozumieli się wzrokiem.

Po kilku chwilach gwardziści dotarli do areny. Karzeł gdzieś przepadł. Rapis przecisnął się ku dowódcy patrolu, ten obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Wydaje mi się, Panie, że ci niewolnicy nie pochodzą z hodowli – powiedział.

Rapis zmrużył oczy.

– Nie.

– Skąd zatem?

Rapis milczał przez chwilę. Wreszcie powiedział niegłośno:

– Dwa słowa na osobności, dowódco...

Żołnierz zawahał się. Ruszył jednak za Rapisem. Ten poprowadził go na zaplecze areny. Otworzył jedną z klatek i wyciągnął z niej ładną, najwyżej dwudziestoletnią dziewczynę.

– Zanim przystąpimy do rozmowy, pozwól, dowódco, ofiarować sobie ten mały prezent. Jako dowód, że nie handluję byle czym. To najdroższa sztuka, jaką mam. Jest... jeszcze nie ruszona.

Żołnierz spojrzał na dziewczynę, potem na niego. Rapis stał w grzecznej, wyczekującej postawie, ale dłoń trzymał na rękojeści miecza. Przewyższał rosłego gwardzistę o pół głowy.

Spojrzenie dowódcy znów spoczęło na dziewczynie. Na targu niewolników hodowlanych musiała kosztować do sześćdziesięciu sztuk złota, a może i więcej. Czyli tyle, co dwa najdroższe grombelardzkie miecze lub duża wieś.

– A zatem? – pytał Rapis.

Gwardzista nie wahał się już.

– Dziękuję Waszej Godności.

Ujął dziewczynę za ramię. Wymienili z Rapisem ukłony. Interes szedł świetnie, do wieczora pozbyli się wszystkich niemal niewolników. Ceny były niskie, a towar niezły; kupujący nierzadko nabywali na targu całe jego partie. Wreszcie w żelaznych klatkach pozostało ledwie ośmiu mężczyzn i jedna kobieta. Mężczyźni byli cherlawi i brzydcy, Rapis obniżył ich cenę o połowę, byle tylko pozbyć się kłopotu. Z dziewczyną sprawa miała się inaczej. Bardzo młoda i jeszcze do niedawna niebrzydka, nie znajdowała swego nabywcy z powodu kilku ran otrzymanych podczas porwania: straciła lewe oko, a na policzku nosiła wyraźną bliznę po źle zagojonym skaleczeniu.

Gdy zapadł zmierzch, przy Tarasie było już tylko sześciu mężczyzn i ona. Nie było sensu stać dłużej. Rapis przywołał oficera.

– Zbieraj ludzi – polecił. – Wracamy.

– Co z tym?...

– Pozbędziemy się po drodze.

Po chwili równym, szybkim krokiem podążali ku rogatkom miasta. Zdążyli tuż przed zamknięciem bram; było już zupełnie ciemno. Rapis szedł pierwszy. Na plecy miał zarzucony spory, nabity złotem i srebrem worek. Taras także dźwigał podobny majątek, razem mieli – prawie tysiąc potrójnych sztuk złota. To sporo.

Kapitan z lubością wsłuchiwał się w brzęk kruszcu. Prawie dziesięć sztuk złota na głowę marynarza licząc, że sam weźmie pięćdziesiąt, a Rrodan i Taras po czterdzieści sztuk złota. No i jeszcze sternicy, bosman...

Taras prowadzący oddziałek zatrzymał się nagle i skinął na jednego z majtków. Związani wspólnym sznurem niewolnicy krzyknęli, gdy majtek dobył miecza. Padali jeden po drugim. Miecz śmignął po raz ostatni, godząc w pierś dziewczyny. Nie dotknął jej. Inny brzeszczot podbił go w górę. Majtek odwrócił głowę. Obok w ciemnościach majaczyła ogromna sylwetka.

– Jej nie.

Schowali broń. Taras był zdziwiony, ale nie pytał o nic. Rapis lekko trącił dłonią stojącego z boku marynarza. Ten spojrzał przerażonym wzrokiem. Nie rozumiał niemego polecenia. A w załodze Rapisa, kto nie rozumiał gestów i spojrzeń kapitana – ten ginął.

W głosie Rapisa nie było gniewu:

– Rozetnij jej więzy.

Majtek pospiesznie wykonał rozkaz. Po chwili znów szli w stronę zatoki.

Rapis po swojemu trzymał się końca grupy. Nie wiedział, dlaczego podbił broń majtkowi. Ta dziewczyna była mu zupełnie obojętna. Zrobił to odruchowo, prawie nieświadomie. W ten sam sposób wydał rozkaz przecięcia pęt. Dlaczego?

Gdy dotarli do łodzi, rozumiał już. W świetle zapalonej przez majtków pochodni dostrzegł twarz dziewczyny. Patrzył na nią już na targu, ale dopiero teraz pojął...

Nie, nic nie pojmował. Usta, usta tej dziewczyny, ich wykrój... Reszty twarzy nie znał, była mu całkowicie obca. Tylko usta. Nie wiedział, jak to możliwe, ale znał dokładnie ich linię.

– Odpływamy, kapitanie?

– Tak.

Wskoczył do szalupy, ujął w dłoń rumpel. Majtkowie mocno chwycili wiosła, dwaj inni zepchnęli łódź na wodę.

Dziewczyna płynęła w tej łodzi, co on. Siedząc na rufie widział, jak przepycha się ku niemu, depcząc po nogach siedzących przy wiosłach marynarzy. Nikt nawet nie zaklął, pamiętali, że kapitan ją obronił. A u Rapisa pchnięcie mieczem było szybsze niż słowo.

Na „Wężu Morskim" karano rzadko, ale karano strasznie. Marynarze szybko nauczyli się unikać gniewu kapitana, który wybuchał jak płomień, a gdy gasł, było już za późno. Większe wykroczenia karano tylko śmiercią, ale śmiercią straszną, bo przez poćwiartowanie. Za to dyscyplina na okręcie Rapisa była taka, jakiej próżno by szukać nawet wśród strażników morskich. Obdarte, pstro odziane postacie reagowały na każdy gest, na każdy ruch oczu dowódcy. Niewiele to miało wspólnego z innymi okrętami pirackimi, takimi choćby, jak „Północ" Alagery. Jej załoga, złożona w jednej trzeciej z kobiet, których na przykład Rapis wcale nie tolerował w gronie załogi, więcej gziła się pod pokładem, niż myślała o stawianiu żagli. Alagera była kapitanem tylko z tytułu, naprawdę nikt jej nie słuchał. W takich warunkach każdy zwrot okrętu, każde ostrzenie urastało do rangi wielkiego manewru. Na pokładzie „Węża Morskiego" wyglądało to zupełnie inaczej.

Dziewczyna potknęła się o porzucony na dnie łodzi worek i z krzykiem przeleciała przez krawędź burty. W tej samej chwili czterej majtkowie jednocześnie wyskoczyli w ślad za nią. Kapitan chciał, by żyła.

Rapis nie poruszył się nawet. Z drugiej łodzi doleciał głos Tarasa:

– Wszystko w porządku, Rap?!

– Tak. Nie krzycz.

Najpierw wgramolili się do szalupy dwaj marynarze. Odebrali od kolegów ociekającą wodą dziewczynę, potem dopiero pozostali dwaj przeleźli przez burtę. Spokojnie, jakby żadne wydarzenie nie miało miejsca, usiedli przy wiosłach. Łódź znów ostro ruszyła naprzód. Dziewczyna zaniosła się kaszlem, w przerwach mówiła coś niewyraźnie. Rapis rozróżnił mocne, podobne do grombelardzkich akcenty. Mówiła językiem Garry.

W ciemności majaczyła wielka, czarna bryła statku. Taras okrzyknął wachtowego, odpowiedź przyszła natychmiast. Wzdłuż sterburty zakołysała się sznurowa drabinka. Przywiązali łodzie do rufy i po kolei wchodzili na pokład. Na końcu Rapis i dziewczyna.

Zamyślony stanął przy pomagającym mu przekroczyć burtę Rrodanie. Ten lekko klepnął go w plecy. Zabrzęczało złoto.

– Słyszę, że nieźle poszło.

– Znakomicie.

– Cóżeś taki niewyraźny?

– Nic. Słuchaj, przyślij mi zaraz tę dziewczynę.

– A właśnie: co to za panna?

– Niewolnica. Nie sprzedaliśmy na targu...

– Ładna?

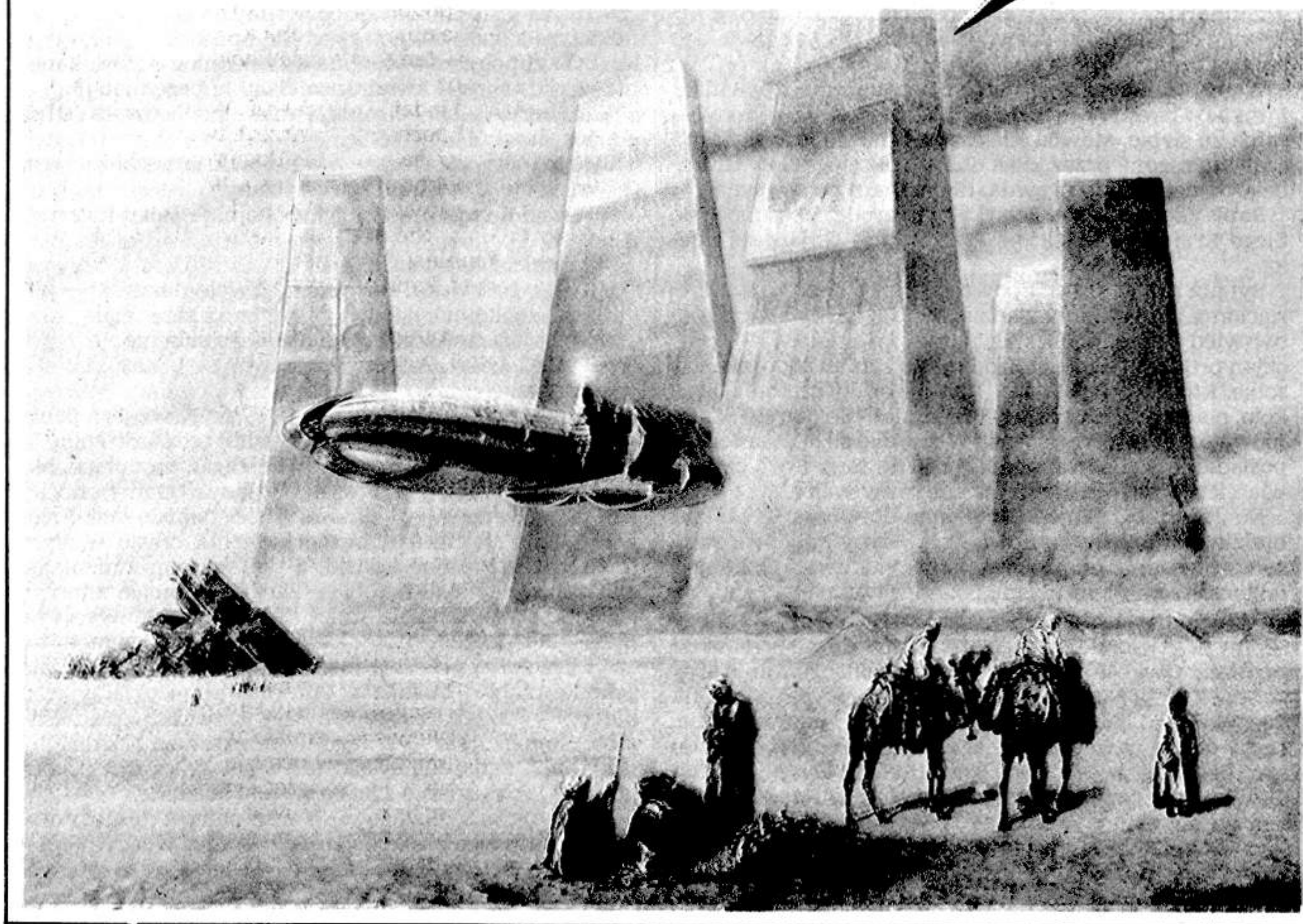
– Ślepa. Odczep się.

Ruszył ku rufie. Na odchodnym rzucił przez ramię:

– Wydaj rozkazy. Kurs na Morze Zwarte.

Po chwili zamykał za sobą drzwi kajuty. Odpiął pas. Było parno, zrzucił więc kaftan i koszulę. Przeciągnął się czując, jak wszystkie mięśnie grają mu pod skórą. Usiadł, wyciągnął nogi i zamknął oczy.

Andrzej Wroński



Otwarł je na odgłos pukania do drzwi. Przetarł dłońmi powieki.

– Wejść!

W drzwiach stanął wachtowy.

– Pan Rrodan przysyła...

– Dawaj ją i wynoś się.

Majtek zniknął jak duch. Rapis został sam na sam ze zrezygnowaną dziewczyną. Stała przy drzwiach, jej podarta, porozrywana sukienka była jeszcze mokra, włosy już nieco podeschły...

Wstał i zapalił wszystkie latarnie. W kajucie zrobiło się jasno jak w dzień.

– Jak się nazywasz?

Cisza. Głowa spuszczona na piersi, ręce bezwładnie zwisające wzdłuż boków.

– Nie rozumiesz Konu?

Chyba istotnie nie rozumiała. Tak często bywało, Garrańczycy nie lubili Konu. Zdarzało się wcale nierzadko, że nawet dzieci największych garrańskich i wyspiarskich rodzin nie znały języka uniwersalnego dla całego Imperium. Rapis zmarszczył czoło. Znał dobrze narzecze Garry i Wysp, w dziwny, niezrozumiały sposób spokrewnione z mową tak odległego przecież Grombelardu, ale nie lubił posługiwać się nim. Pochodził z Armektu i wyspiarski akcent był dla niego istną magią. Zdawał sobie sprawę z tego, jak śmiesznie i prostacko brzmią w jego ustach garrańskie słowa.

– Jak się nazywasz?

Uniosła głowę. Na sekundę ich oczy się spotkały Nie wytrzymała tego spojrzenia, odwróciła lekko głowę.

– Rizarret.

– Świetnie.

Nie spuszczał wzroku z jej ust. Im dłużej patrzył, tym bardziej wydawało mu się, że poprzednio uległ złudzeniu. Ich kształt nie wywoływał teraz w jego pamięci żadnych skojarzeń.

Założył ręce do tyłu i ruszył w swą zwykłą wędrówkę po pokoju. Spojrzał na leżący pod ścianą miecz, ale zrezygnował. Zawsze zdąży ją zabić.

Podszedł do dużego, zrabowanego z jakiegoś statku kufra. Nie sprawdzał wtedy, co bierze, potem okazało się, że pełen jest kobiecych strojów. Nie wyrzucił go przez zwykłe lenistwo. Teraz zawartość miała się przydać.

– Chodź tu.

Drgnęła.

– Chodź tu – powtórzył z naciskiem, choć nadal łagodnie. Zbliżyła się niepewnie.

– Otwórz to. Zawartość należy do ciebie – nagle pochylił się i sam otworzył wieko. Błysnęły naszywane srebrnymi cekinami suknie, zakurzonym ciepłem powiało od aksamitu. Policzki dziewczyny pokryły się rumieńcem. Spojrzała z niedowierzaniem, szybko opuściła głowę na powrót. Był pewien, że na jej wysepce nigdy nie widziano nawet skrawka takich materiałów.

– Ale najpierw umyj się i uczesz. – Popchnął ją ku niewielkim drzwiom w kącie kajuty. – Tam znajdziesz dzban z wodą i miednicę. Jest też lustro i żelazny grzebień. – Uśmiechnął się nagle. – Wiem, że to za mało dla damy, ale to niestety wszystko, czym mogę ci służyć.

Mówił powoli, starannie. Dawno nie używał języka Garry.

Dziewczyna zniknęła za wskazanymi drzwiami. Rapis otworzył sąsiednie, wiodące do sypialni. Zamknął je za sobą i spojrzał dokoła. Rozbebeszone łóżko, porozrzucane ubrania i broń... Cóż, dziewczyna mogła się przydać.

Wrócił do nawigacyjnej. Czekał na nią przez chwilę.

– W porządku. Przebierz się teraz.

Zamyślony zaczął przemierzać kabinę wielkimi krokami. Ta dziewczyna... Nie było w niej tak typowej dla wieśniaków prostoty, czy głupoty mieszczan... Natura głębsza, skomplikowana... Ot, zagadka. Skąd ta dziewczyna w wyspiarskiej wiosce?

Zerknął na nią spod oka i zdziwił się ujrzawszy, że stoi w miejscu z opuszczoną na piersi głową. Zorientował się nagle w sytuacji, machnął ręką i wszedł do sypialni. Zatrzasnął drzwi.

Trzy kroki, zwrot, trzy kroki...

Dla odmiany zaczął snuć plany. Najpierw na Garrę. Trzeba zadbać o to, by chłopcy mieli gdzie przehulać

zarobione złoto, w przeciwnym razie będą niezadowoleni. A załoga musi być zadowolona. I bez grosza. Wtedy lepiej się bije. A więc na Garrę. A z Garry? Można by płynąć na Morze Zamknięte, ale tam pływa niewiele towarowców. A może tak... Na Wody Środkowe? Ważny szlak handlowy między grombelardzkim Londem a armektańską Rapą. Co prawda nie lubił pływać po takich sadzawkach...

Wody Środkowe. Połączenie z Bezmiarami zapewniało im tylko Gardło – wąska cieśnina, której nazwa mówiła sama za siebie. Mówiła Alagera, że Gardło jest ostatnimi czasy strzeżone przez kilka dużych okrętów Floty Grombelardzkiej. Jeśli to prawda, nie ma tam po co płynąć.

Rapis zatrzymał się. Potarł dłonią brodę. Więc może do Złego Kraju? Po Magiczne Przedmioty? Gdyby się udało...

Był już raz w Kraju. I powrócił żywy, choć z pięćdziesięcioma ludźmi na pokładzie. Niemal każdy z nich zdobył wtedy Przedmiot. Marynarze posprzedawali swoje czym prędzej, tylko on i Rrodan zatrzymali zdobycz przy sobie. Rrodan – Pióro, on – Rubin Córki Grzmotu, Geerkoto, potężny Zły Magiczny Przedmiot. Nie potrafił w pełni wykorzystać drzemiących w Rubinie sił, ale samo jego posiadanie potęgowało odporność na rany i ból, czyniło właściciela prawie niezwyciężonym w walce...

Nie, nie mógł ponownie płynąć do Obszaru. Ludzie. Ludzie byli niepewni, nowi. Och, gdyby miał swą starą załogę, tę samą, przy której pomocy udowodnił, kto jest faktycznym królem Wysp i Bezmiarów!

Uśmiechnął się do wspomnień. To było w 287 roku Ery Sępów. Zaczęło się od tego, że wyciął do nogi maleńki garnizon Gwardii na jednej z przylegających do Garry wysepek. I dla żartu, zupełnie dla żartu, wydał edykt, na mocy którego obejmował wyspę w wieczyste władanie. Zostawił tam nawet swoją flagę – czerwone „R" na zielonym tle. Gwardziści oczywiście obsadzili wyspę ponownie i znów czysty przypadek sprawił, że Rapis zawitał tam po raz drugi. Wtedy skończyła się zabawa, zaczęła się poważna gra. Trzecia wizyta Rapisa skończyła się masakrą wzmocnionego garnizonu w sile kilkudziesięciu ludzi. Rapis stracił połowę załogi. Wtedy ściągnięto na wyspę tak poważne siły, że nawet Demon Walki, jak go z czasem nazywano, musiałby być szaleńcem, by porwać się na nie.

Gwardziści nie docenili go. Wśród korsarzy istnieje niepisane prawo, że najpotężniejszy spośród nich może raz na pięć lat zażądać darmowej pomocy od pozostałych – prawo odwieczne i niewzruszone jak skała, prawo święte. Tak więc ataku na wyspę (nazwano ją w tym czasie Barirra – Krwawa) dokonały cztery duże i dwa mniejsze okręty, a ponadto kilkadziesiąt śmigłych łodzi Sępów Morza – przybrzeżnych piratów dobijających i grabiących statki osiadłe na mieliznach lub roztrzaskane przez burzę. Łącznie – przeszło półtora tysiąca ludzi. To już była regularna wojna. Po dwóch dniach oporu Barirra padła. Trzystu gwardzistów zabito w walce lub powieszono, spalono dwie kogi i zmuszono do ucieczki mniejszą karawelę. Śmierć na dnie morza znalazło prawie trzystu marynarzy i strażników morza. Po raz czwarty zielono-szkarłatna flaga powiewała nad wyspą.

Tego już było Przedstawicielowi Cesarza w Doronie za wiele. Na nieszczęsną skałę zwaliła się cała niemal piechota z zachodnich okręgów Garry w sile czterech i pół tysiąca ludzi, zaopatrzenie dowoziły trzy wielkie karaki stanowiące trzon Floty Głównej Garry i Wysp. Lecz Rapis nie był głupcem. Nie mógł po raz drugi żądać od załóg sprzymierzonych okrętów pomocy w walce, która pochłaniała ogromną liczbę ludzi i prócz gwardyjskiego uzbrojenia nie dawała żadnych zysków. Zamiast tego zaproponował im... interes. I stało się, że ósmego dnia maja, na tydzień przed nadejściem wezwanych z kontynentu na pomoc trzech Flot Armektu, pirackie załogi w sześciu miejscach na raz zaatakowały nadbrzeżne wioski, a nawet mniejsze miasteczka Garry. Triumf był zupełny. Wzięto ogromne łupy, zburzono praktycznie pozbawione załóg wartownie Gwardii, wycięto kilkuset rybaków i mieszczan. Straty piratów były bardzo nieznaczne, zaś następnego dnia rozpoczęto ewakuację wojsk z Barirry. Odtąd nie postała tam noga Gwardzisty. Wyspa była własnością Demona Walki.

Rapis pokręcił głową, przesunął dłonią po oczach i zapukał do drzwi. Pomyślał, że to śmieszne pukać do drzwi własnej kajuty i przekroczył próg. Zdumiony przyjrzał się dziewczynie. Była prawie ładna w zielono-czarnej sukni, gdyby nie ta opaska... ale nie to go uderzyło.

„Na Moc – pomyślał – czyż to możliwe, by córka rybaka tak swobodnie czuła się w aksamitach?"

– Ładna jesteś, Rizarret – powiedział otwarcie.

Spojrzała spod długich rzęs. Nie opuszczała już wzroku. Była zupełnie niepodobna do zalęknionej, zahukanej niewolnicy sprzed kwadransa. Skąd ta przemiana?

– Żartujesz sobie ze mnie, Panie – powiedziała cicho, ale bez strachu.

Było to pierwsze dłuższe zdanie, jakie usłyszał z jej ust. Odwrócił się powoli twarzą do ściany.

– Więc dobrze – powiedział spokojnie – jesteś Rizarret. A dalej?

Milczenie. Obejrzał się.

– Twoje nazwisko, rozumiesz? Twoje nazwisko – powiedział spokojnie, tak spokojnie, że aż złowrogo.

Opanowała dreszcz. Już wiedział, że skłamie.

– Tylko... tylko Rizarret, Panie...

– Ach, tak.

Nie uwierzył. Był Szlachcicem Czystej Krwi, jego pełne nazwisko brzmiało Rapis K.D. Potrafił odróżnić chłopkę od szlachcianki. Po prostej barwie głosu, modulacji, akcencie. Zwłaszcza, gdy mówiono w języku Garry, choćby nawet w gwarze Wysp. Chłopi, rybacy twardo cedzili słowa, ledwie akcentując, bez przydechu, często w złym miejscu rozdzielając zgłoski, a tym samym zmieniając znaczenie słowa. „Korrobl" – żartować, mogło znaczyć też: kpić, drwić, szydzić, śmiać się, cieszyć, zachwycać i... płakać. Rozpaczać byłoby już „randebl", z akcentem na „a" i króciutką przerwą między „n" a „d". Powiedziała „eko ko-rròbl" – żartujesz. Wieśniak powiedziałby „eko kòrrobl" – szydzisz. Mogłoby też oznaczać „płaczesz" albo „śmiejesz się" – w jego ustach zawsze brzmiałoby „kòrrobl". Sens dałoby się uchwycić tylko przez kontekst, w jakim zdanie zostało wypowiedziane.

Milczenie przedłużało się. Teraz patrzył jej prosto w twarz. Odpowiadała upartym, dziwnie zawziętym spojrzeniem. Kto, do pioruna, dał jej szlacheckie wychowanie?

Drżała lekko, gdy całował jej szyję i usta. Nie stawiała oporu, ale też nie odwzajemniała pocałunków. Dopiero, gdy zaczął rozpinać suknię, ujrzał w niesamowitym, oszpeconym czarną opaską spojrzeniu nie lęk czy emocję, ale wstręt... Dreszcze, które próbowała opanować, były dreszczami odrazy.

– Panie, błagam... nie teraz... Muszę wie...

Puścił ją. Nurtowało ją coś, męczyło. Widział to.

– Czemu nie teraz? Co musisz wiedzieć?

Nie odpowiedziała. Odeszła na bok i niezręcznie poprawiła opaskę.

– Pytałem o coś.

Wahała się.

– Panie, czy... czy ty...

– Mów.

– Czy ty... jesteś... Rapis K.D., Demon Walki?

– Tak.

Zacisnęła usta i odwróciła się gwałtownie. Podszedł do niej, okrążył i zajrzał w twarz. W jej wzroku oprócz obrzydzenia była teraz jakaś dziwna wrogość.

– Więc co z tego?

Milczała, gryząc usta.

Wiało od zachodu. „Wąż Morski" szparko płynął półwiatrem wprost na południe. Minęli Wyspy Okrągłe i wyostrzyli na baksztag. Dziób okrętu mierzył teraz we wciąż jeszcze odległą Garrę.

Nastroje wśród załogi były niezłe – zbliżały się dni zabaw i hulanek, ponadto Rapis nie żałował im rumu. Na całym okręcie nie znalazłoby się nikogo pijanego, ale też nikt do końca nie był trzeźwy. Przykład dawał kapitan i oficerowie: dwa kubki rumu na powitanie i dwa na pożegnanie dnia nikomu jeszcze nie zaszkodziły.

Więc płynęli. Wieczorami tańczono. Klęli trochę marynarze, że co to za okręt, gdzie ani jednej baby w załodze nie znajdziesz, ale Demon miał swoje zasady. Kobieta w załodze – niezgoda w załodze. Musiały się z tym draby pogodzić, zresztą – jak powiadali starzy majtkowie – z

baby żaden marynarz, a już zwłaszcza pirat. Do żagli to--to niezdatne, do topora jeszcze gorzej... Próżno stary cieśla Karder przypominał Alagerę – szefową dużej kogi i półtorej setki piratów, spośród których trzecią część stanowiły kobiety. „Piratowała, piratowała, no i leży teraz na dnie, a my pływamy" – odpowiadali słuchacze, stukając w surowe drewno, żeby klątwę odpędzić, boć przecie o trupach na morzu gadać – nie za bardzo.

Jednak i ci, co byli za babą-piratem, i ci, co byli przeciw, doszli do wspólnego wniosku, stanowiącego esencję długotrwałych, wielodniowych rozważań i dyskusji: baba w nocy – choćby i nie pirat – jak znalazł. Toteż gdy na pokładzie pojawiał się czasem Rrodan, obejmujący ciasno plecy jedynej na statku, a rozkochanej w nim bez reszty Jednookiej, jak ją z czasem nazwano, wzdychali sobie majtkowie cichutko a z zawiścią. Rrodan miał jednak wyraźnie wypisane na czole „wara mi od niej", powściągali więc pilnie swe szorstkie, spracowane od żagla i topora łapy i tylko patrzyli, a i to ukradkiem. Bo Rrodan, choć nie taki wielki i silny jak Rapis, do miecza był jeszcze szybszy, a mówiono, że nawet w wychodku trzyma go na kolanach. Burczeli jednak trochę po kątach, co wszystko zawsze widzący Rapis potraktował w ten sposób, że wydzielił po dodatkowej porcji rumu na głowę. Odtąd już na pewno było wiadomo, że „kapitan to swój chłop i swoim chłopcom krzywdy zrobić nie da".

★

– Dlaczego tak bardzo nienawidzisz kapitana?

Dziewczyna drgnęła. Zdjęła jego dłoń ze swej piersi.

– Czemu pytasz?

– Bo ciekaw jestem. Nigdy cię nie uderzył, nie krzyknął nawet... Czasem aż się zastanawiam, dlaczego. Poza tym chłop niestary, silny jak narwal...

– Nie ma w nim nic z człowieka.

– Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz... Powiedz, czy on kiedykolwiek w życiu zrobił coś dla kogoś? Czy pomyślał, że nie jest sam na świecie? Że... że... Nie, on wszystko tylko dla siebie, dla siebie.

Rrodan zamyślił się.

– Nie masz racji – mruknął po chwili. – Rapis... cóż... Mówiłaś, że mnie kochasz.

– Kocham cię, Rrod.

– Jestem piratem – jak on. Między mną a nim jest bardzo niewiele różnic.

Odsunęła się.

– Nie porównuj się z tym człowiekiem, błagam... On... nie ma serca, nie zna uczuć. Ty... przecież... Potrafisz kochać, Rrod.

– I on to potrafi, Riz. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Właśnie o tym chciałem ci powiedzieć. Była kobieta, dla której gotów był zerwać z nieba księżyc i zgasić słońce, wysuszyć morza i podeptać góry. Kochał ją jak szaleniec... i w istocie był szalony. Ona – Garranka Czystej Krwi, on – armektański strażnik morza. Zostawił ją w Dranie, musiał wrócić do Armektu wypowiedzieć służbę. Gdy ponownie przypłynął na Garrę – jej już nie znalazł. Zniknęła bez wieści. Uciekła? Nie wierzył w to. Szukał... trzy lata. I szuka do dziś. Ale już nie jej. Zapomnienia. Nikogo nigdy nie kochał prócz niej. Kocha ją do dziś. Wiem o tym.

– Naprawdę... szukał jej?

Zdziwił się widząc, jak bardzo jest przejęta opowieścią.

– Tak. Przez te trzy lata przeorał całą Garrę wzdłuż i wszerz. Był nawet na dworze Przedstawiciela, prosząc o pomoc w poszukiwaniach. Ale to też nic nie dało.

– Nie! Nie, to niemożliwe!

Patrzył zdziwiony.

– Skąd... skąd znasz tę historię? – zapytała stłumionym głosem. – Opowiedział ci?

– Nie. Terra była moją siostrą.

Krzyk. Siedziała naga w rozbebeszonej pościeli z dłońmi przyciśniętymi do twarzy i płakała.

– Riz... Co się stało, Riz?

Objął ją czule i pocałował we włosy. Tulił jak dziecko.

– Riz, uspokój się.

Odjęła ręce od twarzy, wtedy pocałował ją w usta. Wyrwała się z krzykiem. Złączyła kolana, zakryła dłońmi nagie piersi.

– Nie, Rrod, nie! Ty... ja... jestem twoją siostrzenicą.

★

– Dlaczego zmieniłeś imię? Matka wiele opowiadała mi o was, o tobie, o... ojcu. Tylko kiedy mówiła, wszystko wyglądało inaczej, piękniej... W jej opowiadaniach byliście wspaniali – dumni strażnicy morza walczący z bandytami... Ojciec... miał być szlachetny, dobry... Potem, gdy doszły nas słuchy o Rapisie K.D. – korsarzu, Demonie Walki – matka nie wierzyła. Nigdy w to nie wierzyła, umarła pewna, że jej Rapis...

Z Dranu porwali nas siepacze... siepacze Przedstawiciela...

Cisza.

– Mówię „nas", choć kilka miesięcy dzieliło mnie wtedy od przyjścia na świat. Urodziłam się na zamku... tam się wychowałam. Gdy miałam dwanaście lat, byłam już powierniczką wszystkich sekretów mamy. Nigdy mu nie uległa dobrowolnie. Prosił, błagał, groził... Czasem... czasem pojawiali się w naszej komnacie jego słudzy i zabierali mamę. Wracała po kilku godzinach pobita... posiniaczona. Płakałam wtedy tak jak ona.

Trzy lata temu udało nam się uciec. Najbezpieczniej byłoby opuścić Garrę, zbiec gdzieś do Armektu, może nawet do Grombelardu. Ale matka nie chciała o tym słyszeć. „Oni tu wrócą" – mówiła. „Trzeba tylko czekać. Zobaczysz".

Na Kalaronie osiedliłyśmy się dlatego, że była blisko Dranu. Codziennie mama godzinami wpatrywała się w morze. „Ich statek ma niebieskie żagle" – mówiła. „Niebieskie".

Nie chciałam i nie mogłam jej tłumaczyć, że wszystkie armektańskie okręty mają niebieskie żagle.

No i stało się. Pewnego ranka ujrzałyśmy na horyzoncie wielki okręt z niebieskimi żaglami. Płynął do Dranu. Na Moc, jak ona się spieszyła! Chciała być w porcie jeszcze przed nim, czekać... Żeby nie odpłynęli, nie zawrócili...

ANDRZEJ WROŃSKI



Miała wtedy trzydzieści cztery lata.

W porcie wysypało się ze statku kilkudziesięciu żołnierzy. Zatrzymywała ich, pytała, otrzymując w odpowiedzi tylko dotyk owłosionych łap i jednoznaczne propozycje... Brali ją za dziwkę. Wreszcie jakiś oficer ulitował się i wysłuchał jej pytań. Nie zapomnę jego spojrzenia, gdy powiedział:

– Nigdy nie wymawiaj tego imienia, kobieto, w pobliżu cesarskiego okrętu. To imię przynosi nieszczęście.

Nic więcej nie chciał powiedzieć... Rano... okręt odpłynął. Cisza.

– Pochowałam ją następnego dnia wieczorem.

Uniosła twarz i szukała jego oczu. Powiedział stłumionym głosem:

– Na Moc, ilekroć spojrzałem na ciebie, zawsze wydawało mi się, że znam cię nie od dziś. Usta, nos... Gesty... Na Moc, jakże staraliśmy się obaj zapomnieć, jakże bardzo zapomnieliśmy, skoro nie poznałem twarzy własnej siostry, a Rapis...

Zapłakał.



Świtało, pierwsze blaski dnia wpadały do kabiny przez małe, okrągłe okienko. Z pokładu dobiegało stłumione wołanie stojącego na oku majtka i zaraz potem zmieszany gwar marynarskich głosów. Gdzieś niedaleko strzeliły drzwi.

– Wachtowy!!!

Szybki tupot nóg na korytarzu.

– Panie...

– Kazałem się budzić przed świtem? Kazałem?!

– Pa...

– No to jak?!

Zgrzyt dobywanego miecza, potem krzyk krótki i straszny. Jeszcze chwila i łomotnęły otwierane z hałasem drzwi. Stał w progu z zakrwawionym mieczem w ręku.

– Rrodan, do jasnej... Coo? Znów z tą dziwką, a wiesz, co się dzieje?!

Rrodan zerwał się jak sprężyna, chwycił kapitana za ramię.

– Nie mów o niej dziwka... Nie... nie mów tak o niej!

– Jesteśmy w samym środku garrańskiego konwoju...

– Nie mów o niej dziwka!

Rapis bez zamachu, lecz silnie pchnął go w pierś. Rrodan zatoczył się na ścianę. Chwycił leżący na krześle miecz.

– Nie!

Puścili jej krzyk mimo uszu. Stali naprzeciw siebie jak dwa wściekłe psy. Pierwszy oprzytomniał Rapis. Przesunął dłonią po twarzy.

– Rrod, do cholery! – powiedział chrapliwie. – Na wszystkie Moce, potem będzie czas na wszystko lub nie będzie go na nic... Na pokład!

Odwrócił się i pobiegł korytarzem. Rrodan porwał koszulę i tak jak stał, zupełnie nago, wybiegł za nim. Nie obejrzał się.

Została sama.

VI

Gdy Rapis dotarł na pokład, była tam już cała załoga. Majtek na oku dostrzegł go natychmiast i krzyknął:

– Dwa towarowe i strażnik z prawej burty, kapitanie!

Przysłonił oczy dłonią. W szarym świetle świtu, pośród mgły, majaczył nie dalej jak pół mili na skos od dziobu wysoki maszt i rozpięty na nim żółto-czarny żagiel. To był duży holk. Nieco dalej płynęły dwie wielkie, towarowe kogi.

Rrodan skoczył pod główny maszt.

– Dowódcy oddziałów abordażowych do mnie! Obsługa dział na stanowiska!

Zakotłowało się na pokładzie. Puszkarze sprawnie i szybko zajęli miejsca przy działach, grupy abordażowe kolejno znikały pod pokładem, by po chwili wyskoczyć z powrotem w pełnym uzbrojeniu.

Rapis spokojnie przyjrzał się płynącemu z południowego wschodu holkowi. Pełzł powoli beidewindem, dostosowując swą i tak małą prędkość do jeszcze powolniejszych, ciężko załadowanych kog.

Mgła opadała; na holku już ich dostrzeżono, trwały tam gorączkowe przygotowania do walki. Jeszcze chwila i strażnik zmienił kurs. Płynął teraz pełnym wiatrem wprost na przecięcie kursu karaki. Coraz wyraźniej było widać srebrzyste hełmy stłoczonych na pokładzie żołnierzy.

– Wydaj rozkazy, Rrod.

Huknęło od strony sterburty, dwie wielkie, kamienne kule z łoskotem wzbiły ogromne fontanny wody. Strażnik próbował donośności swych dział pościgowych. Odległość jednak była zbyt duża.

– Rrod...

Stała przy nim i z lękiem patrzyła na zbliżający się szybko okręt. Chwycił ją za ramię i pchnął lekko ku rufie.

– Jazda do kajuty! Ale już!

Nie ruszyła się z miejsca, ujęła go tylko za ramię. Wtedy Rapis zwrócił ku niej swą spokojną na pozór twarz. Mocno cedził słowa:

– To jest okręt, nie targowisko. Jeżeli oficer mówi „do kajuty", to znaczy, że tak ma być. Won!

Nim zdołała uczynić jeden ruch, oderwał ją od Rrodana i pchnął tak mocno, że upadła.

– Odpieprz się od niej wreszcie!

Spojrzał na oficera. Gniew zalśnił w szarych oczach. Powściągnął go jeszcze raz.

– Masz rację – wycedził przez zęby. – Nie czas.

Strażnik był bardzo blisko, marynarze patrzyli wyczekująco. Rapis podniósł do ust gwizdek. Majtkowie mocniej ścisnęli broń.

– Poprowadzę abordaż, Rrod. Ty obejmiesz dowodzenie na statku.

Oficer skinął głową. Odwrócił się twarzą do nadpływającego okrętu.

– Prawa burta – ognia!

Statek drgnął i przechylił się ciężko. Wokół dziobu strażnika trysnęły w górę fontanny wody.

– Ramadan, kurs na wiatr!

Ostro płynęli beidewindem na spotkanie wrogiego okrętu. Gdy byli już tak blisko, że dało się odczytać wymalowaną na dziobie nazwę statku, padł kolejny rozkaz:

– Działa pościgowe – ognia!

W tej samej chwili strzelił i strażnik. Jeden z pocisków złamał środkowy taran.

Strażnik nieznacznie zmienił kurs, oba okręty płynęły teraz wprost na siebie. Rapis skinął na bosmana. Ten natychmiast przyniósł mu ciężki, oburęczny topór.

Gdy oba okręty dzieliła odległość najwyżej stu kroków, na pokład „Węża Morskiego" spadła ulewa strzał, wysłanych z dziobowego kasztelu holka. Łomotnęły o deski padające ciała zabitych i rannych, rozległy się krzyki bólu i przekleństwa. Gdy okręty drgnęły, ocierając się o siebie burtami, ludzie Rapisa z wprawą rzucili haki, przytrzymali bosakami przepływający mimo kadłub. Wściekłe, wydarte z setki piersi wycie zagłuszyło komendy oficerów na strażniku. Ogromna masa ludzi i broni runęła na pokład mniejszego okrętu. Dopiero teraz ukryci w obu kasztelach, niepotrzebni już do obsługi dział majtkowie napięli łuki. Na pokład strażnika spadło kilkadziesiąt strzał i bełtów. Zakotłowało się na śródokręciu, w powstały mętlik wpadli prowadzeni przez Rapisa ludzie. Strażnicy zastawili się włóczniami i dopiero wtedy stało się jasne, do kogo musi należeć zwycięstwo. Na czele zgrai szło kilkunastu najbardziej doświadczonych rzemieślników – resztki starej załogi Rapisa. Ci nie mieli mieczów ani włóczni, doświadczenie nauczyło ich, że najskuteczniejszą bronią w walkach abordażowych jest topór, a jeszcze lepiej – berdysz. Włócznie żołnierzy trzasnęły jak wątłe patyczki już w pierwszym kontakcie z pirackim orężem, oficerowie na próżno starali się zorganizować w szyk natychmiast rozproszonych żołnierzy. Zorganizowany opór zgasł w pierwszej minucie walki, potem zaczęła się rzeź. Strażnicy byli dzielni tylko w dużej grupie, tam, gdzie zmuszeni byli walczyć po dwóch–trzech – ulegali natychmiast. Strzały z kaszteli przestały świstać, w zamieszaniu łucznicy bali się razić swoich. Na śródokręciu rozpoczęła się mordercza gonitwa; ludzie Rapisa chwytali biegających w panice strażników i wyrzucali za burtę, bądź po prostu mordowali. A byli to przecież dzielni i odważni żołnierze, świetnie wyszkoleni – cóż, jeśli działający jak jeden miecz i jedno

ramię tylko w zwartym szyku i pod wodzą doświadczonego oficera. Rapis w ciągu dwudziestu prawie lat uprawiania swego procederu nauczył się był, w jaki sposób prowadzić walkę. Uderzał w jeden punkt, rozbijał szyk jak klinem na dwie grupy, te mniejsze, a potem już spokojnie docinał zdezorientowane oddziałki.

Tak było i tym razem. Jak demon, którym go przecież zwano, poszedł jak w dym, zaraz na początku zmiażdżył toporem dwóch oszczepników i odrąbał ramię wraz z głową chudej strażniczce z łukiem. Potem dopadł wrzeszczącego oficera. Ten pchnął mieczem, ale ostrze drasnęło tylko biceps. Rapis szerokim, półkolistym ruchem wywinął toporem. Odcięta od tułowia głowa potoczyła się po pokładzie. Skoczyło ku niemu dwóch żołnierzy, ale idący obok Taras rąbnął berdyszem w hełm pierwszego, drugiego zaś wziął na siebie gruby i stary, lecz silny jak niedźwiedź bosman Dorol.

Opór szybko wygasał. Na sygnał Rapisa piraci sprawnie podłożyli ogień pod kasztel rufowy, a zaraz potem pod dziobowy. Gdy tylko deski zajęły się płomieniem, Rapis uniósł do ust gwizdek. Po chwili byli z powrotem na „Wężu Morskim". Nie brali łupów – mieli przecież jeszcze dwie wielkie, wyładowane towarami kogi. Odcięto wiążące oba okręty liny, odczepiono bosaki. Uczepione burty zbiry z hałaśliwą wesołością obserwowały miotających się bezradnie wśród płomieni pozostałych przy życiu żołnierzy i marynarzy. Ogień rozprzestrzeniał się szybko, płonęło olinowanie i drzewce grotmasztu. Byli nie dalej jak ćwierć mili od gorejącego już jak pochodnia okrętu, gdy ujrzeli wyskakujące w panice do morza figurki załogi. Kilka chwil później wyleciały w powietrze rufowe prochownie. Statek przechylił się gwałtownie i zaczął szybko tonąć. Krzyki przerażenia i rozpaczy dotarły aż na pokład „Węża Morskiego". Potem eksplodowały zapasy prochu na kasztelu dziobowym. Wśród syku, kłębów pary i dymu okręt skrył się pod powierzchnią. Powstały ogromny wir wciągnął wszystkich utrzymujących się jeszcze na wodzie ludzi. Potem, gdy morze się uspokoiło, wypłynęły na powierzchnię nadpalone i potrzaskane deski, jakieś skrzynie, beczułki...

Demon z uśmiechem obserwował widowisko. Mógł pozwolić ludziom nacieszyć się zwycięstwem, przeciążone kogi nie miały żadnych szans na ucieczkę.

– Do żagli, hołota! Ramadan, bierz wiatr na rufę!

Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od uciekających pełnym wiatrem towarowców. Najwyżej trzy mile. Z takim ładunkiem mogły robić trzy–cztery węzły, on przy takim wietrze – przynajmniej sześć.

Spojrzał na Rrodana.

– Cóż, Rrod – rzucił lekko – możemy dokończyć bójki.

Ten spojrzał na niego pytająco. Nagle uśmiechnął się smutno.

– Dajże spokój – rzekł. – Musimy porozmawiać.

Rapis bacznie zajrzał mu w oczy.

– Też tak myślę. Ostatnio... Chcesz teraz?

– Tak.

– Więc chodźmy do mnie.

Niespiesznie ruszyli ku rufie. W krótkim, prowadzącym do kajuty kapitańskiej i kajut oficerów korytarzyku natknęli się na Rizarret, opatrującą wachtowego – młodego chłopaka, którego Rapis ciężko ranił mieczem. Spojrzeli. Rana była beznadziejna, marynarz paprał się we własnych wnętrznościach. Choć przytomny, widać było, że długo nie pożyje.

– Zostaw go – powiedział cicho Rrodan. – Zostaw go i chodź z nami. Musimy porozmawiać.

Rapis tylko spojrzał.

– Ach, tak... – powiedział z namysłem.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Idźcie stąd.

Wąski sztych miecza przebił chłopakowi gardło. Nawet nie jęknął.

– To jest okręt, a nie rynek w Dartanie – powiedział jeszcze raz Rapis. – Jeśli oficer mówi „chodź", to znaczy, że tak ma być.

Dziewczyna powoli uniosła się z klęczek. Z nienawiścią spojrzała mu w oczy.

– Tak, to jest okręt, a nie rynek – powtórzyła. – A ty jesteś jego panem i władcą.

Rapis nie mrugnął powieką.

– Właśnie, dziwko – powiedział spokojnie. – Właśnie.

Rrodan stał z opuszczoną głową. Nie drgnął nawet, gdy Rapis podszedł do drzwi kajuty swojej i otworzył je.

– Mieliśmy porozmawiać.

Oficer potrząsnął głową.

– Nie. Nie ma już o czym...

Huknęły zamykane z rozmachem drzwi. W korytarzyku zaległa cisza. Rizarret spojrzała na leżącego bez ruchu marynarza, potem na Rrodana i znów na marynarza. Łzy popłynęły po policzkach.

– Widzisz... – szepnęła. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale szloch chwycił ją za gardło. Odwróciła się, wbiegła do otwartej kabiny Rrodana i zamknęła za sobą drzwi. Słyszał jej coraz rozpaczliwszy płacz.

Stał bez ruchu. Nie zareagował, gdy skrzypnęły drzwi kapitańskiej kajuty.

– Chciałbym jednak wiedzieć, co się tu dzieje – powiedział Rapis.

Rrodan pokręcił głową.

– Nie, Rap. Już za późno...

– Skoro tak, to proszę.

Zadzwonił ciśnięty na podłogę miecz. Rrodan powoli uniósł wzrok. W dłoni Rapisa lśniło identyczne ostrze. Niedowierzanie odmalowało się na twarzy oficera.

– Więc naprawdę... naprawdę Rap... mamy z sobą walczyć? Po dwudziestu dwóch latach...

– Tak, Rrod. Po dwudziestu dwóch latach przyjaźni skrzyżujemy broń. Tak musi być, tak chcę.

Cisza.

– Podnieś miecz.

– Nie, Rap. Nie skieruję przeciwko tobie broni. Dobrze, powiem ci, co miałem do powiedzenia.

– Nie chcę już tego słuchać, Rrod. Broń się.

– Wysłuchaj jednak.

– Broń się.

Nie czekał na reakcję Rrodana. Odrzucił miecz, przeskoczył zwłoki marynarza i z całej siły uderzył w żołądek. Oficer zgiął się gwałtownie; natychmiastowe uderzenie kolanem w twarz rzuciło go na ścianę. Następny cios oderwał go od podłogi, poczuł tylko, że leci długo, wreszcie – ciągle przytomny – upadł jak wór kilka kroków dalej. Potężne kopnięcie w żebra sprawiło, że zaczął wolno powstawać. Mdliło go od ciosu w brzuch, nagle dostał torsji. Znowu cios. W pierś. Zakrztusił się wymiocinami i krwią, uderzył głową w dwa niskie, wiodące na pokład schodki. Jak przez mgłę widział potężną dłoń, która zacisnęła się na jego koszuli. Postawiono go na nogi.

– Broń się.

Stęknął przeciągle po kopniaku w podbrzusze, potem dwa straszliwe ciosy w twarz omal nie oderwały mu głowy. Jak przez ścianę usłyszał przeraźliwy krzyk Rizarret. Potem ogarnęła go ciemność. Nie czuł już, że jest wynoszony na pokład, nie widział, jak milczy przerażona załoga. Potem zamknęły się nad nim fale.

VII

Mieli je w zasięgu dział. Gdy na strzały ostrzegawcze nie zwróciły uwagi, zrównali się z tą, która płynęła jako druga. Z morderczej odległości oddali salwę burtową. Runął maszt, rozległy się krzyki przerażonych marynarzy i całego tłumu płynących na targ kupców. Rapis kazał pozostawić unieruchomiony statek i gonić drugi. Tym razem salwa poszła po linii wodnej, jeden z pocisków przebił poszycie, pozostawiając dziurę w kadłubie. To było za mało, Rapis wydał

Feliks W. KRES

Autor ukrywający się pod tym pseudonimem jest postacią tajemniczą. Karierę rozpoczął udziałem w pierwszym konkursie „Fantastyki" (II nagroda za opowiadanie „Mag"), potem wydrukował kilka nowel w „Feniksie" i „SFerze". Czeka na druk swych opowiadań i grubej powieści fantasy w wydawnictwie „Almapress".

Pisze dużo, mozolnie, poprawiając, wyrzucając i zaczynając od nowa, próbuje swych sił w różnych konwencjach i stylach. Publikowane przez nas opowiadanie jest jedną z pierwszych części zakrojonego szeroko cyklu. Czy warto, aby autor pracował nad nim dalej, zostawiamy ocenie Czytelników.

(raz)

rozkaz taranowania. Rozległ się jęk zawiedzionych, żądnych łupów marynarzy, ale Rapis wiedział, co robi. Byli zbyt blisko wybrzeży Garry, by ryzykować czasochłonne ograbianie aż dwóch statków. Poza tym miał poważne straty w załodze. A w każdej chwili mogła pojawić się na horyzoncie eskadra wojennych okrętów. Łupy wyniesione z jednego tylko towarowca były i tak królewską zdobyczą.

Wstrząs omal nie zbił go z nóg. Górny taran pękł w połowie, dolny roztrzaskał cały niemal dziób ciężkiej kogi. Woda z łoskotem runęła do wnętrza kadłuba, powiększając wyłom. Koga przechyliła się nagle, widać źle umocowany ładunek poszedł na jedną burtę. Przeraźliwy krzyk ludzi zagłuszony został przez złowrogi trzask pękających desek. Dolny taran strzelił jak kruchy patyczek, oba statki odskoczyły od siebie. Gdy powracali do pierwszej ofiary, morze za nimi było już puste.

Szybko spięli okręty linami. Garstka żołnierzy eskortujących ładunek skupiła się przy powalonym maszcie. Wyrżnięto ich w mgnieniu oka, potem rzucono się na łupy.

Gdy Rapis wybiegł na rufę, byli tam już jego majtkowie. Kupcy płynęli nierzadko z całymi rodzinami, z różnych zakamarków statku dochodziły teraz krzyki gwałconych kobiet i zarzynanych dzieci. Nie zwracając na nie uwagi pobiegł do kajuty kapitańskiej. Otworzył drzwi. Ledwie zdążył uskoczyć przed ostrzem. Odrzucił topór i także dobył miecza. Kapitan był lepszym szermierzem od niego, ale zręczność nie szła w parze z siłą. Po trzecim uderzeniu Rapisa miecz wypadł mu ze zdrętwiałej dłoni. Rapis ciął strasznie i natychmiast zajął się mapami. Zwinął je w rulon i wepchnął za koszulę na piersi. Potem pozabierał potrzebne mu instrumenty nawigacyjne. Włożył je do dużego stojącego w kącie kajuty pudła i zajął się plądrowaniem szaf. Z jednej z nich wypadła niewielka, czarna skrzynka, zamknięta na olbrzymią kłódkę. Zadźwięczało złoto. Włożył ją do swego pudła, zabrał jeszcze kilka drobnych przedmiotów i już miał wychodzić, kiedy dostrzegł skuloną w kącie pokoju młodą, niezbyt ładną kobietę. Uniósł miecz, ale zrezygnował pomyślawszy, że statek i tak pójdzie na dno.

Gdy wybiegł na pokład, ujrzał swoich majtków zataczających się wokół wielkiej, otwartej beczki. Zrozumiał w jednej chwili: statek szedł z ładunkiem win.

– Precz! – ryknął. – Precz z powrotem! Wracamy!

Marynarze z żalem odstąpili od beczułki wydobytej z wielkim trudem z ładowni. Ożywili się jednak, gdy kazał im podłożyć ogień. Byli już na „Wężu Morskim”, gdy usłyszał ich wesołe przyśpiewki:

Wiatr morski, żeglarze, tę prawdę wam powie
hej! ha! hejże-ha!
Radujcie się, bracia, gdy giną wrogowie!
hej-ha! hej-ha! hej-ha!
Gdy świst miecza powie, że strażnik już trup
hej! ha! hejże-ha!
Radujmy się, bracia, i zgarniajmy łup!
hej-ha! hej-ha! hej-ha!

Przytknął gwizdek do ust i świsnął dwa razy. Śpiew ucichł natychmiast, ci, którzy jeszcze bawili na płonącym statku, pośpiesznie wracali na pokład karaki. Rapis odwrócił się do stojącego przy burcie Tarasa.

– Przypilnuj, żeby sprawiedliwie podzielono zdobycz – powiedział.

– Słucham, kapitanie.

Rapis lekko uniósł swoje pudło i podążył do kajuty. Po drodze zaczepił jednego z majtków:

– Hej, ty tam! Przyprowadź mi do kajuty tę dziewczynę!

– Słucham, Panie!

Łokciem otworzył drzwi i postawił pudło na podłodze. Ostrożnie wyjął instrumenty nawigacyjne i dopiero wtedy beztrosko i z hałasem postawił pudło w kącie. Wyszedł jeszcze na pokład, by wskazać sternikowi kurs i wrócił. Przy drzwiach kajuty czekała Rizarret, trzymana za nadgarstki przez marynarza.

– Nie chciała iść, Panie – usprawiedliwił się, gdy Rapis rzucił pytające spojrzenie.

– W porządku, możesz odejść.

– Tak, Panie.

Wepchnął dziewczynę do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Usiadł w fotelu, odpiąwszy najpierw miecz. Spojrzał uważnie.

– Taak... Może ty wiesz, co mi chciał powiedzieć Rrodan, co wiązało się z twoją osobą?

Na dźwięk imienia oficera drobne usta zadrżały. Opanowała się. Zacisnęła wargi i spojrzała z nienawiścią. Ale w głosie drżały łzy:

– Ty bandyto... morderco... Nic ci nie powiem.

– Na pewno?

Nie odpowiedziała. Nie patrzyła na niego.

Myślał przez chwilę, potem polecił:

– Rozbierz się.

Po długiej chwili oczekiwania wstał i szybko, bez zamachu uderzył ją w twarz.

– To jest okręt, nie rynek – powiedział z satysfakcją. – A ja jestem jego panem i władcą, jak słusznie raczyłaś niedawno zauważyć. A zatem zrób, co kazałem.

– Nigdy! – powiedziała z płaczem.

– Co ty powiesz?

Wykręcił jej rękę do tyłu, krzyknęła z bólu. Pchnął mocno i z dziwną, nie znaną wcześniej przyjemnością patrzył, jak rozmazuje krew z rozbitego nosa. Łzy ciekły po twarzy dziewczyny, lecz usta miała zaciśnięte z uporem. Wiedział, że nie ma ludzi do końca upartych, ale nie chciało mu się czekać. Otworzył drzwi do sypialni, wciągnął ją do środka i siłą zdarł suknię. Walczyła z nim, ale zignorował to. I właśnie bezradność załamała ją. Z jękiem znieruchomiała mu w ramionach i nie poruszyła się aż do końca. Naga, z bezwolnie rozrzuconymi nogami leżała nawet wówczas, gdy ubrał się i wyszedł. Wąska strużka zmieszanej z łzami krwi pozostawiła na policzku czerwony ślad. Zaschnięte, półotwarte wargi poruszały się lekko.

W tym samym czasie oparty o burtę Rapis płakał. Rozumiał... Ten gniewny ruch głową... i te usta. Zaciśnięte z uporem usta Terry, gdy żądała: „popłynę z tobą do Armektu, nie chcę czekać”. Przygryziony w gniewie paznokieć, gdy odmówił. I teraz... usta Rizarret. Rozwarte nozdrza...

Pięści do skroni.

VIII

Wciąż leżała w stłamszonej pościeli, gdy stanął w drzwiach. Był blady jak śmierć, powieki miał zapuchnięte. Ze ściśniętego gardła długo nie chciał się dobyć żaden dźwięk, tylko usta drżały, układając się w powtarzane zdanie:

– Dlaczegoś mi nie powiedziała? Dlaczego... żeście mi nie powiedzieli? Dlaczego?

Gdy wreszcie, po całych wiekach ciszy, po prostu musiała na niego spojrzeć – coś w niej drgnęło. Mógł już mówić, ale tak cicho, że ledwie go słyszała:

– Riz... Przez tyle, tyle lat... nie miałem nikogo, kogo mógłbym kochać. I wreszcie... gdy pojawił się ktoś taki... odsunięto mnie. Za moimi plecami uzgodniono, że... że nie umiem tego robić. Dlaczego?

Podbródek zadrżał, oczy znów zwilgotniały.

– Dlaczego, Riz?

Dwie wielkie łzy spłynęły w kąciki ust, za nimi następne dwie. Niezręcznie rozmazał je dłonią, odwrócił się i poszedł korytarzykiem.



Następnego dnia rano znaleziono go na dziobie między zwojem lin a skrzynią z narzędziami. Nikt nie widział zaciśniętego w dłoni Geerkoto – Rubinu Córki Grzmotu. I nikt prócz Rizarret nie wierzył, że ten siwy, pomarszczony starzec to Rapis K.D., Demon Walki.

Bo był mały. Zupełnie mały.

Feliks W. Kres

Finis coronat opus!

Zgodnie z obietnicą przedstawiamy dziś głosy niektórych jurorów i lektorów II Konkursu „Fantastyki" na opowiadanie SF. Konkurs okazał się przedsięwzięciem angażującym całą redakcję; był ciężką pracą i dużą przygodą, wpędzał nas na przemian to w krańcowe przygnębienie, to w radosną euforię. Ślady tych rozbieżnych emocji znajdziecie Państwo w zebranych niżej refleksjach. O Konkursie pisze też Szef we wstępniaku „...3...2...1...", niemal w całości poświęconym wielkiemu odkryciu Konkursu – opowiadaniu Marka S. Huberatha.

Nagrodzone i wyróżnione prace (poza opowiadaniem 18-latka z Opola, Piotra Goćka, wyróżniającego się na tle laureatów wyraźną młodopokoleniowością), przedstawiliśmy już Czytelnikom „Fantastyki". Dziś na kolumnach literatury polskiej „Demon Walki", nowe opowiadanie jednego z laureatów poprzedniego Konkursu, Feliksa W. Kresa. „Wielką ucieczkę" Piotra Goćka przedstawimy wkrótce. Natomiast mimo nalegań niektórych z Państwa zamierzamy nieco poczekać z ogłoszeniem Konkursu Nr III. Koniec wieńczy dzieło; chcemy teraz po prostu trochę odsapnąć, a i potencjalnym nowym czytelnikom (i laureatom) pozwolić zebrać myśli.

Redakcja

KONKURS i grafomani

W ciągu pięciu lat pracy w dziale polskim można zahartować sobie podniebienie. Grafomania i tupet są dla mnie rzeczą normalną, dziwnie i oczywiście wesoło robi się człowiekowi dopiero wtedy, kiedy trafia na coś wartościowego. W sumie – rzecz bardzo rzadka. W poprzednim konkursie z tysiąca stron wybrałem trzy opowiadania – około 80 stron maszynopisu. W tym miałem tylko jedno trafienie, po lekturze 1500 stron kiepskich, jałowych, stereotypowych... ale za to odkryłem Marka Huberat-
ƚwych... ale za to odkryłem Marka Huberaktha! Uważam, że to proporcje normalne, w kursów były wydania wielotomowe.

II Literacki Konkurs „Fantastyki" miał blisko dwukrotnie liczniejszą obsadę niż pierwszy – 1148 zestawów prac wobec 689 – stron maszynopisu też było sporo więcej, ale objętościowo jego efekt końcowy wygląda na skromniejszy. Z drugiej strony, patrząc pod względem czytelniczym, to co przebiło się do finału stanowi bodaj lepszą literaturę, sprawniejszą prozę. Skąd taki wynik? W pierwszym konkursie było więcej nawiedzonych młodzików, intuicjonistów. W tym drugim wystartowali także profesjonaliści (i oni głównie wypłynęli), którzy dostrzegli i uczciwie przeżyli zmianę skóry gatunku i potrafili swe dojrzalsze przemyślenia włożyć w nową, bardziej satysfakcjonującą formę artystyczną.

Sądzę, że pokonkursowa książka numer dwa (chyba zatytułujemy ją „Ciernie") będzie się lepiej czytać i mieć lepszą prasę. Mimo to mam do „Trzeciej bramy" i jej autorów niezniszczalny sentyment. Byli pierwsi, wyważyli przegrody, dopiero potem zostali (chyba!?) zdystansowani. Plon drugiego konkursu dokumentuje utrwalenie się, a nie narodziny nowej poetyki; jego autorzy grają piękną i wymyślną partię kartami, które, mam wrażenie, już raz były w grze – nieco amatorskiej co prawda, ale też pełnej pasji. Większość określeń wobec tego nowego tomu – fantastyka alegoryczna, surrealistyczna, baśniowa, humanistyczna, magiczna, „Wschodnia", różnorodna w inspiracjach, pokoleniowa, nawet rozrywkowa – już padło wobec laureatów konkursu pierwszego.

W przejmującym opowiadaniu Huberatha, które wszystkich w redakcji z Szefem włącznie (patrz wstępniak „...3...2...1") przyprawiło o silną euforię, znajduję przecież elementy podobne do niektórych opowiadań z „Trzeciej bramy", a zwłaszcza „Manuału skazanego" i „Dziedzictwa". Trudno mówić tu o naśladownictwie (data publikacji i moment pisania utworów to wyklucza), przyjemnie stwierdzać istnienie nowych wątków, ich pokrewieństwa, krążenie w powietrzu ciekawych konwencji. Tym właśnie jest konkurs – uczestnictwem w przedsięwzięciu, w którym pojawiają się nowe wartości literackie, są wzmacniane, rozwijane i promieniują na innych.

Dopiero w tym kontekście chciałbym dodać parę zdań o grafomanach. Są wieczni, więc nie powinni nas irytować. Grafomani bywają tym dla literatury, czym spód góry lodowej dla jej wierzchołka: to najczęściej przyszli lub przeszli gorliwi czytelnicy. Grafomani pozostają zawsze w większości, są normalni i zwyczajni – twórcy nie – twórcy są kuriozalni. Startując do problemu grafomanii z takiej płaszczyzny wypadnie z radością stwierdzić, że poziom reprezentowany przez grafomanów w Konkursie nr II poszedł w górę, a teksty eliminowane obecnie były sprawniejsze od tych odrzucanych przed czterema laty. Dlatego dzisiejszy grafoman informujący redakcję od razu na wstępie, że wprawdzie nie umie pisać, robi błędy, ale prosi, żeby... budzić winien właściwie sympatię, bowiem on już odróżnia tekst dobry od złego. W każdym razie takich skruszonych osobników należy postawić znacznie wyżej w hierarchii bytów literackich od grafomanów aroganckich, bezkrytycznych i pełnych pretensji. W niepewności dzisiejszych grafomanów, w ich kajaniu się „zanim co" widzę słodki owoc orki na ugorze, jaką była praca w dziale polskim (i oczywiście praca paru innych kolegów w innych działach) w ciągu minionych 60 (sześćdziesięciu!) miesięcy istnienia „Fantastyki".

Maciej Parowski

I wszystko wiemy

Wśród nagrodzonych znajdują się teksty tworzone w różnych konwencjach, stylach, odmianach gatunkowych. Bardziej i mniej tradycyjne. Ale zasadniczy przełom mamy już dawno za sobą. Jeśli nawet „cudowny wynalazek", to ingerujący w podświadomość człowieka, manipulujący jego doznaniami, emocjami. Jeśli „kosmiczna" SF, to pisana z humorem, dystansem, autoironią. Wiele w tekstach konkursowych poetyki fantasy – znać tu echa lektur „Fantastyki", może przejściowej mody – dobrze to czy źle, czas pokaże. Są nawiązania do rodzimych wątków baśniowych, pastisze literackie, to chyba zdarza się po raz pierwszy.

Mimo różnych konwencji, stylów, poetyk jest chyba coś, co teksty te w jakiś sposób łączy – trudno o tym pisać „z marszu", na bieżąco, ale – jak się wydaje – jest to jakiś rodzaj dystansu do rzeczywistości, próba opisu świata na własną rękę, sięgania po tematy zgoła eschatologiczne, duża, ogromna doza nieufności wobec zbankrutowanych systemów, ideologii, prób urządzania świata. Nowa generacja? Nie, generacje nie rodzą się co kilka lat, ale coś się zmienia, rysuje na horyzoncie zdarzeń, chociaż na ostateczne rozstrzygnięcia przyjdzie jeszcze poczekać.

Sprawy warsztatu – te w literaturze SF bywają zwykle zaniedbywane, a przecież proza pomysłu jest tylko narzędziem w rękach popularyzatorów, moralistów. W naszym konkursie nie było z tym najlepiej – nieporadność warsztatowa była zatrważająca, problemy odklejały się od narracji, oryginalne pomysły oblekano w zużytą materię słowną, brakowało rozwiązań, finałów, gry na różnych instrumentach. Również nagrodzone, prezentowane teksty, nie są wyjątkiem od reguły.

Literatura SF jest nie tylko rozrywką, może nieść pomoc człowiekowi zagubionemu we współczesnym świecie. Może być wyjaśnieniem świata, próbą takiego opisu, którego nie mogą udźwignąć inne konwencje literackie. Może go scalić odpowiadając na pytanie „jak żyć", może go rozbić, dowodząc, że recepty takiej nie ma i być nie może. Ale to także rodzaj scalenia, poszerzający wiedzę o człowieku, sposobach poznawania świata.

Najciekawsza jest fantastyka wtedy, jeśli nie mnoży bytów bez potrzeby, zaskakuje innym spojrzeniem na rzeczywistość, ukazuje codzienność świata w nowym, odrębnym wymiarze. Jeśli przy tym udaje się jej przekazać kilka spostrzeżeń o człowieku – jej cel zostaje osiągnięty.

Ufam, że coś z tych przemyśleń znalazło się w nagrodzonych utworach.

Andrzej Niewiadowski

Szukamy osobistego spojrzenia

Czytanie setki lub więcej prac konkursowych to zajęcie wielce denerwujące i przygnębiające. Denerwujące, bo człowiek sobie myśli: dlaczego ten facet uważa, że ma prawo zajmować innym ludziom czas, skoro nie ma nic do powiedzenia i na dodatek jeszcze się jąka. Przygnębiające, bo tyle ludzi traci czas na robienie rzeczy marnych – nieużytecznych bubli.

Czy są w tym stosie chłamu jakieś prawidłowości? Tak, jest odwrotnie niż u Tołstoja: wszystkie marne opowiadania są do siebie podobne...

Język. Języka człowiek uczy się od pierwszego roku życia, kto więc przez lat 18, czy 20 nie nauczył się dobrej polszczyzny, ten widocznie się już nie nauczy. Polsz-

czyzna może być nie tylko błędna, ale i bezbarwna, nijaka, choć prawidłowa. To też w zasadzie wyklucza z dalszej gry. Podobnie ze stylizacją biblijno-gilgameszową. Jeszcze nie spotkałem zasługującego na uwagę opowiadania w tej stylizacji. (Przykładem pozytywnym na wagę języka jest „Wiedźmin". Barwny, soczysty język ożywił tu stary, dość ograny temat.)

Nowe pomysły są prawie równie rzadkie w SF jak w nauce. Literatura głównego nurtu też ogrywa parę znanych tematów od tysięcy lat. Szukamy więc czegoś rzadkiego – własnego, osobistego spojrzenia. I jeżeli się coś takiego znajdzie, to człowiek się cieszy, jakby wygrał na loterii. Jest to radość redaktora, wydawcy, handlarza obrazami, a może po prostu grzybiarza. Nie ja siałem, ale ja znalazłem. Ja miałem przyjemność znaleźć w kupie kompostu opowiadanie Waldemara Podgórskiego o tym wojewodzie, co trząsł portkami.

Lech Jęczmyk

Uwaga na marginesie

Niestety, nie miałam szczęścia znaleźć wśród czytanych przeze mnie opowiadań konkursowych (około tysiąca stron maszynopisu) ani jednej pozycji, która by mnie naprawdę porwała. Kilka rokowało nadzieję, że autor ponawiając próby pisarskie może w przyszłości osiągnąć sukces, większość jednak opowiadała historie nieciekawe, schematyczne, uproszczone i po prostu słabe. Ale nie chcę tutaj rozważać jakości przysłanych prac. Konkurs został już wszak rozstrzygnięty, nagrody przyznane i każdy z Państwa może przeczytać opowiadania wyróżnione przez jury i ewentualnie porównać je z tymi, które sam wysyłał. Chciałabym jednak poruszyć inny problem – marginesowy dla konkursu, a jednak symptomatyczny i tłumaczący dlaczego tak wiele przysłanych opowiadań nie spełniało kryterium literackości utworu.

Wiele prac opatrzonych było „listem przewodnim", w którym autor przedstawiał siebie, swoje środowisko, swoją fascynację gatunkiem science fiction. Jednakże niejednokrotnie znajdowały się tam również uwagi typu „wiem, że nie umiem pisać" lub bardziej specyfikujące „wiem, że robię błędy ortograficzne", „mój styl jest bardzo słaby", „z polskim zawsze miałem kłopoty" itd., itd.

Zastanawia mnie, dlaczego osoby, które wiedzą (bo nie była to kokieteria – opowiadania towarzyszące tym listom obarczone były zawsze błędami, których świadomość autor posiadał), że nie umieją pisać, uważają, że ich utwory warte są przeczytania przez innych. To, że pewne refleksje czy pomysły przelewane są na papier jest zjawiskiem powszechnym i wydaje mi się, że ze wszech miar pozytywnym. Jeżeli jednak autorzy zdają już sobie sprawę ze swoich braków, czemuż nie poproszą klasowej prymuski o sprawdzenie tekstu (na pewno chętnie pomoże, żeby wykazać, że zasłużyła na swój tytuł) lub po prostu nie sięgną po słownik, żeby nieco wygładzić co ostrzejsze kanty swojej prozy.

A listy czytałam dopiero po lekturze opowiadań.

Dorota Malinowska

Co wolno Tolkienowi, to nie „Wiedźminowi"?

Szanowna redakcjo!
Opublikowane przez was opowiadanie „Wiedźmin" jest bezczelnym plagiatem baśni opracowanej przez Romana Zmorskiego pt. „Strzyga", wydanej w roku 1852 w zbiorze „Podania i baśnie ludu polskiego". Jedynie początek opowiadania został przez pana Sapkowskiego trochę zmieniony – reszta prawie dokładnie według tekstu Zmorskiego. Mam nadzieję, że nie pozostawicie tak tej sprawy.

Gorliwa czytelniczka „Fantastyki"
Katarzyna Wacyk

Zarzut plagiatu to sprawa poważna, a zacytowany list jest jednym z kilku utrzymanych w podobnym tonie i zarazem jednym z bardzo wielu listów dotyczących „Wiedźmina". Pozostałe zawierały pochwały pod adresem Andrzeja Sapkowskiego, a jeden z Czytelników ufundował nawet dla autora prywatną nagrodę w wysokości 1000 złotych (przekazaliśmy, dziękujemy, gratulujemy). Zarówno tym, którzy chwalili, jak i tym, którzy odsądzali naszego laureata od czci i wiary, należy się zatem kilka wyjaśnień.

Drobiazgowo porównałem opowiadanie Andrzeja Sapkowskiego z zapisem Romana Zmorskiego (nawiasem mówiąc nazywanie Zmorskiego autorem „Strzygi" jest uproszczeniem, opracował on tylko zasłyszaną ludową baśń). Podobieństwa między tekstami są istotnie łatwe do zauważenia, chociaż ograniczają się głównie do zarysu fabuły. Baśń Zmorskiego opowiada o wydarzeniu, które miało miejsce w państwie króla Goździka, który to król w młodych latach dopuścił się kazirodztwa z własną siostrą. Królewna, będąca efektem tego wydarzenia, zmarła zaraz po narodzeniu i stała się strzygą. Od tego czasu przy każdej pełni księżyca wychodzi z grobu, pożerając nieostrożnych przechodniów, czy też – potem – specjalnie w tym celu podrzucanych jej złoczyńców. Król jednak nie pozwala zabić strzygi, wiedząc iż jeżeli jakiś śmiałek spędzi przy krypcie królewny trzy noce czar pryśnie, a jego córka wróci pomiędzy żywych. Amatorzy połowy królestwa i ręki królewny giną więc masowo i dopiero przybyły z daleka biedny sierota uzbrojony w kij oraz dobre rady spotkanego po drodze staruszka (Uwaga! Tajny czarodziej!), z którym podzielił się ostatnią okruszyną chleba, dokonuje niełatwej sztuki odczarowania nieszczęsnej. Ocala go, jak to zwykle w baśniach bywa, nie siła, ale spryt. Pierwszej nocy kryje się pod stertą kości, drugiej – na organach (bo grób królewny znajduje się w podziemiach kościoła), które strzyga przez całą noc bezskutecznie szturmuje wspinając się po wywleczonych z podziemi trumnach; trzeciej wreszcie zamyka się w trumnie królewny, kreśląc na jej wieku poświęconą kredą znak krzyża. Potem żyją długo i szczęśliwie.

Różnice w prowadzeniu głównego wątku są na tyle drobne, że można je pominąć – Andrzej Sapkowski w godnej pochwały trosce o zwięzłość zastosował słabszy czar, do którego unicestwienia wystarczyła jedna noc, a na wieku trumny kazał swojemu bohaterowi nakreślić, zamiast krzyża, znak „Yrden", co też jest logiczne, zważywszy, że w świecie fantasy religia chrześcijańska raczej nie występuje. Ważniejsza jest tu zmiana realiów – czy raczej ich stworzenie – bo o państwie króla Goździka nie pisze Zmorski prawie nic. Bohaterem „Strzygi" jest dość stereotypowy biedak Marcin, który poza tzw. dobrym sercem nie wyróżnia się w zasadzie niczym szczególnym. Sapkowski zastępuje go przyzwoicie skrojonym, choć nieco conanowatym Geraltem. I wreszcie, co najistotniejsze, na motywie krótkiej, jednowątkowej opowiastki tworzy Sapkowski rozbudowane, dowcipne i sprawnie napisane opowiadanie, mające się do pierwowzoru tak, jak „Fiat 125p" do dyliżansu.

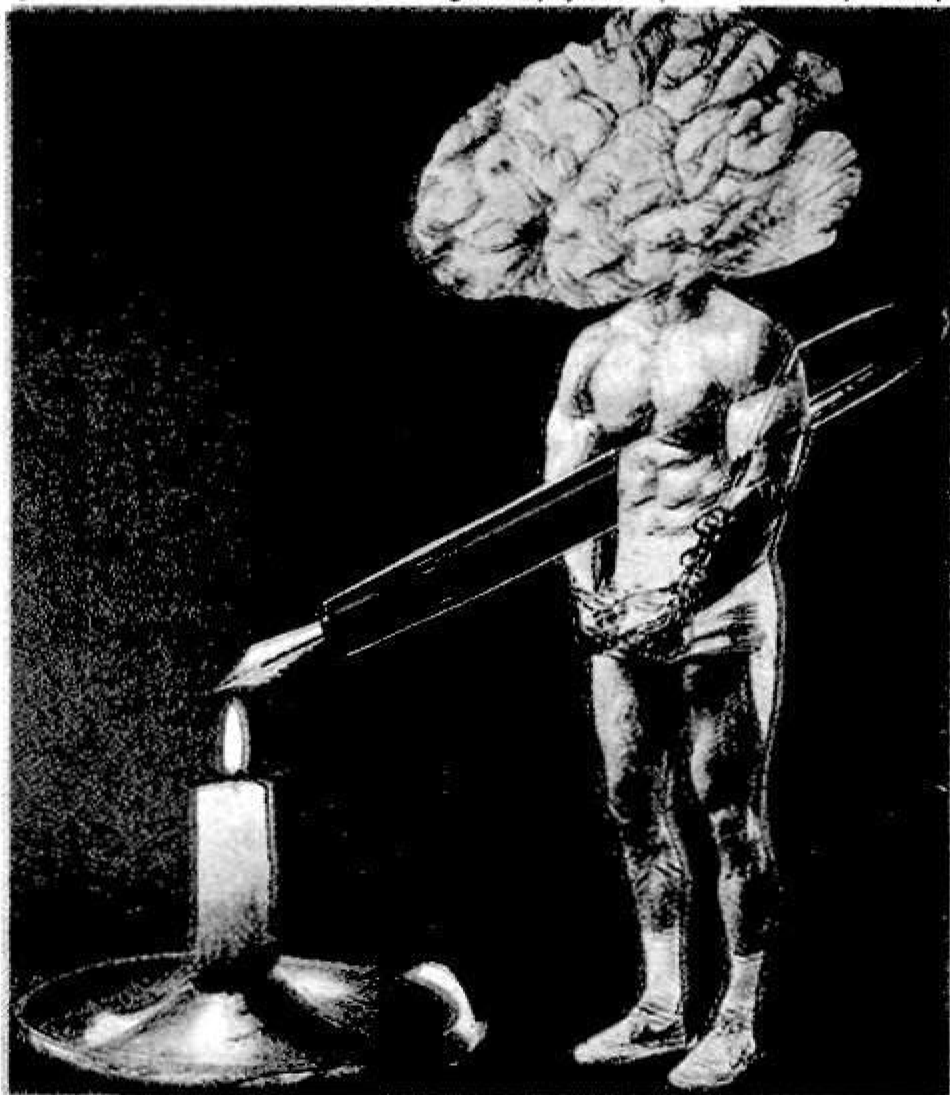
Mówiąc krótko: pomysł „Wiedźmina" jest faktycznie zaczerpnięty z baśni, ale przetworzony i opracowany na nowo stał się bezspornie własnością autora z Łodzi. Czy jest to plagiat? Jeśli tak, musimy na liście plagiatów umieścić wszystkie mazurki i oberki Chopina, ponad połowę z „Ballad i romansów" Mickiewicza, a także twórczość J.R.R. Tolkiena i prawie całą anglosaską fantasy, która z zamiłowaniem wykorzystuje wątki starych, celtyckich i normańskich podań.

Zresztą większość Czytelników, którzy dostrzegli podobieństwa „Wiedźmina" i „Strzygi", zdała sobie z tego sprawę. *A przy okazji gratuluję autorowi „Wiedźmina"* – zakończył swój list jeden z nich. – *Potrafił on z głupiej bajki zrobić nadające się do czytania opowiadanie fantasy.*

Nie wdając się w ocenę „Strzygi", którą nasz Czytelnik potępia chyba zbyt pochopnie, wypada stwierdzić, że jego pochwała jest zasadna.

Wszystkich entuzjastów i wrogów „Wiedźmina" zachęcam do sięgnięcia po pierwowzór opowiadania. „Strzygę" opublikował w 1956 roku Tomasz Jodełka w drugim tomie antologii „Polskie baśnie ludowe".

Rafał Ziemkiewicz



Zbigniew Latała

Nowaczyński Adolf
(1876–1944)
Dramatopisarz, satyryk, publicysta

Urodził się 9 stycznia 1876 roku w Podgórzu pod Krakowem. Syn Antoniego, radcy sądowego i Ludwiki z Kronenbergów. Studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, tu znalazł się w gronie młodzieży artystycznej, następnie związał się przejściowo z cyganerią spod znaku Stanisława Przybyszewskiego. W roku 1903 należał do redakcji pisma satyrycznego „Liberum veto". W roku 1904 przeniósł się do Warszawy, dla podkreślenia różnicy przekonań dzielących go od ojca przybrał przydomek Neuwert. W latach wojny ogłaszał pamflety antyniemieckie drukowane w „Kurierze Porannym" i redagowanym przez siebie, konspiracyjnym „Liberum veto". Po roku 1918 stał się czołowym publicystą obozu narodowodemokratycznego, pisywał do „Gazety Warszawskiej", „Myśli Narodowej" oraz działu politycznego „Prosto z mostu". Za publikowane artykuły otrzymywał wyroki sądowe (1923, 1929). W roku 1927 padł ofiarą brutalnej napaści przeciwników politycznych, w wyniku czego stracił oko. Autor satyr prozą „Małpie zwierciadło" (1902), „Facecje sowizdrzalskie" (1903), „Skotopaski sowizdrzalskie" (1904) oraz wielu dramatów i komedii, m.in. „Smocze gniazdo" (1905), „Cyganeria Warszawska" (1912), „Komendant Paryża" (1926), „Wiosna narodów" (1929). Eseista, krytyk, wydał m.in. szkice o swoich współczesnych, o pisarzach epoki odrodzenia, o literaturze obcej zawarte w tomach: „Studia i szkice" (1901), „Wczasy literackie" (1905), „Szkice literackie" (1918), „Góry z piasku" (1922), „Pamflety" (1930), „Plewy i perły" (1934), „Słowa, słowa, słowa..." (1938).

Kilkakrotnie nagradzany za działalność literacką (1928, 1934, 1939). W czasie II wojny światowej przebywał w Warszawie, był więziony na Pawiaku. Zmarł 3 lipca 1944 roku w Warszawie.

W roku 1927 ukazała się powieść Adolfa Nowaczyńskiego **„System doktora Caro. Utopia humorystyczna"** (pierwodruk w: „Rzeczpospolita" 1925/3 – 47). Akcja książki rozgrywa się pod koniec XX wieku w Warszawie – stolicy VII Stanu Zjednoczonych Stanów Europejskich. Bohaterem jest historyk sztuki, który prowadzi badania nad twórczością malarza przełomu XIX i XX stulecia – Jana Gwalberta Ślaza i przypadkowo trafia na ślad metody odmładzania opracowanej przez doktora Caro. Okazją do satyrycznej oceny epoki stają się listy i pamiętniki z dwudziestolecia międzywojennego. Nowaczyński nie żałuje epitetów i złośliwości pod adresem swoich współczesnych dopuszczając do głosu nacjonalizm, tworząc paszkwil społeczno-polityczny wpisany w ramy powieści przyszłościowej.

Bibliografia wybrana:

– A. Hutnikiewicz, *Adolf Nowaczyński* (w:) „Obraz Literatury Polskiej" V/2,
– H. Drzewiecki (w:) „Wiadomości Literackie" 1927/128,
– E.K. (K. Kozikowski) (w:) „Czartak" 1928.

System doktora Caro
Utopia humorystyczna

Adolf Nowaczyński

W każdym razie jest to fakt, że ten profesor Caro mieszka we Florencji.

Jest doktorem (najwybitniejszym z uczniów doktora Woronowa) i całą tę metodę stara się údoskonalić do ostatnich granic.

Z zawodu, z profesji – uczony, bada „Patologię Ras". Co to jest „patologia ras", to dokładnie nie wiem, ale to do rzeczy d o n a s z e j nie należy. Otóż kiedy doktor Caro kilka razy z naukową wyprawą bywał sobie w Abisynii (...), odnalazł wysoko w górach jeden zupełnie zagubiony szczep ludzki, który się tam sam uchował, nic o reszcie ludzkości nie wiedząc. Ponieważ mieszka w górach, więc oczywiście góralski to szczep (...).

Będzie tego szczepu ze sto tysięcy do dwustu tysięcy sztuk.

Ponieważ atoli żyli w odosobnieniu od reszty ludzkości, więc trochę kompletnie zdziczeli, a że w gorącym klimacie więc odzieży nie używają, a tylko nieco zarastają na całym ciele (jak małpy). Jeszcze ich widocznie wypoczętych i nie zużytych wskutek niestykania się przez wieki całe z resztą ludzkości. Eksperymenty jakie z nimi robił doktor Caro, dały niesłychane rezultaty. To do czego normalny człowiek, Europejczyk (albo Murzyn, albo Japończyk) w ogóle homo humanus potrzebuje rok, do tego im wystarczy tydzień. W trzy dni nauczyli się czytać i pisać po włosku. W tydzień algebra, w miesiąc stenografia, w trzeci chemia organiczna.

W dwa miesiące niektóre okazy umiały zgłębić jakiś systemat filozoficzny albo znalazły odkrycie z dziedziny astrofizyki czy sejsmografii itp.

Górale z niektórych okolic górskich w głębi Abisynii są podobno potomkami w prostej linii Matuzalema i żyją po sto trzydzieści do stu sześćdziesięciu lat, a nawet dłużej.

Podobno dwa centymetry kubiczne, czyli 1000 (tysiączna część) litra czystej krwi owych górali już by wystarczyła...

Pamiętnik Tymoteusza Koreysza-Kołtońskiego

9 stycznia

Długa kilkogodzinna konferencja z „X". Ponieważ cierpi tak na tę amnezję (utrata pamięci), więc jak zwykle starałem się notować wszystko dość pedantycznie (...).

bardziej zbliża do małpiego gatunku czy szczepu niesłychana zwinność i zgrabność jakiej nabrali bytując w górach i na drzewach.

Doktor Caro pierwszy raz natknąwszy się na ten szczep był przekonany, że to może pawiany (...).

Okazało się, że te górale Abisyńskie to jest wprost jakiś fenomen gatunku ludzkiego o niezwykłej hipertrofii wszystkich zdolności i talentów

Ja, tylko ja Tymoteusz Kołtoński znam właściwą drogę do:

1. Odmłodzenia Sarmatów
2. Położenia kresu chronicznej nieproduktywności słowiańskiej.

29 stycznia

W Klubie śniadanie we dwójkę z Hipciem Matołowiczem, który tak, jakby coś podejrzewał, ciągle bierze mnie na spytki i pytaniami dookoła zachodzi, a raczej stara się zaskoczyć.

Zauważyłem w nim pewne symptomata, nie powiedziałbym, że sympatyczne, jako obserwatorowi z profesji nic nie ujdzie przed moim okiem.

Otóż przede wszystkim ręce. Jeszcze nigdy nie widziałem u nikogo rąk tak uwłosionych jak u niego teraz, po niedawnym powrocie z Paryża (...).

Następnie w ruchach Hipcio dawniej miał gestykulację spokojną i poniekąd estetyczną. Teraz ni stąd, ni zowąd odkłada nóż i widelec i zaczyna gorączkowo drapać pięcioma palcami to po twarzy, to po łydkach.

Ale nie dość tego, kiedy nam podali na deser owoce z kokosowym orzechem na środku patery, prezes Matołowicz wpatruje się chwilę przenikliwie w kokos tak, jakby sobie coś z trudem przypominał i nagle raptownym ruchem chwyta kokos w rękę i podrzuca, żonglując wysoko w powietrze, chichocząc przy tem niemile i jakoś nieludzko (...).

„Wykaz naszej działalności"

(sporządzony własnoręcznie przez senatora Tymoteusza Koreysza-Kołtońskiego w roku 1964)

Następujący członkowie byłego Koła Racjonalnego Rybołóstwa, którzy w roku 1925 poddali się (pierwsi w Europie) regenerującej kuracji doktora Caro we Florencji...

zdziałali między latami 1926 a 1942, co następuje, a mianowicie:

1. Dołęga Szczęsny-Feliks (ongiś homeopata):

Jako poseł do parlamentu: przepro-

wadzenie w ciągu lat trzech w ciałach prawodawczych ustawy o prohibicji (wzorowanej na amerykańskiej). Zamknięcie wszystkich gorzelni rolniczych i przemysłowych (produkcja w roku 1924 – 104 000 + 96 000 hektolitrów wódki). Dostarczenie w ten sposób linii okrętowej Gdynia – Buenos Aires kontyngentu emigracyjnego z 12 tysięcy Chazarów – szynkarzy. (...) Przebudowa sześciuset gmachów więziennych na „Domy Pracy" wytężonej. Przeniesienie Mennicy Państwowej do Wiśnicza, a Drukarni Państwowej do więzienia na Mokotowie.
2. Dulski Anastazy Felicjan
Idea linii żeglugowej Puck – Singapore. Przeprowadzenie wykupu wyspy Krety. Wysiedlenie Kretynów tamtejszych do Samary. Kolonizacja i amerykanizacja naszych Kresów wschodnich. Spolonizowanie Krety Białorusinami. Filia Forda w Brześciu Litewskim. Roczna produkcja Fordsonów 3800 (rok 1927).
3. Kamienicki Melchior
Uruchomienie tysiąca cegielń (rok 1928). Kartel Cementowy „Ferro-Beton" (Żwirówka). Wysiedlenie ludności z Sosnowca, zbombardowanie i zburzenie tegoż. Żeromsk, fabryczne miasto – ogród w myśl ideałów Ruskina i Morrisa.
4. Kresowiecki Mikołaj
Pierwsza mapa plastyczna najgorszych dróg, gościńców i szos na globie ziemskim. Filia „Fiata" w Falencinie. (...)
5. Łykowski Roch, Roman
Sztuczny wodospad Bugu. Instalacja trzech linii jednotorowego tramwaju elektrycznego: Lwów-Borysław, Kraków-Ojców, Warszawa-Puławy. Pertraktacje z ramienia rządu z rządem czeskim (rok 1931). Czesi otrzymują Będzin (na lat 99), Polska dostaje Piszczany, część drugą Cieszyńskiego i trzy dziesiąte udziałów w zakładach Škody.

Prezes Komitetu budowy pomnika Curie-Skłodowskich na Placu Zbawiciela w Warszawie.
6. Matołowicz Hipolit
Reorganizacja wszystkich krajowych fabryk likierów na fabryki lakierów. Budowa pierwszych kolejek podziemnych: Warszawa (Praga – Wola, Mokotów – Jabłonna, Powsin – Bielany).
7. Pieterkiewicz January (były profesor gimnazjum Reja w Warszawie)
Pierwsza krajowa sztuczna wylęgarnia łososiów i pstrągów (w Szczawnicy). „Ostryga wiślana", tj. wyhodowanie i uprawa krajowych ostryg na największą skalę. Centralizacja całego handlu kawioru wschodnio-europejskiego w Kartuzach. Wyhodowanie i uprawa gatunku „Sardynka Sarmacka" (płotki).
8. Płoszowski Mateusz
Autor broszury „Z dogmatem". Pierwsza polska fabryka gramofonów zatrudniająca wszystkich krajowych grafomanów (2600 robotników w 1930 r.).
9. Połaniecki Florian (były urzędnik gazowni miejskich w Warszawie)
Dwuletni pobyt w Ameryce i Kanadzie. Studia w laboratoriach gazów trujących u pułkownika Lewisa. Epokowy wynalazek hydroksylitu i pyropikliny, tj. gazu zatruwającego wodę (w rzekach, studniach, stawach, wodociągach) oraz gazu błyskawicznie spalającego roślinność. Modlin ewakuowany i zamieniony w całości wytwórnię hydroksylitu. Połaniecki laureatem pokojowej Nagrody Nobla (1933). Nocny rajd samolotów gdańskich na Modlin (3.4. 1933). Odwet (4.4. 1934). Połaniecki nadburmistrzem gdańskim.
10. Ramołyński Wiktor (dyrektor nowej Opery Popularnej na Pradze, 3500 miejsc).
Widowiska pasyjne dla Słowian, Rumunów, Huculów, Węgrów. Przedłożenie rządowi projektu ewakuacji Zakopanego, spalenie i zrównanie z ziemią Krupówek z przyległościami. „La Cyrla" – międzynarodowe uzdrowisko kuracyjne w Tatrach. Połączenie z Krakowem linią powietrzną (18 minut jazdy), kąpiele słoneczne i księżycowe.
11. Ramołyński Stefan
Żył krótko. W roku 1929, to znaczy na rok przed śmiercią wynalazł zabawkę dziecinną, dziś tak ulubioną i popularną na całym globie, tj. polskie „Perpetuum mobile" (klepsydrę z piaskiem, samoprzewrotną).
14. Sztumpf Kordian
Próby hodowli mandarynek na stokach Karpat. Ogród w Powsinie z 440 000 drzew owocowych (instruktorzy czescy). Kultura Modrzewia Polskiego (Larix Polonica).
17. Wąsik Adalbert (samouk, ongi żokej)
„Polotanki": pierwsza krajowa wystawa tanków spacerowych, specjalnie nadających się do wycieczek górskich.


Andrzej Brzezicki

18. Wokulski Krzysztof (architekt)
Dokończenie budowy mostu Poniatowskiego w Warszawie. Towarzystwo „Spław" przemianowane na Hydro-Sarmację. Regulacja rzek: Pilicy i Bzury, Wieprza i Wisły.
19. Zolzikiewicz Albin (były współpracownik i redaktor „Dziennika Sarmackiego i „Głosu Sarmackiego")

Dwa wynalazki epokowe. Nowy typ wiecznego pióra „Standard" samopiszące i samomyślące. Maszyna do pisania artykułów wstępnych (nie potrzebuje obsługi, pracuje automatycznie na dany temat z napędem elektrycznym, w nocy świeci, zarazem budzik).

Adolf Nowaczyński, „System doktora Caro. Utopia humorystyczna", Warszawa 1927, Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

. Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Druga seria publikowanych przez WL „Dzieł" Stanisława Lema wzbogaciła się ostatnio o kolejny tom, zawierający dwie klasyczne już powieści, „Solaris" (I wyd. 1961) i „Niezwyciężony" (I wyd. 1964). Jak zwykle w przypadku skojarzenia dwu odrębnych tekstów, nasuwa się pytanie o prawomocność decyzji wydawcy – czy kierował się li tylko przesłankami technicznymi, możliwością oprawienia dwu utworów w jeden wolumin, czy też motywacji należy szukać głębiej, we wspólnocie połączonych powieści. Tym razem zestawienie wydaje się wyjątkowo trafne. Chociaż „Solaris" i „Niezwyciężony" funkcjonują w świadomości literackiej rozłącznie, stanowią jednak dwa elementy jednego z najważniejszych wątków w myśleniu pisarza.

Powtórka z pokory

Wśród problemów poddanych przez Lema literackiej analizie poczesne miejsce zajmuje kwestia uwarunkowań procesu ludzkiego poznawania świata. Jak człowiek postrzega świat, co wyznacza granice jego epistemologicznych zachowań, jakie są ich podmiotowe uwarunkowania, co w człowieku i zewnętrznej rzeczywistości ułatwia bądź utrudnia dochodzenie do prawdy – to pytania, na które próbują odpowiedzieć takie utwory, jak „Kongres futurologiczny", „Głos Pana", „Śledztwo", „Pamiętnik znaleziony w wannie", a wreszcie „Solaris" i „Niezwyciężony".

W swych epistemologicznych rozważaniach Lem wiele uwagi poświęca uwarunkowaniom kulturowym. Jeżeli przedmiotem ludzkiego poznania jest świat natury, powstały nieintencjonalnie, bez założonego z góry planu, sytuacja okazuje się stosunkowo prosta – człowiek może dochodzić do prawdy związany jedynie własnymi, podmiotowymi ograniczeniami, wynikłymi z określonej budowy biologicznej, struktury logicznej umysłu, konstrukcji aparatury zmysłowej. Problem ulega komplikacji, gdy przedmiotem poznania staje się świat obcej kultury, stworzony z rozmysłem, stanowiący emanację odmiennego niż nasz Rozumu. Między człowiekiem a rzeczywistością pojawia się wtedy granica, wyrastająca na styku nieprzywiedlnych systemów motywacji poznającego i poznawanego. Człowiek wzrosły na Ziemi, w jej specyficznych, determinujących ludzką kulturę warunkach przyrodniczych, z natury rzeczy jest skazany na myślenie antropocentryczne, interpretowanie poznawanego świata przez pryzmat własnych doświadczeń gatunkowych. Lecz w świecie odmiennym ludzkie pojęcia, motywacje, emocje tracą sens – odnosząc się do zjawisk ziemskich nie potrafią opisać rzeczywistości wytworzonej przez Innych. Przed takim właśnie problemem stają bohaterowie „Niezwyciężonego" i „Solaris". Konstrukcja fabularna w obu przypadkach jest podobna. Ludzie zostają wrzuceni w różny od znanego świat, stanowiący prawdopodobnie rezultat działalności rozumnej i świat ten muszą rozszyfrować, gdyż stanowi to warunek ich dalszej egzystencji w tym fragmencie Kosmosu. Zagadka stanowiąca zaczyn wielu dzieł tego pisarza, ma tu jednakże status odmienny. W „Katarze" czy „Śledztwie", budowanych na schemacie powieści kryminalnej, tajemnicę stanowił wycinek struktury świata. Tutaj zagadką jest cała rzeczywistość, której należy nadać formę myślową, przyswajalną dla ludzkiego rozumu.

Warunkiem i efektem rozumienia świata jest możliwość jego nazwania, ujęcia w słowa i słowne formuły. Jednakże język, jakim myślą bohaterowie obu powieści powstał jako narzędzie myślowego ujarzmienia zjawisk ziemskich. Brak w nim pojęć, mogących określić przedmioty o obcej genezie, budowie i przeznaczeniu. Ten problem pojawia się już na podstawowej płaszczyźnie zewnętrznych wyglądów rzeczy. Solaryjski ocean prowadząc swe zajęcia, czy może po prostu biologiczne życie, wytwarza wiele dziwacznych form, których badacze nie mogą nawet opisać. Powstające w tym celu neologizmy językowe, owe mimoidy i symetriady, są nieuchronnie skażone ziemskością i tylko w dużym przybliżeniu odpowiadają solaryjskim tworom. Ba, w wielu przypadkach nazwy nadane im przez Ziemian zaciemniają istotę rzeczy, odwołując się do analogii przywiezionych z innych warunków. Trudności rosną, gdy naukowcy próbują wniknąć głębiej w istotę badanych zjawisk. Problematyczne jest nawet zdefiniowanie napotkanych form materii, uznanie oceanu i muszek z planety Regis za ożywione czy rozumne. Ziemskie pojęcie życia nie może być stosowane do bytów tak odmiennych. Istotki pozornie są żywe, bo pobierają energię z zewnątrz, a połączone w większe zespoły działają celowo. Ale z drugiej strony pojedyncza muszka nie reaguje na obecność człowieka, zbudowana jest z materii nieorganicznej, a więc powinna być uznana za martwą. Podobne trudności nastręcza kwestia ich rozumności. Nie prowadzą działalności technologicznej w świecie zewnętrznym, nie dysponują zdolnością przewidywania reagując tylko na bezpośrednie bodźce. Potrafią jednak współdziałać, co jest cechą wysoko zorganizowanej materii. Problem pozostaje nierozstrzygalny w obrębie ludzkiej kultury. Konieczne jest przewartościowanie pojęć, stworzenie nowych, np. uznających istnienie form półżycia i okazjonalnej rozumności.

Podobne, choć innego rzędu, problemy wyłaniają się przy okazji planety Solaris. Ocean niewątpliwie żyje, przypuszczalnie, czego dowodzą pojawiające się bohaterom fantomy, jest rozumny. Nie można jednak wyobrazić sobie nawiązania z nim kontaktu, podstawowego celu, skłaniającego ludzi do penetracji Wszechświata. Jak stwierdza Snaut: *Mamy się za rycerzy Świętego Kontaktu (...). Chcemy znaleźć własny wyidealizowany obraz: mają to być globy, cywilizacje doskonalsze od naszej, w innych spodziewamy się znowu znaleźć wizerunek naszej prymitywnej przeszłości.* Powieść dowodzi jednak, że niemożliwe jest spełnienie tych oczekiwań. Kosmos, o ile wytwarza jakiekolwiek cywilizacje oprócz naszej, dysponuje nieskończoną mnogością potencjalnych form. Każda z możliwych cywilizacji, wzrosła w innych warunkach, zbudowana z innych składników, obdarzona własną historią, stworzy kulturę dla człowieka niezrozumiałą, nieprzekładalną na język ziemskich pojęć. I dlatego Kontakt, jeżeli do niego dojdzie, nie spełni ludzkich oczekiwań. Nie będzie wymiany doświadczeń i teorii naukowych, nie będzie rozmów o Bogu, absolucie, sensie istnienia. Może się nawet zdarzyć, że nie zdołamy dostrzec Ich obecności. Formy ich działania, ich kultury, mogą być tak odmienne, że niedostrzegalne dla drugiej strony. Tak, jak przed psem ukryta jest cała naukowa i artystyczna działalność człowieka, tak my możemy nie dostrzec gwiezdnej inżynierii Innych, uznając ją choćby za zjawisko naturalne. Właśnie bariera kulturowa uniemożliwia zrozumienie oceanu: *Czego zresztą oczekują, czego spodziewać się mogą ludzie po nawiązaniu informacyjnej łączności z myślącymi morzami? Rejestru przeżyć, związanych z istnieniem nie kończącym się w czasie, tak starym, że nie pamięta zapewne własnego początku? Opisu pragnień, namiętności, nadziei i cierpień, wyzwalających się w momentalnych porodach żywych gór? (...) Ależ to wszystko stanowi wiedzę nieprzekazywalną, a jeśli próbować jej przełożenia na jakikolwiek z języków ziemskich, to wszystkie poszukiważne wartości i znaczenia ulegną zatracie, zostaną po tamtej stronie.*

Owa niemożność porozumienia i zrozumienia, której najjaskrawszą formą jest trudność w zdefiniowaniu badanych obiektów, przejawia swe konsekwencje nie tylko w sferze ewentualnego kontaktu. Jest niezwykle istotna także dla sposobu zachowania się człowieka wobec napotykanych form życia. Uznanie kryształków z Regis za żywe i myślące mogłoby usprawiedliwić wydanie im walki z zemsty za śmierć kilkunastu eksploratorów. Ale jeżeli ich działania były jedynie wynikiem elektronicznych instynktów, a nie celowych zachowań, ludzkie pojęcia etyki – honoru, zemsty, winy i kary tracą sens. Czyż można, wzorem króla Kserksesa, wychłostać ocean za nieposłuszeństwo? Jeżeli obcego świata nie można zrozumieć, jeżeli nie możemy się z nim skontaktować, należy odejść, wyrzekając się wszelkiego działania. Każda ingerencja w jego życie na pewno skończy się efektami dalekimi od zamierzonych. By działać w jakiejś rzeczywistości, trzeba ją wpierw pojąć. Zrozumiała to w końcu załoga „Niezwyciężonego", wiedzą o tym bohaterowie „Solaris".

Wszelka, grożąca zniszczeniami aktywność jest w obcym świecie niedozwolona, jako, że nie sposób przewidzieć jej konsekwencji. Dlatego członkowie załogi stacji badającej Solaris , po usunięciu prześladujących ich widm, postanawiają biernie czekać na rozwój wypadków. Ludzie nie zrozumieli oceanu, on pojął ich w pewnym nieznanym stopniu. Gdy początkowo – nie rozumiejąc – zadziałał, poczynił szkody. Teraz drugi krok należy do niego.

Oba utwory opowiadają o barierach, jakie może napotkać w Kosmosie ludzkie pragnienie poznania. Ich bohaterowie pozornie przegrywają, nie mogą z r o z u m i e ć , muszą się wycofać. Ale klęska okazuje się złudzeniem. Wynikiem poznawczych zachowań bohaterów jest zmiana optyki. Nie mogą poznać świata, zaczynają lepiej rozumieć samych siebie, wraz z barierami, dzielącymi ich od Kosmosu.

Omawiane powieści traktują także o różnych zachowaniach ludzi, uświadamiających sobie własne ograniczenia. Tak Kelvin z „Solaris", jak Rohan z „Niezwyciężonego" potrafią ukorzyć się w obliczu Nieznanego. Ale zarówno wśród załogi gwiezdnego statku, jak i pomiędzy pionierami solarystyki znalazły się liczne jednostki ulegające ksenofobii i reagujące agresją. Obcość zawsze wzbudza w człowieku niechęć, zwłaszcza gdy okazują swą – tu tak pozorną – wyższość. Dlatego wielu ludzi, obdarzonych nikłym instynktem moralności dąży do zniszczenia wszystkiego, co wyrasta ponad i poza ich zdolność pojmowania. Stąd na Regis pomysł walki z muszkami do ostatniego robota, zaś na Solaris dążenie do wrzucenia w ocean paru bomb atomowych. Stąd też wyrósł piękny i rozpaczliwy gest jednego z badaczy Solaris, który nie mogąc oceanu pojąć i nie mogąc się z tym pogodzić, zginął samobójczą śmiercią w jego falach.

Przedstawione pokrótce kwestie nie wyczerpują oczywiście zawartości omówionych utworów. Jednakże dla obu powieści najważniejsze zda się być właśnie uświadomienie czytelnikowi, przedstawicielowi ludzkiego gatunku, jego ograniczeń, ujawniających się nie tylko w obliczu odmiennego Rozumu. Człowiek jest tylko jedną, nie wyróżnioną formą istnienia Kosmosu. Z powieści Lema ludzkość powinna uczyć się tego, czego jej brak najbardziej. Pokory.

Włodzimierz Jurasz

Stanisław Lem: *Solaris. Niezwyciężony.* Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Cena 320 zł.

Objawienie Girarda

Ostatnimi czasy Wydawnictwo Łódzkie proponuje czytelnikom niebywale interesującą serię ukazującą się pod ogólnym hasłem „Człowiek i jego cywilizacja". Po „Drogach masek" Lévi-Straussa i „Średniowiecznych korzeniach renesansowego humanizmu" Uilmana polski odbiorca ma okazję zapoznać się z dziełem René Girarda „Kozioł ofiarny". Jest to ostatnia z prac tego autora, która rozwija i porządkuje tezy poprzednich jego publikacji. Jest więc to wybór dobry, gdyż książka daje świadectwo pełni poglądów tego myśliciela. Girard to antropolog i filozof francuski pracujący od dwudziestu lat w Stanach Zjednoczonych. Obecnie wykłada na uniwersytecie Stanford w Kalifornii. W badaniach wspomagają go psychiatrzy i psycholodzy – I.M. Oughourlian oraz Guy Lefort. Girard określany jest mianem najbardziej dyskusyjnego ze współczesnych francuskich myślicieli. Wydanie książki „Des Choses cachées depuis la Fondation du Monde" („Rzeczy ukryte od założenia świata", fragmenty w „Literaturze na Świecie" nr 12/1983) w 1978 roku wywołało prawdziwy skandal wokół jego osoby w intelektualnych środowiskach Francji. Nie jest to dziwne. Girard uważa się za pierwszego człowieka, który z r o z u m i a ł w s z y s t k o, co było ukryte od tysiącleci w naszej kulturze. Podważa całokształt kryteriów oceny i poglądów na historię cywilizacji.

Zamierzenie Girarda jest ogromne, ale nie nowe – znaleźć mechanizm rządzący ludzkimi społeczeństwami. Ma go wyrażać schemat tytułowego kozła ofiarnego. U podstaw ludzkiej natury tkwi zjawisko mimesis, które jako czynnik pozytywny scala społeczeństwa i tworzy kulturę. Z drugiej strony, naśladowanie objawia się jako pierwiastek destrukcyjny. Człowiek nie może sam z siebie pożądać. Przedmiot pożądania musi być wyznaczony przez kogoś trzeciego. U początków społeczeństw tkwi niepohamowana rywalizacja, która nieuchronnie prowadzi ku rozkładowi. Procesowi temu może przeszkodzić konsolidacja grupy przeciwko jednej osobie. Kolektywny niepokój doznaje zastępczego zaspokojenia w prześladowaniu niewinnego kozła ofiarnego. Lincz założycielski kładzie kres wzajemnym gwałtom, staje się początkiem jednoczącego mimetyzmu. Girard jest przekonany, że istnieje transkulturowy schemat kolektywnej przemocy.

Zasada kozła ofiarnego tłumaczy przejawy wszelkiej działalności człowieka – od rytuału i mitu po współczesną politykę. Rozważania Girarda podważają poglądy współczesnych etnologów, którzy do tej pory skupiali się na badaniu kultur „z zewnątrz". Lévi-Strauss (autorytet do tej pory niemal niepodważalny) podkreśla konieczność istnienia dystansu do badanego przedmiotu, tym samym przekreśla możliwość introspekcji w ramach własnej kultury. Wbrew przyjętym zakazom, Girard z równą swobodą porusza się tak w świecie mitologii prymitywnej, jak i tradycji chrześcijańskiej. Mechanizmy kultury wyznaczają stereotypy oskarżycielskie: kryzys społeczny, zaistniałe zbrodnie, osoby i grupy społeczne narażone na prześladowanie przez swą wyjątkowość. Girard sięga do czarnych kart historii ludzkości – procesów czarownic, prześladowań Żydów, itp...

Ten sam schemat generuje teksty mityczne. U podstaw mitologii tkwią realne fakty przemocy pierwotnych społeczeństw. Jest to nowa próba wyjaśnienia fenomenu religii, a tym samym element bulwersujący wielu krytyków. Girard przeczy twierdzeniom, że istnieją zjawiska okryte tajemnicą, że myślenie naukowe musi zatrzymać się przed pewnymi barierami. Myśliciel redukuje metafizykę religii do poziomu czysto ludzkich stosunków. Religie ukrywają pierwotną przemoc, przemiany mitów obrazują stopniowe zacieranie kolektywnego morderstwa. Perfidia społeczeństw przejawia się w sakralizacji kozła ofiarnego. Ofiara staje się jedynie aktywnym elementem, powoduje nieszczęście, ale posiada też moc jego cofania. Stąd pochodzą pierwiastki dobroci i okrucieństwa skupione w mitologicznych bóstwach. Girard analizuje istnienie stereotypów oskarżycielskich w rozlicznych mitach.

Dalsze rozdziały książki wykazują wyjątkowość Ewangelii w kulturze człowieka. Wszystkie omawiane przez Girarda przykłady należą do tekstów prześladowczych, w których zasada kozła ofiarnego stanowi ukrytą strukturę. Ewangelie poruszają ten temat jawnie, dlatego odkrywają prawdę. Męka Chrystusa kompromituje, demistyfikuje kolektywny gwałt.

W tym punkcie Girard przestaje być obiektywnym naukowcem, a zaczyna głosić swe objawienie. Nasza schizofreniczna kultura kroczy dalej drogą ukrywania przemocy, nie potrafi ujrzeć prawd przedstawionych już prawie dwa tysiące lat temu, tym samym nie może wkroczyć na drogę miłości wyznaczoną przez Ewangelie. Zacytujmy słowa Girarda pochodzące z wywiadu dla „L'Express": *Nadeszła godzina wzajemnego przebaczania. Jeżeli będziemy zwlekać, nie zdążymy...*

Girard z olbrzymią swobodą porusza się po współczesnych nurtach naukowych, szczególnie strukturalizmie i psychoanalizie. Dostrzega w obu tych kierunkach duże ograniczenia, co zapewne przysparza mu wielu oponentów. Czy jednak udało mu się odejść od ograniczeń współczesnej humanistyki? Teoria kozła ofiarnego jest znowu redukcjonizmem zjawisk kultury do jednej przyczyny. Najlepiej świadczy o tym kolejna interpretacja mitu o Edypie, z punktu widzenia kolektywnego morderstwa. Mit ten został już gruntownie „rozpracowany" przez Freuda i Lévi-Straussa, a mimo wszystko oczekuje, jak każdy prawdziwy i wielki mit a również sztuka, na nowe interpretacje.

Książka Girarda stanowi system zamknięty, można ją przyjąć lub nie, ale trudno wykazać jej błędy. Główna zaleta „Kozła ofiarnego" tkwi w jego dyskusyjności, prowokacji myślowej. Rezonans poglądów Girarda na Zachodzie jest jednak większy niż przypada to w udziale większości prac antropologów i etnologów. Może „Kozioł ofiarny" zawiera w sobie więcej niż teoretyczny dyskurs o kulturze, ale to każdy musi rozważyć sam. *Niech każdy zapyta siebie, jak to z nim jest, jeśli idzie o kozły ofiarne.*

Małgorzata Skórska

René Girard: *Kozioł ofiarny*. Przełożyła Mirosława Goszczyńska. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987. Cena 300 zł.

Fantazja prawdziwie naukowa

O światach alternatywnych napisano wiele książek – fantastyczno-naukowych i popularnonaukowych. Z reguły jednak chodziło w nich o rodzaj światów „fizycznych" – o tzw. światy równoległe bądź powstające na skutek rozgałęzienia się „strumienia czasu". Natomiast książka Marcina Ryszkiewicza opowiada o mieszkańcach światów alternatywnych, światów nie zrealizowanej możliwości w trakcie ewolucji życia na Ziemi. Nie jest bowiem tak – twierdzi autor – iż przedustawnie zostało postanowione, że to człowiek będzie „koroną stworzenia", że cała ewolucja została ukierunkowana na „wydanie ze swego łona" jednego rodzaju istot rozumnych – nas, ludzi.

Korzystając z najnowszych odkryć i osiągnięć w dziedzinie geofizyki i geologii, paleontologii i ewolucjonizmu, autor przeprowadza interesujące, wręcz porywające rozważania, kim byłyby myślące istoty na planecie Ziemia, gdyby inne były warunki obiektywne (niezależne od przyrody ożywionej); gdyby inna była przeszłość naszej planety. Wynikiem tych rozważań jest ciekawa fantazja naukowa.

Pierwszy rozdział swojej pracy autor poświęca zagadnieniu SETI, czyli poszukiwaniom cywilizacji pozaziemskich – ulubionemu tematowi licznych utworów science fiction. Właśnie na innych planetach (w układach pozasłonecznych) można spodziewać się odmiennego finału ewolucji – jeśli za finał uznamy pojawienie się istot inteligentnych. W kolejnych rozdziałach Ryszkiewicz ze znawstwem i polotem popularyzuje zagadnienie ewolucji Życia na Ziemi w zależności od warunków geologicznych, geograficznych i klimatycznych, a także... kosmicznych. Z rozmachem opisuje rozległą panoramę świata dinozaurów zadając kłam obiegowym przekonaniom o tych stworzeniach; przekonaniom wyrażonym również w wielu utworach SF. Okazuje się więc, że dinozaury to nie prymitywne bestie, lecz przez dziesiątki milionów lat niepodzielni władcy Ziemi, w dodatku znajdujący się na „najlepszej drodze" do wyłonienia gatunku istot rozumnych – dinozauroidów! Jednak przed około 65 milionami lat upadek wielkiego meteorytu (małej planetoidy) – a ślad tego upadku odnaleziono całkiem niedawno, już po ukazaniu się książki – spowodował wielkie perturbacje klimatyczne i ekologiczne, czego następstwem stało się wymarcie wielkich gadów. „Opróżnione nisze ekologiczne" zajęły niepozorne ssaki uzyskując tym samym szansę dalszego rozwoju. Ale – jak pisze autor w rozdziale siódmym (i ostatnim) – nie wszystko jeszcze było stracone... Miały jeszcze – być może – szansę ptaki, później – torbacze (dlaczego nie ma „Homo marsupialis"?). Nie jest też wykluczone, że wśród małp Nowego Świata, czyli obojga Ameryk, mogła pojawić się linia rozwojowa prowadząca do powstania odmiennego gatunku hominidów (amerantropoidów). I już na zakończenie autor rozważa możliwość pojawienia się (na Madagaskarze) inteligentnych lemurów.

Te wszystkie „przedludzkie" linie rozwojowe, mogące w konsekwencji prowadzić do wyłonienia innych gatunków obdarzonych inteligencją, były blokowane przez najróżniejsze sploty okoliczności, a ostatecznie „zablokowało" je powstanie człowieka.

Czy wynika stąd, że nasz gatunek miał szczęście? (A więc nie tyle „kto lepszy, ten pierwszy", ile „kto pierwszy, ten lepszy"). Niech Czytelnicy sami osądzą argumentację autora – lektura tej książki to prawdziwa przygoda intelektualna.

Pragnę natomiast zwrócić uwagę Państwa na coś innego. Jakże żałośnie wyglądają w porównaniu z „mieszkańcami światów alternatywnych" modele „innych istot inteligentnych" spotykane w niektórych utworach SF. Jakież ubóstwo pomysłów w tej materii cechuje autorów książek fantastyczno- (pseudo) naukowych oraz książek pseudopopularnonaukowych z dziedziny tzw. paleoastronautyki (czyli daenikeniady)! Jedynie Lem, jak zwykle zresztą sprostał zadaniu (przypomnę chociażby inteligentne ptaki z „Wizji lokalnej", czy obraz ewolucji nakreślony w „Das Kreative Vernichtungsprinzip. The World as Holocaust"). Wypada podkreślić, że poglądy Ryszkiewicza bliskie są poglądom Lema zawartym w „Wykładzie inauguracyjnym Golema. O człowieku trojako". Ich wymowa sprowadza się mniej więcej do tego, że „celem" kodu genetycznego jest przekazywanie i zachowanie samego siebie – dodajmy – za wszelką cenę. Z „punktu widzenia" kodu genetycznego, obojętne jest, kto zostanie „nosicielem rozumu", byleby tylko jak najskuteczniej przekazywał dalej ów kod. Nie wiadomo jednak (np. w związku z AIDS i przerywaniem ciąży), czy przyroda nie „pomyliła się" w wyborze „nosiciela"? A ponieważ przyroda (ewolucja) nie może się mylić (wiadomo, czym to się kończy), wynika stąd, że „światy alternatywne nie są utracone" – lecz... „kto zastąpi człowieka"?

T. Zbigniew Dworak

Marcin Ryszkiewicz: *Mieszkańcy światów alternatywnych, czyli historia naturalna rozumu.* „Złota Seria Literatury Popularnonaukowej", Wiedza Powszechna, Warszawa 1987. Cena 500 zł.

W najnowszym wydaniu almanachu „Das Science Fiction Jahrbuch – 1987", oprócz wielu innych, jak zwykle bardzo interesujących, materiałów, znajdujemy wywiad z Gene'em Wolfe'em, jednym z najbardziej znanych autorów amerykańskiej i światowej SF. Niestety, ze względu na jego rozmiary, możemy przedstawić Czytelnikom „Fantastyki" jedynie najbardziej interesujące fragmenty rozmowy, którą przeprowadził z pisarzem znany krytyk amerykańskiej sceny SF, Robert Frazier.



Mitologia słońca

Rozmowa z Gene'em Wolfe'em

Robert Frazier: – *Złapmy od razu byka za rogi. Czy pana zdaniem zmieści się pan w szufladce z napisem „science fiction"?*

Gene Wolfe: – Chyba tak, oczywiście jeżeli pod pojęciem science fiction będziemy również rozumieć science fantasy i inne podobne podgatunki. Ale wcale nie wiem, czy chcę zostać tam, gdzie jestem. Dlatego nie podoba mi się, że moje utwory sprzedawane są z etykietką SF. Nie wszystkie do wąsko pojmowanej SF należą.(...)

– Dzisiejsza science fantasy jest obciążona koniecznością wyjaśniania wszystkich rzeczy pozornie fantastycznych lub niemożliwych, jakie są w niej zawarte. Czy istnieją na to lepsze sposoby od prymitywnego aneksu z całą masą wyjaśnień?

– Nie. Jak długo pisarz ma zamiar podawać czytelnikowi te wyjaśnienia, nie da się uniknąć pisania aneksu, obojętnie czy znajdzie się on na końcu, w środku czy na początku utworu, gdzie umieszcza go najchętniej największa liczba autorów. Cała sztuka polega na tym, aby umieścić w tekście wystarczająco dużo wskazówek, które uczyniłyby zbędnymi dłuższe wyjaśnienia. Używam słowa „sztuka" dlatego, że nie jest to takie proste i zawsze znajdzie się kilku czytelników mających kłopoty w zrozumieniu tego, co czytają. Zdarzają się od czasu do czasu takie okresy, kiedy tego typu wyjaśnienia występują w literaturze częściej. Zazwyczaj pojawiają się w historiach tajemniczych, gdzie akcja przerywana jest rozmyślaniami poszczególnych bohaterów utworu, wyciągających wnioski i stwierdzających na przykład: „A więc, mój drogi Watsonie..." W science fiction i science fantasy zjawisko to pojawia się stosunkowo rzadko, niemniej jednak od czasu do czasu ktoś tego próbuje.

– W science fantasy autor musi wyjaśnić lub przynajmniej zasygnalizować sposób wyjaśnienia wydarzeń pozornie magicznych. Czy dotyczy to także pojawiających się w tego rodzaju twórczości istot?

– Nie jestem całkiem pewny, czy zgadzam się ze stwierdzeniem zawartym w pańskim pytaniu. Na pewno zaś jestem przekonany o tym, że nie należy omawiać na przykład sposobu funkcjonowania rzeczy dotyczących pojawiających się w powieści science fantasy istot. Przypomina mi to sytuację królika przywiezionego przed kilkudziesięcioma laty do Australii. Wątpię, aby którykolwiek z australijskich pisarzy czuł się z tego powodu w obowiązku zajmować za każdym razem w swoich powieściach historią rozwoju królika. Istnieje cała masa roślin i zwierząt, które sprawiają wrażenie ciał obcych w swoim otoczeniu, a mimo to w nim właśnie egzystują. Proszę pomyśleć choćby o ptakach kiwi.

– Z jakiego rodzaju literatury wywodzi się science fantasy? Przychodzi mi na myśl jedynie twórczość Jacka Vance'a.

– Mnie również, przede wszystkim jego powieść pod tytułem „The Dying Earths". Ale istniało też wiele historii o duchach, w których element ponadnaturalny okazuje się być w końcu pochodzenia całkiem naturalnego. Również i je można zaliczyć w jakimś stopniu do science fantasy.

– Jak rozumiem, w science fantasy koncepcja utworu jest często równie ważna jak i jej potraktowanie, realizacja. Jak wyglądał pomysł, który doprowadził pana do stworzenia „Księgi Nowego Słońca"?

– Najpierw był to pomysł, by bohaterem utworu został kat, człowiek zadający cierpienie innym. Zacząłem szukać odpowiednich motywów i tła. W ten sposób dotarłem do młodego chłopca, który wyrastał w więzieniu. Pełnił tam między innymi rolę chłopca na posyłki dla katów i pewnego dnia został jednym z nich. Jak mi się wtedy wydawało, była to bardzo tragiczna, pełna dramatyzmu postać. Konflikty moralne, jakie z tego powodu wynikają, wydały mi się być wystarczająco bogatym materiałem dla mojego przedsięwzięcia. Przy okazji zaś chciałem wykorzystać w mojej powieści pomysł rabowania grobów i nekropolii.

– I to wszystko zostało mocno przyprawione starą terminologią. Czy pojęcia użyte w tej powieści zostały wymyślone specjalnie na jej użytek?

– Nie. Są to głównie słowa łacińskie lub pochodzenia łacińskiego, szczególnie w przypadku nazw gatunków zwierząt już wymarłych.

– Charakterystyczne dla kolejnych tomów pańskiej epopei są historie zawarte w historii. Jaką funkcję mają one spełniać?

– Jest ich tyle, że nie potrafię wszystkich wymienić. Tworzą pewną bardzo ważną strukturę, którą trudno wyjaśnić w kilku słowach. Długa historia, taka jak moja epopeja, musi zawierać w swojej konstrukcji pauzy występujące między punktami kulminacyjnymi i będące jednocześnie wątkami ubocznymi. Nie mogą być nudne i muszą zarazem wnosić coś do pozostałego tekstu. Tego rodzaju możliwości stwarza właśnie sposób umieszczenia kilku innych historii w wątku głównym. Unikam dzięki temu znużenia czytelnika, które musiałaby wywołać zbyt prosta konstrukcja powieści. Te historie ilustrują świat powieści, charakteryzują też w niektórych przypadkach opowiadającego. (...)

– Czy czytał pan inne, równie długie jak swoje powieści science fantasy, na przykład Susan Cooper, C. S. Lewisa albo Tolkiena? Moim zdaniem idzie w nich przede wszystkim o walkę Dobra ze Złem, podczas gdy w pańskiej „Księdze Nowego Słońca" omawiany jest raczej konflikt między rzeczywistością a iluzją.

– Oczywiście, że czytałem „Władcę Pierścieni". Przeczytali go chyba wszyscy, którzy potrafią czytać. Może zabrzmi to trochę złośliwie, ale przeczytałem trylogię Tolkiena już w roku 1956, kiedy nie była jeszcze taka znana – przynajmniej tu, w Stanach Zjednoczonych. Miesiącami tłumaczyłem i opowiadałem innym, jaka to wspaniała powieść. Patrzono na mnie wtedy jakby nie miał zbyt dobrze poukładane w głowie. (...)

Rzeczywiście, w „Księdze Nowego Słońca" idzie przede wszystkim o konflikt między rzeczywistością a iluzją, ale ponadto, w jeszcze większym stopniu, o konflikt między Złem a Dobrem, w sensie konieczności podjęcia pewnej decyzji sumienia. W życiu oczywiście istnieją sytuacje, w których każde dziecko wie, kto jest pozytywnym, dobrym bohaterem, a kto złym, ale tak naprawdę w większości przypadków nie jest to wcale takie proste.

– Charakter i intelekt bohatera „Księgi", Severiana, są zaznaczone jednak bardzo wyraźnie. Czy powstał on z innych postaci, o których pan czytał lub nad którymi pan pracował, czy też może jego wzorem byli ludzie, których pan kiedyś spotkał?

– Nie, a na pewno nie robiłem tego świadomie. Severian jest całkowicie moim tworem. Wymyśliłem też Theclę i Theę, Agię i Agilusa, mistrza Gurleosa i Abdiesusa. Naturalnie, nie mógłbym

tworzyć postaci ludzkich, gdybym nie spotykał prawdziwych ludzi, tego nie potrafiłby nikt z pisarzy.

– Czy miejsca, w których toczy się akcja pańskiej tetralogii zostały również wymyślone, czy też istnieją ich geograficzne i historyczne wzory?

– Na oba pytania muszę odpowiedzieć twierdząco. Miejsca wydarzeń zostały wymyślone, zawierają jednakże prawdziwe elementy geograficzne i historyczne. Może powinniśmy te pojęcia bardziej sprecyzować. Urth jest planetą. Akcja pierwszych czterech tomów „Księgi" toczy się wyłącznie w ojczyźnie Severiana, nazywanej Republiką. Owa Republika zawiera w sobie wiele cech bizantyjskich, ale także i sporo elementów południowoamerykańskich.

– Kiedy zorientował się pan, że zebrany materiał przekroczył ramy jednego tomu i rozrośnie się do tetralogii?

– Są to właściwie dwa pytania: pomiędzy odpowiedziami na każde z nich jest duży odcinek czasu. O tym, że mam więcej materiału niż na jedną książkę, wiedziałem już wtedy, kiedy napisałem pierwszy rozdział powieści i stwierdziłem, że uzbierało się ponad dwieście stron maszynopisu. Wiedziałem także, że materiału tego wystarczy na cztery tomy, kiedy ukończyłem ostatni tom trylogii, którą zamierzałem początkowo napisać. Ale teraz pracuję już nad piątym tomem „Księgi" – „Urth Nowego Słońca".

– Czy tom piąty będzie się różnił w znaczący sposób od pozostałych czterech, jeśli idzie o styl czy technikę pisarską?

– Pod względem warsztatowym na pewno nie. Główna różnica zawiera się w tym, że cztery pierwsze tomy były już ukończone, zanim zacząłem pisać piąty. Jest on czymś w rodzaju kody i znajduje się poza obszarem głównego dzieła. Zajmuje się egzaminem, któremu zostaje poddany Severian przez „bogów" jego świata, egzaminem, w którym jest on przedstawicielem mieszkańców Urth. Jego tematem jest też nadejście Nowego Słońca.

– Czyli napisana przez pana całość jest czymś w rodzaju mitologii?

– Tak, jest ona mitologią słońca, być może najbardziej rozpowszechnioną ze wszystkich mitologii. Nie oznacza to, że Severian jest egipskim bogiem Ra czy Apollinem, ale też i Ra nie jest Apollem, a żaden z nich nie jest królem Arturem. Aby dotrzeć do źródeł czegoś takiego, musimy szukać w początkach historii ludzkości.

Przyjmijmy, że kiedyś, jakieś plemię – zapewne nie bardzo jeszcze odpowiadające naszym wyobrażeniom o tym, co ludzkie – wędrowało przez dzikie, olbrzymie lasy. Nadeszła nagle szczególnie ostra zima. Słońce zniknęło wtedy dla tych ludzi na zawsze, a razem z nim całe życie i światło. Nie potrafimy sobie dzisiaj wyobrazić, jakiego rodzaju czarów użyto wtedy, aby zmusić słońce do powrotu, ale chyba między innymi zapalono wówczas małe ognisko. W jego ogniu spalono kości ofiarnych zwierząt, aby pochwycić słońce na nowo.

Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do pytania o rzeczywistość i iluzję w moim utworze. Imię azteckiego boga słońca oznacza dosłownie „Dymiące zwierciadło". Problem realności i nierealności zawsze był związany z mitologią słońca. Kiedy świeci słońce, istnieje również i mój cień. Czy mój cień jest realny? Czy to jest moja dusza? Tam, gdzie istnieje światło, odbijane jest ono przez wodę. Czy to odbicie jest drugą duszą? Jeżeli wykonamy ze złota wizerunek słońca, ujrzymy w nim naszą twarz. Czy jest ona rzeczywiście naszą twarzą?

– Przypomina nam pan starą ontologię?

– Co prawda, dzisiaj tego rodzaju problemy, którymi notabene w dalszym ciągu zajmują się etnografowie, nie są brane poważnie. Ale mimo to tkwią one gdzieś głęboko w nas. Jeżeli istnieje coś w rodzaju zbiorowej podświadomości, to idę o zakład, że tam właśnie one występują.

– Czy powstaną następne utwory science fantasy napisane przez Gene'a Wolfe'a?

– Na pewno, ale nie wiem jeszcze, co to będzie.

Przełożył i opracował Wawrzyniec Sawicki

1978

SF dla dorosłych (ASF):

1259. BORUŃ Krzysztof: *Ósmy krąg piekieł.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 209, nlb. 3. 50 000 egz.+ dodruk 50 000. – SF (Fantazja – Przygoda – Rozrywka).

1260. BRADBURY Ray: *K jak Kosmos.* Tłum. z ang. Zofia Uhrynowska-Hanasz i in. Warszawa. Iskry. 16° ss. 324, nlb. 4. 50 000 egz. – Fantastyka. Przygoda.

BRYLL E.: *Doświadczyński...* – zob. U.

1261. CHRUSZEWSKI Czesław: *Gdy Niebo spadło na Ziemię.* Powieść. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 289, nlb. 4. 30 000 egz. – SF.

1262. CLARKE Arthur Charles: *Kowboje oceanu.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk. Wyd. II. Warszawa: Iskry. 16° ss. 295, nlb. 3. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda

1263. CLARKE Arthur C[harles]: *Spotkanie z Ramą.* Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 205, nlb. 3. 10 000 egz.

1264. FIAŁKOWSKI Konrad: *Gdy oni nadlecą. Poprzez piąty wymiar. Ten, który trwa nad granicą dwu czasów. Witalizacja kosmogatora. Konstruktor.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 75, nlb. 5. 40 000 egz.– Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór piętnasty. – Na okł. tyt.: Witalizacja kosmogatora.

1265. FIAŁKOWSKI Konrad: *Cerebroskop. Szansa śmierci. Wróble Galaktyki.Strażnik.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 71, nlb. 5. 40 000 egz. – Stało Się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór czternasty. – Na okł. tył.: Cerebroskop.

1266. GOMOLICKI Leon: *Arka. W: Proza. T. 3: Wydarzenie. Arka. Erotyk.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16 ° s. 175–336. 7 000 egz.

1267. KRZEPKOWSKI Andrzej: *Obojętne planety.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 151, nlb. 5, 50 000 egz. – SF (Fantazja – Przygoda – Rozrywka).

1268. LEM Stanisław: *Cyberiada.* Wyd. IV. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 518, nlb. 2. 50000 egz. – Zestaw opow. ten sam, co w wyd. poprz.

1269. LEM Stanisław: *Głos Pana. Kongres futurologiczny.* Wyd. III [właśc. II wspólne] Kraków Wyd. Literackie. 8° ss. 314, nlb. 2. 40 000 egz.

1270. LEM Stanisław: *Katar.* Wyd. II Kraków: Wyd. Literackie. 8° ss. 145, nlb. 3. 40000 egz.

1271. LEM Stanisław: *Opowiadania wybrane.* Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 432, nlb. 3. 50000 egz. – Zestaw opow. ten sam, co w wyd. poprz.

1272. LONDON Jack: *Szkarłatna dżuma.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. Tłum [z ang.] M. Andrzeykowicz, S. Kisielewska i S.M. Warszawa. Czytelnik, 16° ss. 117, nlb. 3. 30000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1273. PĘTECKI Bohdan: *Kogga z czarnego słońca.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 249, nlb. 3. 50000 egz. – Fantastyka, Przygoda.

1274. *RAKIETOWE szlaki.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. T. I. Aut.: C[yryl] M. Kornbluth [i in.]. Tłum. [z ang.] Julian Stawiński, Jan Zakrzewski i Krzysztof Zarzecki. Wyd. II skr. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 211, nlb. 4. 50000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1275. *RAKIETOWE szlaki.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. T. II Aut.: Brian W. Aldiss [i in.]. Red. Lech Jęczmyk. [Tłum. z ang.]. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 273, nlb. 3. 40000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1276. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Czekając.* Opowiadania. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 280, nlb. 4. 20000 egz. – SF.

1277. *SIEDEM diabelskich wynalazków.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. Aut.: Dmitrij Bilënkin [i in.] Red. i tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa 1977 [antydat.: 1978] Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 143, nlb. 5. 60000 egz. – „Szczęśliwa Siódemka".

1278. *SIEDMIU fantastycznych.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. Aut.: Stanisław Lem [i in.]. Wyd. II. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 112, nlb. 4. 80000 egz. – „Szczęśliwa Siódemka".

1279. SZABLICKI Janusz: *Śledztwo. Autotranslacja. Komórki do wynajęcia. Nowa teoria nieskończoności. Stan wyższej konieczności. Konflikt.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 90, nlb. 5. 40000 egz. – Stało Się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór dwunasty.

1280. TREPKA Andrzej: *Dwunastu apostołów.* Powieść fantastyczna. Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 296, nlb. 4. 20000 egz.

TRUCHANOWSKI K.: *Dzwony...* – zob. U.

1281. [VARŠAVSKIJ Il'â, BACHNOV Vladlěn, BILĚNKIN Dmitrij]: *Dusza do wynajęcia* [i inne opowiadania] tłum z ros. Michał Siwiec. Warszawa: Nasza Księgarnia 8° ss. 90, nlb. 6. 40000 egz. – Stało Się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór jedenasty. – Na k. tyt. aut.: Ilia Warszawski. Władlen Bachnow, dymitr Bilenkin – Tyt. okł., na k. tyt. tytuły wszystkich opow.

1282. *WEHIKUŁ wyobraźni. Antologia opowiadań fantastyczno-naukowych polskich pisarzy współczesnych.* Aut.: Krzysztof Boruń [i in.]. Red. i posłowie Bronisław Kledzik. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 473, nlb. 3. 20000 egz. – SF.

1283. WEINFELD Stefan: *Władcy czasu.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 194, nlb. 2. 60 000 egz. – SF (Fantazja – Przygoda – Rozrywka).

1284. WIŚNIEWSKI-SNERG Adam: *Według Łotra.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 160, nlb. 3. 20000 egz. – ASF/AF.

WOJTYSZKO M.: *Synteza* – zob. CJSF

1285. *WYNALAZCA Wieczności.* Aut.: Andrěj Balabucha [i in.]. [Tłum. z ros.]. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 223, nlb. 4. 40000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1286. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Prawo do powrotu.* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 195, nlb. 1. 30000 egz.

1287. ŻWIKIEWICZ Wiktor: *Zwierciadło nieba. Wołanie na Mlecznej Drodze. Sindbad na RQM 57.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 100, nlb. 4. 40000 egz. – Stało Się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór trzynasty. – Na okł. tyt.: Sindbad na RQM 57.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1288. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. XI. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 255, nlb. 3. 30000 egz. – CJSF/F.

1289. [BULYČËV Kirill]: *Podróże Alicji.* Tłum. [z ros.] Irena Piotrowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 223, nlb. 3. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód. – Na k. tyt. aut.: Kirył Bułyczow. Waśc. nazw. aut: Igor' Možejko.

1290. BURAKOWSKA Elżbieta: *Elektroniczny detektyw.* Warszawa. Kraj Ag. Wyd. 16° podł. ss. 69, nlb. 3. 40000 egz.

1291. KUCZYŃSKI Maciej: *Kask.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 130, nlb. 2. 30000 egz.

1292. KUCZYŃSKI Maciej: *Wynalazek.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 142, nlb. 2. 30000 egz.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Człowiek-mysz istnieje, spotkałam go. **Takim zdaniem zaczęła swój reportaż dziennikarka francuska, Josette Alia, powróciwszy z wyprawy do laboratoriów inżynierii genetycznej. Już w następnym zdaniu próbuje uspokoić tych, którym włosy zjeżyły się na głowie:** ***Człowiek-mysz nie ma owłosionej skóry, spiczastych uszu, pazurów i długiego ogona. Nie jest koszmarnym tworem z probówki uczonego-szaleńca, marzącego o produkcji monstrów. Na szczęście człowiek-mysz istnieje na razie tylko w formie komórki.***

Z tamtej strony lustra

Powrót Minotaura

Maciej Iłowiecki

Każdy chyba widział kiedyś komórkę pod mikroskopem i wie, że jest to podstawowa struktura życia. W każdym razie takiego życia, jakie występuje na Ziemi (innych form dotąd nie znamy) i jakiego my sami jesteśmy wytworem. Wszystkie żywe komórki są podobne, czy raczej – jakby powiedzieli na przykład technicy – ich ideowy schemat jest właściwie identyczny. I oto takie pod względem planu budowy tożsame struktury występują na Ziemi w pewnych „ciągach w czasie", a każdy taki „ciąg" jest odrębną f o r m ą ż y c i a czyli następującymi po sobie pokoleniami podobnych organizmów. Takie zupełnie podobne formy życia nazywamy gatunkiem. Niezależnie od tego, że gatunki mogą się zmieniać, że się właśnie zmieniają (na tym polega ewolucja), że powstają nowe, a wiele ginie bezpowrotnie – oczywiste jest, iż życie na tej planecie przejawia się wyłącznie w formie gatunków*. Zatem każda pojedyncza komórka zawsze reprezentuje jakiś gatunek, zawiera w swoich genach cechy tego gatunku i przy odtwarzaniu się (mnożeniu) odtwarza takie właśnie cechy. I to niezależnie od tego, czy sama jest organizmem jednokomórkowym, czy stanowi jedną tylko z cegiełek tworu wielokomórkowego.

Naturalnie przy odtwarzaniu, reprodukcji, zachodzą różne zmiany (mutacje), bo inaczej ewolucja życia nie byłaby możliwa. Taka możliwość zmian w czasie nie podważa zasady podstawowej, głównego założenia, na którym wspiera się ciągłość form życia: każda żywa komórka, niezależnie od funkcji, jaką pełni, reprezentuje zawsze cechy swojego gatunku. Jakby zatem z samej natury rzeczy niemożliwe jest pojawienie się tworu, który łączyłby cechy różnych gatunków, na przykład myszy i człowieka. Niemożliwe?

Przecież wiemy, że w laboratoriach biologicznych można dziś stworzyć i przez pewien czas utrzymać przy życiu komórki, zawierające zestawy genów ludzkich i zwierzęcych, zwierzęcych i roślinnych, a nawet kombinacje wszystkich razem. Są to wprawdzie tylko komórki, ale... W mrokach zaś historii ginie wydarzenie, które po raz pierwszy doprowadziło do narodzenia się muła, dziecka klaczy i osła, zwierzęcia, mającego cechy dwu różnych gatunków (komórki muła zawierają geny końskie i ośle zarazem).

Wszystko to prawda, pozorna sprzeczność wynika z niejasności słowa „niemożliwe". W tym wypadku „niemożliwe" nie oznacza „sprzeczne z prawami przyrody", oznacza natomiast, że w sposób naturalny, bez ingerencji człowieka, krzyżówki międzygatunkowe (np. muł) ani hybrydy ludzko-zwierzęce (człowieczo-mysia komórka) po prostu nie mogłyby się na Ziemi pojawić. Dla życia okazało się korzystne – a więc zostało utrwalone ewolucyjnie – istnienie nieprzekraczalnych granic między gatunkami. Jest to zasada tak powszechna, że nawet znalazła wyraz w jednej z podstawowych definicji gatunku: organizmy stanowią odrębne gatunki wówczas, kiedy nie mogą się krzyżować, a jeśli nawet się skrzyżują, mieszańce nie są zdolne do rozrodu.

Istnieją wyjątki od tej zasady, dotyczy to zwłaszcza gatunków blisko spokrewnionych i na ogół ich krzyżowanie także wymaga ingerencji człowieka, np. byk domowy może skrzyżować się z samicą bizona amerykańskiego, niedźwiedź polarny z brunatnym, jeleń wapiti z jeleniem europejskim, a nawet lew z tygrysem – i dzieci takich par mogą być płodne. Krzyżówki takie powstają jednak tylko w ogrodach zoologicznych, dzięki specjalnym zabiegom, a udają się tylko z nielicznymi gatunkami, wyjątki potwierdzają regułę.

Ewolucja zresztą wynalazła wiele zabezpieczeń przed „mieszaniem się gatunków". Zabezpieczeniem może być po prostu absolutny brak pociągu płciowego – „sam z siebie" osioł nigdy nie zapłodni klaczy, kto chce mieć muły, musi stosować specjalne sztuczki, po prostu oszukiwać zwierzęta albo stosować sztuczną inseminację. W Afryce często pasą się razem dwa gatunki zebr, tzw. zebry stepowe i zebry Grevy'ego, nigdy jednak nie stwierdzono krzyżowania się tych tak blisko spokrewnionych gatunków. Między gatunkami odrębnymi nie mogłoby dojść do kopulacji nawet przy ludzkiej ingerencji – przeszkodziłaby temu po prostu budowa anatomiczna.

Istnieją zabezpieczenia bardziej radykalne, natury fizjologicznej. Po prostu komórka jajowa danego gatunku „wpuszcza" do wewnątrz tylko plemniki tego samego gatunku, wszelkie inne nie mogą wniknąć do jaja. W takim wypadku nie pomaga sztuczna inseminacja. Blokady mogą być zresztą różne, istnieć na różnych „poziomach" i nie chodzi o technologię „izolacji rozrodczej", chodzi o zasadę: gatunki bronią się zdecydowanie przed możliwością krzyżowania.

Oczywiście, czymś innym jest próba krzyżowania gatunków po to, by narodził się potomny mieszaniec, czymś innym próba zespolenia komórek różnych gatunków (wówczas powstają właśnie krótko żyjące i nie mnożące się twory w rodzaju tego, który wspomniana na początku Josette Alia nazwała – daleko na wyrost – człowiekiem-myszą). Czymś innym są wreszcie próby tworzenia organizmów, jak to się określa, transgenicznych, to znaczy zdolnych do życia i nawet do rozmnażania istot, mających w swoim ciele geny obcego gatunku i to geny działające, czyli dające określone, oczekiwane efekty. Są to różne rzeczy, ale łączy je jedno: w tworze potomnym tkwią struktury fizjologiczne i genetyczne r ó ż n y c h gatunków!

Zespolone komórki dwu odrębnych gatunków nazywa się hybrydami, coś takiego udało się stworzyć (wyprodukować? otrzymać? – trochę brakuje dobrych określeń) już kilkanaście lat temu i pisałem o tym kiedyś. Może nawet nikogo nie chwycą dreszcze na myśl, iż gdzieś tam, w laboratoriach, w specjalnych odżywkach pulsują żywe grudki plazmy, w których jest **coś** z królika i zarazem kury, albo ze szczura i ...petunii, albo – najdziwniej – COŚ zarazem z człowieka i myszy! W 1979 r. ukazały się doniesienia (do dziś jednak nie potwierdzone), że na Uniwersytecie w Lund (Szwecja) żyje „w probówce" komórka-hybryda ludzko-roślinna, twór o genach ludzkich i genach marchwi. Można by powiedzieć, że „człowiek-marchew", niezależnie od tego, czy już istnieje, czy też powstanie w przyszłości, jest szczytem wszystkiego (nawet na poziomie tylko komórki), ale zdaje się, że do szczytu jeszcze daleko...

Cokolwiek by o tym myśleć, badania tego rodzaju mają ogromne znaczenie poznawcze (przyczyniają się do poznania różnych mechanizmów komórkowych i zwłaszcza działania błon komórkowych). Niektórzy mówią o zastosowaniu hybryd roślinno-zwierzęcych jako najłatwiejszego w hodowli, samorosnącego i szczególnie wartościowego pożywienia dla zwierząt i może dla ludzi...

Zwierzęta i rośliny (więc już nie same komórki) transgeniczne „zaczęły się" stosunkowo niedawno i z nimi biotechnologia wiąże bodaj największe nadzieje. Istnieją różne metody wprowadzania do komórek obcych genów i znowu nie chodzi o metody,

ważne są efekty. Oto kilka dla przykładu.

Jednym z pierwszych słynnych eksperymentów było udane wszczepienie pewnej bakterii ludzkiego (!) genu, odpowiedzialnego za produkcję insuliny – dzięki temu bakteria mogła syntezować ten złożony ludzki hormon. W 1982 r. udało się wprowadzić do zespołu genów myszy gen szczura, odpowiedzialny za produkcję szczurzego hormonu wzrostu. Samo „wprowadzenie" obcego genu do mysiej komórki jajowej jest już wielkim sukcesem, ale najważniejsze, że gen ten „zadziałał" – mysz, narodzona z tej komórki była dwukrotnie większa od swoich sióstr i braci. Był to pierwszy przypadek, w którym metodami inżynierii genetycznej udało się zmienić cechy ssaka i to w tak wyraźny sposób. W 1983 r. udało się po raz pierwszy wprowadzić obcy gen do komórki roślinnej i wyhodować z tej komórki nową roślinę, transgeniczną. W laboratoriach koncernu Monsanto udało się wprowadzić ludzki gen do petunii (z różnych względów akurat petunia i tytoń łatwo poddają się zabiegom przenoszenia genów). Owa petunia zaczęła produkować pewien hormon, wytwarzany przez kobiety w ciąży...

Wreszcie ostatnio wszczepiono pewnym bakteriom geny pająka, odpowiedzialne za produkcję nici pajęczynowych.

Są to oczywiście tylko nieliczne przykłady, ale dobrze pokazują pewne możliwości:

– zmuszanie bakterii i roślin wyższych do produkcji leków, hormonów, specyficznych produktów (można już sobie wyobrazić „uprawę leków" na polu...);

– zmuszanie zwierząt do przybierania cech, korzystnych dla człowieka;

– zmuszanie ludzi do... stop.

Stosowanie metod inżynierii genetycznej do „ulepszania" organizmów ludzkich wydaje się jeszcze bardzo odległe, na szczęście. Może zresztą nie należy się obawiać? Jest to przecież zapewne jedyna droga do korygowania wrodzonych wad, zwalczania chorób dziedzicznych...

W 1987 r., po długich dyskusjach, odpowiednie instytucje federalne USA wydały wreszcie zezwolenie na prowadzenie działań, zmierzających do „wytwarzania nowych gatunków zwierząt metodami inżynierii genetycznej". Nie wiem dlaczego, takie nie istniejące jeszcze w przyrodzie istoty nazwano „zwierzętami technologicznymi", ale mniejsza o nazwę. W gruncie rzeczy chodzi o to, iż trudno nawet domyślać się, co mogą jeszcze stworzyć ludzie, mający moc kształtowania nowych istot.

Wszystko powyższe blednie przecież wobec niedawnego (z maja 1987 r.) oświadczenia włoskiego antropologa Brunnetta Chiarellego z Uniwersytetu we Florencji. *Nadszedł czas* – powiedział Chiarelli – *by dokonać krzyżówki szympansa z człowiekiem. Zapłodnienie szympansicy plemnikami człowieka stało się realne*. Chiarelli dodał, iż w USA dokonano już takiego eksperymentu i małpa zaszła w ciążę, w jej ciele zaczął się rozwijać płód, będący mieszańcem szympansa z człowiekiem. Doświadczenie podobno (podobno?) przerwano, ale – również podobno – m o ż n a b y je przeprowadzić do końca. Do jakiego końca?

Wedle dzisiejszego stanu wiedzy urodzenie się potomka małpy i człowieka nie jest możliwe, gatunki te – mimo najbliższego pokrewieństwa – dzieli co najmniej 5 milionów lat na drzewie ewolucyjnego rozwoju. Człowiek ma 46 chromosomów, szympans – 48, wszelkie połączenia możliwe są może na poziomie pojedynczej komórki, nigdy jednak w postaci dojrzałego, wielokomórkowego organizmu. Coś takiego po prostu nie może się urodzić, choćby nawet doprowadzono do zapłodnienia i początków embrionalnego rozwoju...

Głoszono już nieraz różnego rodzaju sensacje naukowe, które szybko okazywały się bredniami. No tak, ale głoszono także nieraz sensacje, w które nikt uwierzyć nie chciał, były bowiem „niemożliwością" – i szybko okazały się prawdami. Jeśli więc kiedykolwiek uda się jednak doprowadzić do krzyżówki małpy naczelnej z człowiekiem, CO (czy KTO) może się narodzić? Czy inteligentne zwierzę, czy „zezwierzęcony" człowiek? Ktoś w rodzaju Neandertalczyka czy Yeti? Jakie cechy dominowałyby w takiej istocie i jak powinni się odnosić do niej ludzie, skoro ją powołają do życia?

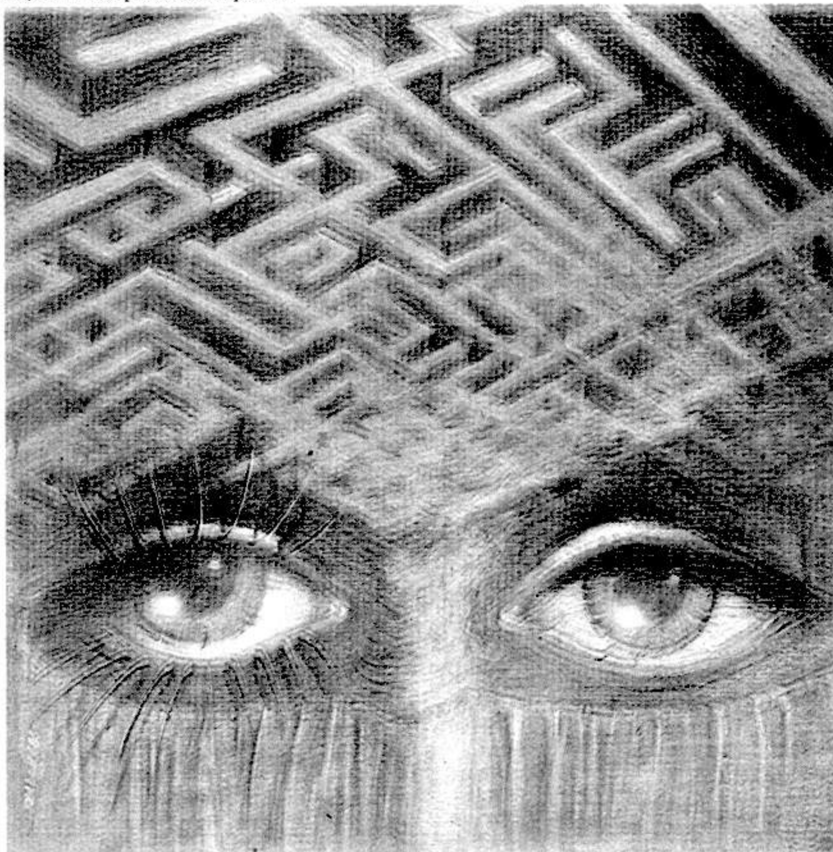
Profesor Chiarelli nie zawahał się dodać, że jego zdaniem narodzi się po prostu małpolud i że ten nowy gatunek istot można będzie wykorzystać do prac niebezpiecznych lub zbyt uciążliwych dla ludzi, a także jako swoisty „żywy magazyn" narządów do przeszczepów.

Oświadczenia Chiarellego wywołały grozę, wielu uczonych wystąpiło z ostrymi protestami. *Jeśli nawet jest to fantazja – nie wolno dopuścić, by się kiedykolwiek ziściła* – powiedział ktoś i zapewne miał rację. Niestety, w nauce jest regułą, że coś, co staje się możliwe teoretycznie, zawsze w końcu ziszcza się w praktyce. Wydaje się, że w istocie biologia dotarła do jakichś granic, po których przekroczeniu świat będzie inny i my będziemy inni.

Krzyżówki ludzko-zwierzęce istniały w najstarszych mitach od najdawniejszych czasów, widać coś takiego zawsze fascynowało ludzką wyobraźnię. Człowiekiem-lwem był sfinks, symbol mądrości i tajemnicy. Człowiekiem-bykiem był straszliwy Minotaur, pożerający młodych ludzi w kreteńskim labiryncie. Ciekawe, że pojawienie się Minotaura było karą zesłaną przez bogów. Bóg Morza, Posejdon, obrażony na króla Krety, Minosa, zesłał na jego żonę Pazyfae miłość do białego byka, którego Minos pożałował był właśnie bogom na ofiarę. Wielki konstruktor grecki Dedal (tak, ten od pierwszego lotu...) na prośbę pięknej Pazyfae zbudował drewnianą krowę, obciągnął ją skórą prawdziwej krowy, do wnętrza wsadził królową i pchnął wszystko razem na łąki, gdzie pasł się biały byk. Żądza Pazyfae została zaspokojona, wkrótce zaś urodził się potwór – człowiek z głową byka, Minotaur.

Kartagińczycy musieli odtąd poświęcać mu swe najlepsze dzieci – do czasu, aż wybawił ich od tej ofiary Tezeusz. A my? No cóż, nam pozostaje czekać na pojawienie się Minotaurów godnych naszej, odważnej epoki.

* Podgatunki lub odmiany można uznać za powstające gatunki



Marek Zalejski



Allison Balson w roli Jewel

Galopem w magię

Oblicze filmu fantastycznego nieustannie się zmienia. Fascynacja przygodą w kosmosie i komputerem należy już do przeszłości. Coraz częściej miejsce obrazów technicystycznych zajmują baśnie, opowieści, w których rządzi magia, historie opowiadające o zdarzeniach niewytłumaczalnych przez współczesną naukę. A my wątpiąc już w scjentystyczne opisanie otaczającego świata, zagłębiamy się coraz bardziej w krainę fantasy. Witaj wieku XXI – wieku czarów i guseł!

Film pod tytułem „Biały Smok" trafił doskonale w zmieniające się zapotrzebowanie widzów. Akcja toczy się w małym kraju o nazwie Karistan (którego topografia niezwykle przypomina nasze Góry Stołowe). W pobliżu niewielkiego miasteczka, w małym domku na uboczu mieszka kobieta imieniem Alta, uważana przez tamtejszą ludność za czarownicę. Jej niewidoma córka Jewel swobodnie wędruje po okolicy, zna każdy kamień i każdą ścieżkę. W tych wyprawach często towarzyszy jej piękny, biały koń.

W dalekiej (pod każdym względem) Kalifornii, inspektor ochrony przyrody Jim Martin traci nagle pracę, ale nieoczekiwanie otrzymuje od szefa wielkiej korporacji, Browna, propozycję wykonania ekspertyzy stwierdzającej brak zagrożenia dla środowiska przy wydobywaniu złóż mineralnych na terenie Karistanu. Przyjmuje zlecenie i jedzie na miejsce badań zabierając ze sobą pięcioletniego syna, Steve'a. Obaj wynajmują pokój w domu Alty.

W tym samym czasie nie opodal domu pojawia się Chińczyk – Tai-Ching, którego interesuje, żywa wśród miejscowej ludności, legenda o białym smoku.

Wyniki badań Jima nie są zgodne z oczekiwaniami jego mocodawców, ale mimo to decyduje się je głosić. Do akcji wkracza teraz kolejna postać – Dock – człowiek do zadań specjalnych, wynajęty przez Browna, który powinien zmienić wnioski Jima zgodnie z zaleceniami koncernu.

Film wiąże ze sobą pozornie nie przystające do siebie wątki: legendę o smoku, tkwiącą korzeniami aż w Chinach, kryminalną historię rodem z Ameryki i poważny problem ekologiczny. Łączącym je ogniwem jest postać Jima Martina. Ten uczciwy, dobry człowiek, nieco zagubiony we współczesnym świecie, musi wygrać walkę z siłami zła, aby podtrzymać gasnące przeświadczenie widzów, że ze złem może wygrać dobro i tylko dobro.

Scenariusz filmu został napisany przez Roberta C. Fleeta, aktora i pisarza zamieszkałego w Stanach Zjednoczonych, który kilka lat temu przebywał w Polsce na stypendium twórczym. Podczas swego pobytu trafił na festiwal „Teatru otwartego" we Wrocławiu, skąd w ramach imprez towarzyszących zawieziono go w Góry Stołowe, stanowiące część Sudetów Środkowych. Przedziwne twory skalne o fantastycznych kształtach, tworzące naturalny labirynt wydały mu się wspaniałym tłem bajkowej fabuły. Po powrocie z Polski Robert C. Fleet założył ze swą żoną, Aliną Szpak, studio Legend Production. Pomysł zrodzony podczas wycieczki zaowocował filmem zrealizowanym z zespołem „Perspektywa". Strona amerykańska zaangażowała aktorów, wykonała zdjęcia trikowe i dostarczyła taśmy negatywowej. Zespół „Perspektywa" podjął się wykonania zdjęć w Górach Stołowych i nieczynnych sztolniach kopalni soli w Wieliczce oraz w atelier wrocławskiej wytwórni. Zdjęcia rozpoczęto we wrześniu 1985 roku. Po nakręceniu około 70% materiału reżyser filmu Jerzy Domaradzki poważnie zachorował. Ponieważ aktorzy amerykańscy nie mogli czekać, pracę nad filmem zakończył (łącznie z montażem i udźwiękowieniem) Janusz Morgenstern.

Z czołówki występujących w filmie aktorów amerykańskich polscy widzowie znają występującego w roli Jima Martina – Christophera Lloyda (niezupełnie szalonego naukowca, dr. Emnetta Browna z „Powrotu do przyszłości", a także Tabera z „Lotu nad kukułczym gniazdem" i kapitana Schultza w „Być albo nie być") oraz grającą Altę – Dee Walace Stone (rola matki w „E.T." Stevena Spielberga). Z obsady polskich aktorów na uwagę zasługuje Kazimierz Kaczor w roli Superintendenta. Małego Steve'a zagrał Stephen Szpak-Fleet.

Scenariusz pełnymi garściami czerpie z tego, co modne we współczesnym kinie amerykańskim. To stwierdzenie nie jest bynajmniej zarzutem. Przeciwnie. Realizatorom nie chodziło przecież o stworzenie wybitnego dzieła filmowego, lecz jedynie obrazu, który zdobędzie masową popularność. Mamy więc motyw dziecka – małego chłopca przechodzącego z łatwością i naturalnością ze świata realnego w krainę baśni oraz dziewczynę Jewel, której porozumienie z naturą jest całkowite. Symboliczne i rzeczywiste otwarcie oczu zamieni ją w kobietę – mamy tu zakończenie modnego dzisiaj filmu rodzinnego. Wątki: gangsterski i ekologiczny osadzają fabułę we współczesnym świecie. Wpleciona w nie baśń jest również zgodna z obecnymi tendencjami – ucieczka od technicyzacji życia (scena zamazania zapisu komputerowego przez Altę). Modę na chińszczyznę zaznaczono wprowadzając postać Tai-Chinga.

Podobnie jak w „Nieśmiertelnym" („Fantastyka" nr 6/87), w „Białym Smoku" realizatorzy wykorzystali zetknięcie dwóch zupełnie różnych, światów, przenosząc akcję do małego kraju, w którym czas się zatrzymał.

O ile do tej pory kryminał i fantastyka czerpały ze wzorów baśniowych, w „Białym Smoku" role się odwracają – baśń współczesna sięga do realiów naszego życia. Niezmienna pozostaje tylko wiara, że wygrać musi dobro. Takie historie są nam wciąż potrzebne, niezależnie, czy opowiada się je wieczorem przy kominku, czy też pokazuje na ekranie. I dlatego mimo niewątpliwych naiwności i uproszczeń warto zobaczyć „Białego Smoka".

Dorota Malinowska

BIAŁY SMOK (tytuł amerykański „Legend of the White Dragon"). Reżyseria: Jerzy Domaradzki i Janusz Morgenstern. Scenariusz: Robert C. Fleet. Zdjęcia Ryszard Lenczewski. Obsada: Christopher Lloyd, Dee Walace Stone, Soon-Teck Oh, Christopher Stone, Luke Askew, Allison Balson, Stephen Szpak-Fleet, Kazimierz Kaczor. Polska-USA, 1986.

Zobaczyć to jeszcze raz?

Czysty, schludny domek bogatego, amerykańskiego farmera. W kuchni krząta się jasnowłosa żonka. Dwójka uroczych i oczywiście nieznośnych dzieciaków: dziewczyna – wyrośnięty już całkiem podlotek, i jej rudowłosy, piegowaty młodszy brat. Wszystko jak z reklamy.

W tę sielankę wdzierają się przybysze z kosmosu, crittery, nader niesympatyczna rasa, której jedynym celem jest jeść i przeżyć. Grupa trafiająca na Ziemię, uciekła z międzygalaktycznego więzienia. W pościg za nią zostają wysłani kosmiczni łowcy, których metody, jak na nasze warunki, są dość drastyczne.

Tak rozpoczyna się film pt. „Critters". Dalszy rozwój akcji łatwo przewidzieć (podobno w tej chwili realizuje się filmy o scenariuszach specjalnie nieskomplikowanych, żeby widz domyślając się treści, utwierdzał się w mniemaniu, że jest osobą inteligentną.) Dużo momentów mrożących krew w żyłach, rosnący nastrój zagrożenia, co jakiś czas rozładowywany sceną komiczną. I oczywiście wszystko kończy się dobrze.

A po wyjściu z kina nie zostaje nic poza wrażeniem, że widzieliśmy to już wiele razy. Same crittery niezwykle przypominają złośliwe gremliny, a ich atak na spokojną, dostatnią farmę ma w sobie coś z nastroju filmu Dantego, chociaż daleko mu do pierwowzoru, w którym atakowane miasteczko wygląda najpierw jak kartka bożonarodzeniowa, żeby później stać się przedpolem piekła. Jest tu coś z atmosfery „Ducha" (sceny konsolidowania się rodziny zwalczającej wspólnymi siłami narastające zło) i z wielu, wielu innych obrazów science fiction.

A zresztą czy w przypadku tego filmu można mówić o science fiction? Czy dlatego, że autor scenariusza wymyślił jakieś nie istniejące potworki i nie motywując ich wprowadzenia stwierdził po prostu, że przybyły z kosmosu, musimy godzić się na zaśmiecanie gatunku? Tyle tylko w tym filmie SF, że każdemu „pomysłowi nie z tej ziemi" przyczepia się podobną etykietkę. Cóż, głupcy też byli z kosmosu, lecz po co tak daleko trzeba było ich szukać?

A cóż więcej powiedzieć o critterach? Można by znowu o bohaterach dzieciach, o powiązaniu z filmem rodzinnym, o tym, że pani Dee Walace Stone po występie w roli złej czarownicy w „Białym Smoku" powróciła do typu roli, jaką kreowała w „E.T.", ale po co się powtarzać. Ot, można zobaczyć to jeszcze raz, ale czy warto?

D.M.

CRITTERS. Reżyseria: Stephen Herek. Scenariusz: Domonic Muir i Stephen Herek. Zdjęcia Tim Suhrstedt. Obsada: Dee Walace Stone, M. Emmet Walsh, Billy Green Bush, Scott Grimes, Nadine Van der Velde. USA 1986.

ANDRZEJ WROŃSKI

